

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

KRAKÓW i ŚWIAT

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 3 (207, rok XVIII) Marzec 2022



Jubileusz Jerzego Treli



9 772720 504205 03

ISSN 2720-5045 Indeks 388726

Cena 10 zł (w tym 5% VAT)

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

KRAKÓW i ŚWIAT

MAJĄ SENS - Z KLASĄ



Stary, dobry KRAKÓW...
DO SMAKOWANIA NA NOWO.
Klasa światowa.



WSTĄP DO KLUBU PRZYJACIOŁ MIESIĘCZNIKA:

- **rocznie 200 PLN** – a w zamian roczna prenumerata i w grudniu książka jednego z autorów pisma
- **rocznie 1000 PLN** – (Przyjaciel Kultury) wszystko jak powyżej plus w grudniu unikalna grafika Daniela Mroza

Więcej na: www.miesiecznik.krakow.pl

BIBLIOTEKA KRAKÓW

pl. J. Nowaka-Jeziorańskiego 3

31-154 Kraków

nr konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Tytułem:

Klub Miesięcznika „Kraków” – nie zapomnij
podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!

Jubileuszowo

Jerzy Trela dla miesięcznika „Kraków” w rozmowie z Marią Malatyńską



Jerzy Trela w filmie *Anioł w Krakowie*, reż. Artur Więcek „Baron”, prod. Bereś & Baron Media Productions, fot. Piotr Uss Wąsowicz

Czy we współczesnym teatrze jest coś, co Cię fascynuje, w czym specjalnie chciałbyś uczestniczyć? Podjąć, wstrząsnąć – i zawojować, choć wszystko tu tak niepodobne do tamtego teatru?

Ale to głupie by było, gdybym chciał coś teraz zawojować, gdy wiem, że ja jestem w innym miejscu i w innym czasie... A parę razy wchodziłem do tych różnych spektakli nowego

teatru i byłem w tym, i naginałem się, i pozostawałem. Nie trzymałem się kurczowo Konrada, gdy grałem Szajbusa u Artura „Barona” Więcka. Teatr dlatego jest wielki, że jest różnorodny, odmienny za każdym razem. (...) Myślę, że różni „wariaci”, którzy chodzą po mieście, mają jakąś swoją filozofię i tajemnicę, i pewnie z bliska są ciekawszy, niż może się wydawać. Wystarczy się wsłuchać... albo sobie wyobrazić!

Jerzy Trela kończy 80 lat.

Jurku, dziękujemy ci za wszystko i prosimy o jeszcze!

Redakcja miesięcznika „Kraków”

(czytaj więcej: s. 20–25)

Obok medycyny

Tekst: Witold Beres

Mamy marzec roku 2022 i nadal nie wiemy, czy i jak państwo polskie chce walczyć z pandemią. Potem przyjdzie lato i chwila luzu, a jesienią zapewne znowu wszystko się powtórzy – bałagan i chaos. Najbardziej cierpimy my, kiedy zachorujemy i stajemy się pacjentami. Ale cały ciężar stupudowy, i z pandemii wynikający wprost, i pośrednio (bo paraliżujący leczenie innych chorób), spada na głowę służby zdrowia i lekarzy.

Niewiele możemy powiedzieć poza słowem „dziękuję”, lecz właśnie dlatego ten numer poświęcamy medycynie i jej związkom z naszym życiem codziennym. Jest więc trochę obok medycyny. Magda Huzarska-Szumiec pisze o relacjach między ciałem, sztuką a medycyną, bo też wielcy twórcy pasjami pogłębiali swą wiedzę medyczno-anatomiczną. Ja pozwalam sobie przypomnieć, jak źle się kończy, gdy władcy chcą zaprzęgnąć lekarzy i medycynę do bieżącej polityki. Ania Mateja, żyjąca krakowską medycyną, podaje nam zajmujący esej o historii

też, jej punktach zwrotnych i głównych bohaterach.

Ewa Lipska za to wspomina sławny biały fortepian w klinice na ulicy Skawińskiej, a przy tej okazji wspomniał prof. Szczeklika i troje innych wielkich – właściwie filozofów medycyny: profesor Marię Orwidową oraz profesorów Juliana Aleksandrowicza i jego syna Jerzego. Ewa Lipska pozwala nam zresztą przeżyć większą przygodę z przeszłością: rozmawia (kto wątpi, że nie uczyniła tego osobiście dzięki umiejętnościom podróży w czasie?) z Michałem Montaigne’em o tym, jak żyć, aby zdrowym być.

A co kilka stron – w cyklu *Lecz nas* – przedstawiamy poczet kilkunastu współczesnych znanych, znakomitych i ciekawych krakowskich medyków – również od strony mniej znanej, czyli ich zainteresowań pozazawodowych. I tylko żałować, że miejsca w numerze zbyt mało, bo lekarzy zacnych oraz barwnych jest w Krakowie dostatek...

I wszystkim im raz jeszcze dziękujemy.



Witold Beres

ROZMOWA MIESIĄCA:

Jerzy Trela: Jubileuszowo... s. 1 oraz 20-25

Im człowiek jest starszy, czyli coraz mocniej dojrzały, tym bardziej rozumie, że liczy się nie tylko teatr, choć można go wielbić, uważać za pasję i misję, doceniać powodzenie i osiągnięcia – ale i to, co było poza teatrem. Miejsce, z którego się wyszło i powraca w wieku dojrzałym jak do gniazda. Rodzina, którą się stworzyło, świat, który się oglądało, przyjaciele, po prostu wszystko...

TEMAT NUMERU:
OBOK MEDYCyny

Obok medycyny Witold Bereś s. 2

Między ciałem a sztuką s. 12

Magda Huzarska-Szumiec s. 12

Natura jest łaskawym przewodnikiem s. 27

Michel de Montaigne/Ewa Lipska s. 27

Medycyna i polityka – mieszanka fatalna s. 30

Witold Bereś s. 30

Pierwsi doktorzy Krakowa Ewa Danowska s. 37

Kołtun, adrenalina, szczepionki, syndrom s. 41

poobozowy Anna Mateja s. 41

W pogoni za nieśmiertelnością s. 70

Stanisław Lem s. 70

Komentarz (fragmenty) Marek Sanak s. 72

Koncert dla Nieobecnych (fortepiany s. 82

profesora Szczeklika) Ewa Lipska s. 82

LECZĄ NAS, DZIĘKUJEMY!

Piotr Chłosta, Anna Chrapusta s. 9

Dominika Dudek, Julian Dutka s. 18

Antoni Dziatkowiak, Artur Gądek s. 26

Krzysztof Grandys, Waldemar Hładki, s. 29

Diana Hodorowicz-Zaniewska s. 36

Artur Jurczyszyn, Stanisław Kwiatkowski s. 40

Jakub Łomnicki s. 49

Piotr Maciukiewicz, Tadeusz Jan Popiela s. 49

Tadeusz Stanisław Popiela, Piotr Richter s. 60

Jerzy Sadowski, Marek Sanak s. 66

Janusz Skalski, Aleksander Skotnicki, s. 73

Mikołaj Spodaryk s. 77

Lidia Tomkiewicz-Pająk, Andrzej Urbanik s. 77

Tomasz Wiatr, Piotr Wojciechowski, s. 86

Jan Zapala s. 86

POEZJA

Pierwsza miłość Magdalena Piekorz s. 4

@KRAKOWIANIE

Kolorowy ptak (Edward Bogusław Trybalski) s. 8

Paweł Wodnicki s. 8

LUDZIE MIEJSCA WYDARZENIA

„Szwajcaria”, prof. Żuławski i aleja s. 10

Słowackiego Krzysztof Jakubowski s. 10

Kronika kulturalna s. 88, 89

Krakowski łącznik s. 90

Kraków (Główny) s. 91

Linia A-B s. 92

TWARZE KRAKOWA

Jazz i zen. Jerzy Trela Łukasz Maciejewski s. 50

REKOMENDACJE

Pągowski z Wajdą – na nowo Łukasz Maciejewski s. 56

HISTORIA

Prasa sprzed 100 lat (marzec 1922) s. 57

Krzysztof Jakubowski s. 57

FILM

Jak pokochać upadki Maria Malatyńska s. 74

Sonata Łukasz Maciejewski s. 78

TEATR

Nieboszczyk Madaleński prowadzi mazura s. 67

Paweł Głowacki s. 67

KSIAŻKI

Nasza biblioteka (Pilch, Stefański, Herbert, s. 84

Świetlicki, Ryciak, Hapanowicz) s. 84

GALERIA „KRAKOWA ”

Między medycyną a sztuką (Jacek Madej) s. 46

Magda Huzarska-Szumiec s. 46

Obrazy s. 19, 61, okładka (tył)

FELIETON

NA CZERWIONYM ŚWIETLE Ewa Lipska s. 5

OKIEM BERESIA Witold Bereś s. 6

Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko s. 7

POZA KRAKOWEM... Magda Miśka-Jackowska s. 80

DZIENNIKI PANDEMICZNY s. 81

Iga Dzieciuchowicz s. 81

SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma s. 87

LUBIĘ LUBIĆ Agnieszka Kosińska s. 96

KOMIKS

Człowiek z niskiego parteru (2) s. 62

Witold Bereś i Andrzej Zaręba s. 62

OKŁADKA

Jerzy Trela w obiektywie Alicji Rzepy



Pierwsza miłość

zastanawiam się czasem
co robi w tej chwili
czy ma dzieci
przytył
nosi okulary
lubi sushi
poezję
chodzi na spacer
zrobił prawo jazdy
albo inne prawo
zastanawiam się czasem
kto z nas wcześniej umrze
i czy zadrży policzek
temu, kto się dowie
czy się jeszcze spotkamy
czy tylko miniemy
nie wspomniawszy o sobie
choćby jednym słowem



Magdalena Piekorz – reżyserka i scenarzystka filmowa oraz teatralna. Ukończyła reżyserię na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego. Jej debiut *Pręgi*, oparty na prozie Wojciecha Kuczoka, zdobył Złote Lwy na Festiwalu w Gdyni (2004), był polskim kandydatem do Oscara w 2005. Jest też autorką wielu filmów dokumentalnych i spektakli teatralnych, a od 2018 roku dyrektorem artystycznym

Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie. Pisze również wiersze i opowiadania, a tom *Dziennik poetycki* wydało wydawnictwo Austeria (2021).

Zdjęcie: Arleta Lizoń (materiały promocyjne wydawcy).

Drogie dzieci, to nic, że jest śmiesznie, będzie jeszcze śmieszniej. Tragizm epoki zamieni się w chichot. Myjcie ręce. Szczególnie po oklaskach (jak mawiał S.J. Lec). I miejcie nadzieję, bo jak napisał nasz klasyk w swoim niecenzuralnym dziele pod tytułem *Dziady*: „Buchnęło, zarzało i zgasło...”.



Ewa Lipska – poetka. Studiowała na ASP w Krakowie. Wieloletni redaktor Wydawnictwa Literackiego, w latach dziewięćdziesiątych wicedyrektor i dyrektor Instytutu Polskiego w Wiedniu. Członek Polskiej Akademii Umiejętności i PEN Clubu.



Rys. Piotr Błachut

Opuszczeni

Tekst: Witold Beres

Mija drugi rok, jak między szaleństwem władzy, biedą, łajdactwem i kłamstwem cierpią oraz umierają setki tysięcy Polaków. Umierają i cierpią nie tylko dlatego, że panuje covid, ale i dlatego, że państwo zdezerterowało. Kto jest temu winny? Władza? Elity polityczne? A może my sami?

Zostaliśmy sami, z bólem i strachem. Szpitale zapchane chorymi na covid. Ci, którzy czekali na poważne operacje – będą czekać jeszcze dłużej. W środkach masowego transportu nikt nie patrzy na maseczki. W sklepach nikt nie zachowuje społecznego dystansu. A blisko połowa uprawnionych do szczepienia – szczepić się nie chce. I nic dziwnego, że na cmentarzach kolejki do pochówku. (Zresztą kampanie promujące walkę z covidem od początku były cieniutkie i co chwilę osłabiane przez samych rządzących). Do tego dorzucmy bieda-reformy i drożyznę, system prawny oparty na łamaniu prawa, ostentacyjnie pranie mózgow prowadzone w mediach rządowych i opresyjność państwa wobec kobiet, przystającą nie do współczesnej cywilizacji zachodniej, ale do fundamentalistycznych systemów religijnych. A wszyscy na wszystko już zobojętnieli.

Tylko politycy żyją w swoim świecie.

Sami sobie to robimy! My, zwolennicy demokracji liberalnej, nie dając żółtej kartki leniom reprezentującym nas w opozycji. A wy, zwolennicy skradającego się autorytaryzmu, dobrowolnie weszliście na statek głupców i zachowujecie się na nim jak egoiści.

Oczywiście – *clou* winy spoczywa na rządzących, którzy kłamią i cynicznie manipulują informacją, tchórzliwie chowają się za rzekomo wyższym dobrem (no tak, nie ma to jak postraszyć liberałami wracającymi do władzy), a jak już coś robią, to tak nieudolnie, że człek szybko dochodzi do wniosku, że już lepiej, aby nic nie robili.

Powie ktoś, że opozycja nie ma siły sprawczej. Ależ nieprawda! Ma! Słowo potrafi być większą siłą niż najpotężniej nawet zadekretowany polski nieład. Tylko że nie słysząc jakoś, aby z ław opozycji, nawet najszerzej rozumianej, a nawet tej gdzieś ukrytej, marginalnej, dochodziły głosy dające nadzieję. Aby można było usłyszeć liderów łączących, a nie dzielących. Odrzucających własne kompleksy i rozbuchane ego. Pracujących nad tym, co zrobić i jak naprawić. Pamiętających o naszym cierpieniu.

Niestety: to, co do nas dociera, to walka o apanaże i fotele do ustawienia na skórze zabitego niedźwiedzia (tyle że ten niedźwiedź całkiem jeszcze, całkiem...).

Ale przecież zaraz powie ktoś: „Sami ich wybieramy!”. O, właśnie.

*

Niedawno ukazała się moja maleńka książeczka *Statek głupców*, opowiadająca o polskim egoizmie. Jednym się podoba, przeciwnicy obrzucają mnie hejtem.

A jednak gdy patrzę dziś na Polskę, to umacniam się w swoim stanowisku. Jeżeli ktoś nie dba o to, czy kobiety mają prawo do usuwania ciąży czy nie – to nie zgadzam się z nim, ale rozumiem logikę jego myślenia. Jeżeli komuś przeszkadzają uchodźcy, to też tego nie usprawiedliwiam, ale wiem, czym się kieruje. Nawet używanie Pegasusa logicznie dałoby się wytłumaczyć w pewnej grupie wyborców. Absolutnie nie mogę jednak pojąć, jak można się godzić, żeby codziennie umierało 300 czy 500 osób? W kraju, w którym nie wprowadzono nawet paszportów covidowych, takiego *minimum minimorum*, żeby ludzie zakażeni nie mieszały się w wielkich skupiskach z ludźmi zaszczepionymi. A przecież nie chodzi o zmuszanie ludzi do szczepień, ale danie MNIE, zaszczepionemu, prawa wyboru z kim bezpiecznie mogę biesiadować.

I teraz: dlaczego ponad 30 procent Polaków w sondażach anonimowo deklaruje, że popiera tę władzę, choć nie ma rodziny, po wszystkich stronach polskiego sporu, która by nie ucierpiała w czasie pandemii? Sam policzyłem: z kręgu moich znajomych odeszło w ostatnim czasie 17 osób, w różny sposób, ale głównie na covid. Jak sympatycy władzy radzą sobie z takimi statystykami? Nie mam pojęcia.

Dlatego więc powtarzam: sami sobie to robimy! My, zwolennicy demokracji liberalnej, nie dając żółtej kartki leniom reprezentującym nas w opozycji. A wy, zwolennicy skradającego się autorytaryzmu, dobrowolnie weszliście na statek głupców i zachowujecie się na nim jak egoiści, których obchodzi tylko, żeby wyjechać do Zakopanego i zjeść wyborczą kiełbasę.

*

Nienawiść. Paskudne słowo, jeszcze paskudniejsze odczucia. A konsekwencje bywają już tragiczne. To, że nienawidzą mnie, że nienawidzą nas – to nie jest fajne, ale niech tam, sami z tym żyją.

Ale jak my mamy się uwolnić od nienawiści?

Powie ktoś – dialogujmy, rozmawiajmy, starajmy się zrozumieć.

Nie uchylam się od dialogu, ale chęć porozumienia najpierw powinna okazać strona, która trzyma pałkę. Do rozmów przy okrągłym stole też najpierw wezwało państwo: Kiszczak zapraszał, a Jaruzelski przeproszał. A w Polsce AD 2022 na razie myślimy o tym, jak nas jeszcze skrzywdzi państwo polskie. Co nam przyszłość przyniesie?

Stawiając ostatnią kropkę, drzę, bo wiem, że nigdy nie jest tak źle, by nie mogło być gorzej.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „KraKów”.

Dobry doktor

Tekst: Krzysztof Burnetko

Był wielkim lekarzem także dlatego, że przeżył warszawskie getto i był komendantem powstania kwietnia 1943 roku. Bo to tam poznał wagę ludzkiego życia. Tam także nauczył się, jak podejmować najtrudniejsze decyzje.

Brał udział w pionierskich operacjach stenozy mitralnej w stanie ostrym oraz naczyń wieńcowych w stanach sygnalizujących zawał z zastosowaniem wstecznego obiegu krwi, które przeprowadził w Łodzi słynny kardiochirurg prof. Jan Moll. Sam opracował metody leczenia sterydami niedomogów krążenia oraz tioacetamidem w zatruciach niektórymi metalami ciężkimi.

*

„W 1959 roku pracowałem już osiem lat, to był szczyt doktorowania. Mieliśmy za sobą różne gry z medycyną, z życiem ludzkim. Byliśmy przyzwyczajeni do tego, że się bierze odpowiedzialność. Uda się, nie uda się, ale coś się zrobi dla chorego, nie będzie się becznym”.

*

Upierał się, że na medycynę poszedł przez przypadek. Przyznawał, że doświadczenia z wojny wpłynęły na to, jak postrzega medycynę i jakich wyborów dokonywał. Mawiał, że zadaniem lekarza jest szybkie oślonięcie płomienia świecy, którą chce zgasić Pan Bóg. I że w jego przypadku ten wyścig z Panem Bogiem zaczął się na Umschlagplatzu. Tam też z tłumu wyciągał skazanych na śmierć. Hanna Krall, która pierwsza o nim napisała, określiła to genialną formułą: że i w getcie, i potem Edelman próbował „zdążyć przed Panem Bogiem” (tak też zatytułowała swój głośny reportaż).

*

„Gdy dobrze znasz śmierć, czujesz większą odpowiedzialność za życie. Każda szansa jest ważna. Nawet ta najmniejsza. W medycynie, prócz talentu, trzeba też dużo odwagi”.

*

Pod koniec lat 60. obronił w Krakowie habilitację *O niektórych mechanizmach obrzęku płuc*. Decydenci z Warszawy odmówili mu tytułu – antysemityzm kwitnął już na całego. W marcu 1968 roku w szpitalu wojskowym, w którym wtedy pracował, portier zastąpił mu drogę i wysyczał: „Żydzi nie wchodzą”. Dzięki przyjaciółom znalazł posadę w Szpitalu Miejskim, a większość współpracowników ostentacyjnie tytułowała go – na przekór władzom – docentem.

*

Kiedy został szefem intensywnej terapii w szpitalu Pirogowa, dbał, by na oddziale pracowały śliczne pielęgniarki. Tłumaczył, że chory powinien mieć koło łóżka anioły. Nie bacząc na procedury leczył tam ludzi opozycji: Halinę Mikołajską, Wiktora Woroszyńskiego, Ludwikę Wujec, Gajkę Kuroń.

*

Kiedyś przyjechaliśmy z Witoldem Beresiem do jego domu z dwiema znajomymi, które chciały poznać legendarnego doktora. Na stole jak zawsze czekały śledzie, żydowski kawior i coś jeszcze. Po chwili rozmowy, podczas której uważnie i z wyraźnym uznaniem przyglądał się dziewczynom, wskazał nagle na jedną z nich: „Chodź tu. Bliżej. Pochyl się!”. Dotknął jej szyi.

Po czym nieznoszącym sprzeciwu tonem rozkazał: „Jutro masz zrobić sobie u mnie badania”. Diagnoza okazała się słuszna. Konieczna była operacja.

*

„Maszyna jest dobra, ale jeśli nie popatrzysz na chorego, maszyna ci nie powie, czy on jest do życia czy do śmierci. Miałem kolegę, który ciągle patrzył na wskaźniki i mówił, że to na pewno serce. A ja patrzyłem tylko na pacjenta i mówiłem, że to nie serce. Bo ja rozmawiam z chorym, a nie patrzę w maszynę. Dotyczy to zwłaszcza dzieci. Dziecko trzeba pogłaskać, a nie dotykać zimnymi elektrodami, które się przypina, a potem odrywa i to boli. Postęp musi być, ale nie może być tylko maszynowy. Musi być w umyśle ludzkim”.

*

Stażyści, którzy pytali go o przyszłość medycyny, słyszeli, że zależy to od nich samych – czy zostaną rzemieślnikami czy lekarzami. Precyzował, że czasem najważniejsze jest potrzymanie chorego za rękę.

*

„Dobry doktor to jest taki, który spojrzy na pacjenta i zobaczy coś takiego, co mu coś przypomina. Trzeba umieć obserwować chorego i mieć zdolność kojarzenia. (...) Sztuka leczenia polega na rozpoznawaniu na podstawie mikroobjawów. Jeden objaw często przesądza – jak się go wychwyci, ma się kierunek dalszych poszukiwań. Dlatego przyda się intuicja”.

*

Na jubileuszowym Kongresie Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego w 2004 roku mówił: „Operować trzeba nie samo serce. Na stole leży chory, nie tylko jego serce. Trzeba mieć moralność do chorego, być razem z nim, bo łatwiej zniesie ten obrzydliwy ból klatki piersiowej po jej otwarciu, jeśli ten, kto go zadał, jest człowiekiem z krwi i kości, życzliwym choremu”.

*

Powtarzał: „Wszyscy chcą żyć. Nikt nawet nie chce słyszeć, że umiera. Kiedy nagle coś się dzieje, to on by chciał jeszcze trochę słońca zobaczyć albo z dziewczynką się pocałować, albo wnuczce kupić zabawkę. Nikt nie chce odejść”.

Cytaty za: Marek Edelman, *Prosto się mówi, jak się wie* (teksty zebrali Paula Sawicka i Krzysztof Burnetko), Warszawa 2013, Witold Beres, Krzysztof Burnetko, *Marek Edelman. Życie. Do końca*, Warszawa 2013 oraz *Gra z życiem i śmiercią – z dr. Markiem Edelmanem rozmawia dr Joanna Żuchowska*, „Medical Tribune” 2007, nr 10.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Kolorowy ptak

Tekst i zdjęcie: Paweł Wodnicki www.instagram.com/krakowianie www.pawelwodnicki.pl

Pan Edward. Miłośnik mody, trendsetter, freelancer, model i stylist. Ma 71 lat i modą lubi oraz potrafi się bawić. Ma swój styl i codziennie nosi inny zestaw ubrań. Jak twierdzi, zaopatruje się w odzież na wyprzedażach w jednej z popularnych sieciówek, gdzie wyszukuje co bardziej ekstrawaganckie fasony.

Kiedyś pracował jako konstruktor i technolog. Potem zajmował się produkcją biżuterii. Dziś mimo kłopotów zdrowotnych skutkujących problemami z poruszaniem się, zachowuje pogodę ducha. Angażuje się w wydarzenia modowe, artystyczne, odwiedza wystawy i wernisaże. W wolnym czasie rzeźbi, maluje. Jest członkiem grupy Ferment.

Poleciła mi go Kasia, właścicielka galerii LueLue na Kazimierzu, którą regularnie odwiedza na kazimierskie pogaduchy.

Zobaczcie koniecznie galerię instagramową Edwarda! Warto! @edward_boguslaw_trybalski



Paweł Wodnicki. Krakowianin od pokoleń. Z wykształcenia socjolog po UJ, z zamiłowania fotograf i portrecista. W życiu próbował wielu rzeczy – był dziennikarzem, twórcą stron internetowych, DJ-em, marketingowcem, grafikiem. Ale to

właśnie fotografia stała się od kilkunastu lat jego pasją i sposobem na życie. Jest laureatem wielu konkursów i salonów fotograficznych, a jego prace były publikowane w prasie i pokazywane na licznych wystawach. Od ponad dwóch lat dzień w dzień przemierza krakowskie ulice, by portretować mieszkańców miasta w ramach własnego, autorskiego projektu @krakowianie.



Leczą nas, dziękujemy...

Ostatnie dwa lata pandemii były szczególnie ciężkie dla lekarzy. Nie wszyscy i nie zawsze o tym pamiętali. Dlatego dziś chcemy im podziękować, przypominając – z ponad tysiąca jakże znanych i zasłużonych! – kilkunastu krakowskich lekarzy, którzy są i byli z nami, pacjentami. Na ich ręce składamy podziękowania dla całego medycznego Krakowa.

Redakcja miesięcznika „Kraków i Świat”



**Prof. dr hab. n. med.
Piotr Chłosta**
– urolog, Katedra
Urologii Wydziału
Lekarskiego CM UJ

Jest bezsprzecznie dziecięciem wielu talentów. Na co dzień kieruje Katedrą i Kliniką Urologii Szpitala Uniwersyteckiego i jest prezesem Polskiego Towarzystwa Urologicznego. Co jakiś czas „bierze gajer, wsiada w auto i zjawia się na kongresie”. Wygłasza referaty, pokazuje przez internet nowe techniki chirurgiczne. Diagnostyka, operuje, uczy. Poza uczelnią organizuje KultURO, festiwal – niezwykle wydarzenie kulturalne w naszym kraju, które jest częścią międzynarodowej akcji, obchodzonego na całym świecie Tygodnia Urologii – którego głównym celem jest propagowanie badań profilaktycznych układu moczowego. Profesor wychodzi

z założenia, że łatwiej leczyć na przykład zdiagnozowany w trybie profilaktycznym przerost prostaty w początkowym stadium niż wtedy, kiedy rozwinie się w proces nowotworowy. Oczywistym założeniem jest, że promocja profilaktyki powinna mieć atrakcyjną formę, bo jak będzie nudno, nikt się nie zainteresuje. No i nudno nie jest, bo profesor to także gitarzysta rockowy, spec od raczej ciężkiego grania.

(Ewa Kozakiewicz,
fot. Grzegorz Kozakiewicz)



**Dr hab. n. med.
Anna Chrapusta**
– chirurg plastyczny
i rekonstrukcyjny,
kierownik
Małopolskiego
Centrum Oparzeniowo-
Plastycznego Szpitala
im. Ludwika Rydygiera
w Krakowie

Jako pierwsza w Polsce (wspólnie z prof. Jackiem Puchałą) przeprowadziła zabieg korekcyjno-rekonstrukcyjny z użyciem integrali, czyli specjalnie wyhodowanego biomateriału, który pozwala odtworzyć skórę właściwą. Z zegarmistrzowską precyzją przyszywa pacjentom odcięte palce i dłonie. Na swoim koncie ma już setki takich operacji, dzięki którym ludzie odzyskują sprawność. – Najfajniejsze chwile dla chirurga przychodzą w momencie, gdy ręka staje się ciepła, wraca do niej krążenie, a skóra odzyskuje naturalny kolor. Tego uczucia nie da się z niczym porównać – twierdzi pani docent, która na co dzień jest szalenie zapracowana. Mimo to każdą wolną chwilę stara się spędzać aktywnie. Jej ulubione sporty to tenis i pływanie. Ale jest jeszcze jeden, który wygrywa z wszystkimi innymi. – To są narty, bez których

nie wyobrażam sobie zimy. Przepadam za stokami Kitzbühel w Austrii i St. Moritz w Szwajcarii. Kiedy rozwijam na nich prędkość, czuję prawdziwą radość życia – mówi Anna Chrapusta. Lekarka nie kryje, że lubi też szybkie samochody (ale przyspiesza tylko na autostradzie!). Zwalnia w domu, kiedy po długiej operacji siada z książką, najczęściej poświęconą historii dwudziestolecia międzywojennego. Alternatywą dla dobrej lektury są dla niej filmy dokumentalne na kanale Discovery, ale tylko poświęcone starożytności.

(Magda Huzarska-Szumiec,
fot. Wikimedia Marcin Maki Makówka)



„Szwajcaria”, prof. Żuławski i aleja Słowackiego

Tekst: Krzysztof Jakubowski **Zdjęcia:** Krzysztof Jakubowski (współczesne) oraz NAC (1928 rok)

Chociaż trudno to sobie wyobrazić, jeszcze u progu lat 60. XIX wieku w okolicy dzisiejszych ul. Długiej i al. Słowackiego rozciągał się ogromny ogród. Podobno przyciągał „bogactwem obcej flory” i „kosztownymi oranżeriami” – tak przynajmniej opisywała go w swych wspomnieniach Maria Estreicherówna. Ogród, zwany „Szwajcarią”, był prywatny, ale udostępniany publiczności, a nazwano go tak od stylu stojącej tam willi hrabiego Wincentego Sienińskiego. Zlikwidowany został zapewne podczas budowy wału fortecznego (1863–1865) biegnącego wzdłuż dzisiejszych al. Trzech Wieszczów.

Wiadomo, że później na terenie okrojonej do około 1 hektara posiadłości stanęła willa-dworek należąca do Adolfa i Czesławy Schoenów. W 1889 roku posiadłość tę odkupił od nich prof. Karol Żuławski, ówczesny ordynator oddziału psychiatrii w Szpitalu św. Łazarza. Po przeprowadzonej w tym samym roku rozbudowie dworku Żuławski otworzył tam prywatną lecznicę – Dom Zdrowia dla Umysłowo Chorych. Jak

głosił anons: „Dom Zdrowia leczył osoby dotknięte chorobą umysłową, alkoholistów, morfinistów, jako też osoby dotknięte wszelkiego rodzaju nerwicami, połączonymi ze zboczeniem umysłu. Leczenie odpowiednio do postępów nauki, hydro i elektroterapia w miarę potrzeby”. Niestety, leczenie to było kosztowne, dostępne tylko dla wybranych. Lecznica przetrwała do śmierci jej założyciela w 1914 roku.



Na wykonanej w lutym 1928 roku fotografii widać skrzyżowanie ul. Długiej i al. Słowackiego. To właśnie za widocznym po lewej murem mieścił się zakład Żuławskiego. Wkrótce mur zniknął i rozpoczęła się parcelacja sprzedanej przez rodzinę profesora posiadłości. W latach 1933–1937 na terenie ograniczonym al. Słowackiego i ul. Długą, a od strony zachodniej i południowej, wytyczoną nieco wcześniej ul. Żuławskiego, stanęło 11 masywnych modernistycznych kamienic. W latach 50. zabudowę tego kwartału uzupełnił biurowiec firmy Budopol (al. Słowackiego 39).

Na tym ciekawym ujęciu widać, jak powstaje północna pierzeja al. Słowackiego. Na najdalszym planie brak jeszcze domu flankującego prawy narożnik ul. Mazowieckiej. Następna kamienica (nr 40) jest w budowie. Kolejna (nr 42) jest już zamieszкана, podobnie jak następna – najstarsza i największa w tej pierzei – złożona faktycznie z trzech frontowych budynków (nr 44–48), własność Krakowskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń. Kolejny budynek należący do Wspólnego Bractwa Górniczego (nr 50) jest w stanie surowym. Wyróżnia go ciekawa fasada *art déco* autorstwa Maksymiliana Burstina. Dwie kolejne kamienice (nr 52 i 54) czekają

już na pierwszych lokatorów. Brak jeszcze domu u zbiegu z ul. Śląską.

Zwraca uwagę gazowa jeszcze lampa na konsoli, w typie stosowanym w Krakowie. Oryginały takich lamp przetrwały tylko przy ul. Pijarskiej. Na oświetlenie elektryczne i kostkowy bruk ta część al. Słowackiego czekała do 1937 roku. Na koniec zagadka. Wspomniana ulica nie nosi imienia zasłużonego dla psychiatrii Karola, ale Jerzego Żuławskiego, autora powieści *Na srebrnym globie*, zdecydowanie słabiej związanego z Krakowem. Trudno dociec dlaczego, ale tak zdecydowała Rada Miasta w 1931 roku...



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Leonardo da Vinci (1452-1519), *Głowa i ramiona*

Między ciałem a sztuką

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Ilustracje: © Wikimedia Commons

Artyści i lekarze wywodzą się z jednego magicznego pnia. Może dlatego przez wieki ich drogi tak często się przecinały.

W miejscu na krakowskim Zabłociu, gdzie pokazywano wystawę Gunthera von Hagensa *Body Worlds*, panowała ciemność. Nikłe światło wydobywało z niej ciała, które przez niemieckiego anatoma zostały wypreparowane jego autorską metodą plastynacji. Sprawia ona, że pozbawione skóry zwłoki nie rozkładają się i można je prezentować przez lata niczym dzieła sztuki. Rozpłatany brzuch mężczyzny, przekrój macicy młodej kobiety w zaawansowanej ciąży, płuca palacza, mózg pacjenta z alzheimerem, mięśnie i ścięgna zbudowanego jak młody bóg chłopa. Ciała upozowane, czasami poustawiane w teatralne scenki, jak dwóch starszych panów grających w pokera.

Wystawa pozwala doskonale poznać anatomię człowieka. Gdyby w tych ciałach tętniło życie, byłyby aż do bólu prawdziwe. I o to właśnie chodziło von Hagensowi, który plastynację wymyślił, będąc jeszcze asystentem w Instytucie Anatomii i Patologii w Heidelbergu. Przygotowując preparaty narządów, które miały służyć studentom do nauki, doszedł do wniosku, że jest to strasznie pracochłonna czynność. Wpadł więc na genialny pomysł, by zamiast bawić się w krajanie organów i zatapianie ich w formalinie, wlać do ich wnętrza sztuczne tworzywo, które zakonserwuje je od środka. Tak narodziła się nowa technologia, która w miarę jak się rozwijała, coraz lepiej umożliwiała przyszłym lekarzom poznawanie poszczególnych narządów, dotykane ich powierzchni, struktury. I tu powinna się rola von Hagensa zakończyć. Ale „doktor śmierć”, bo i taki przydomek nosi patomorfolog, poczuł w sobie duszę artysty, która kazała mu udoskonalać plastynację i ostatecznie tworzyć rzeźby z ludzkich ciał.

Problem pojawił się w momencie, kiedy zaczęto się zastanawiać, skąd bierze on materiał do swoich prac. Studenci uczą się przeprowadzać sekcję zwłok na ciałach osób, które przed śmiercią same dobrowolnie przekazują je do badań naukowych, a następnie z wielkim szacunkiem są chowane na cmentarzu. Gunther von Hagens twierdzi, że wykorzystywane przez siebie zwłoki pozyskuje w ten sam sposób od donatorów, choć są tacy, którzy poddają to w wątpliwość. Zachodzą bowiem podejrzenia, że na stół patomorfologa trafiają rozstrzelani więźniowie, co można powiązać z jego wejściem do grona wykładowców Uniwersytetu Medycznego Dalian w Chinach i objęciem kierownictwa Instytutu Plastynacji Państwowego Uniwersytetu Medycznego w Biszkeku w Kirgistanie.

I to już wystarczy, by wystawę *Body Worlds* traktować z dużą ostrożnością. Etyczne wątpliwości mogą pojawiać się także podczas oglądania innych medycznych prezentacji. Trudno bowiem

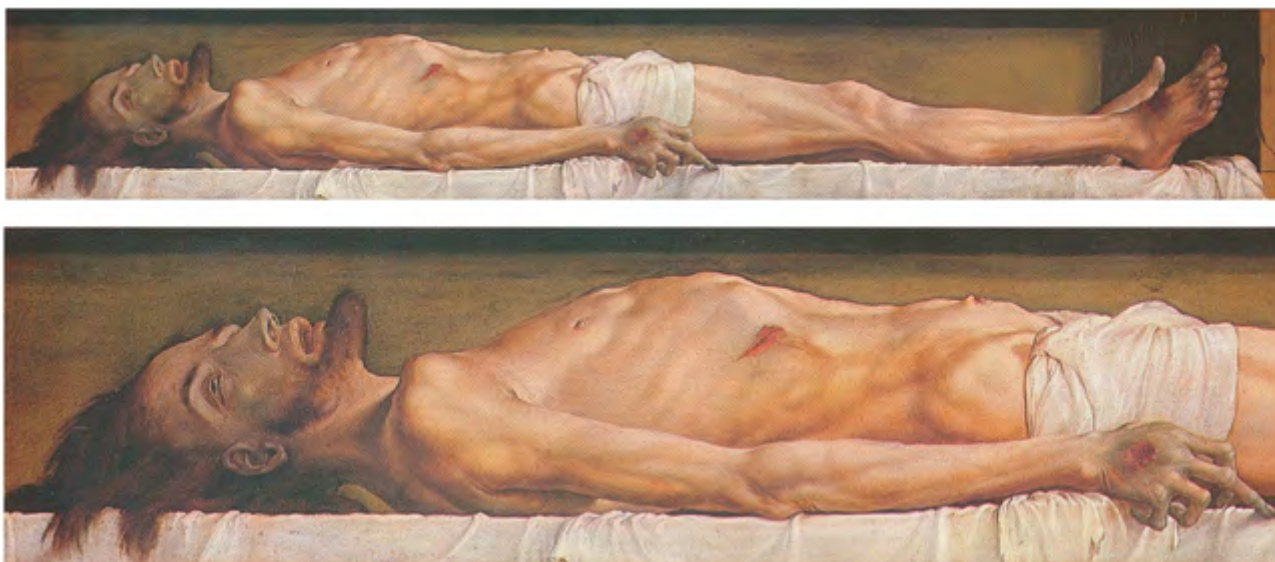


Jan van Calcar (1499–1546), ilustracja w *De humani corporis fabrica* Andreasa Vesaliusa

podejrzewać, że kolekcja preparatów anatomicznych, pokazywana w wiedeńskim Narrenturm, czyli w Wieży Szaleńców, została stworzona ponad 200 lat temu z eksponatów przekazywanych dobrowolnie przez chorych. Nikt tu nie udaje, że medycyna łączy się ze sztuką.

Modele prosto z cmentarza

Zdarzało się jednak, że te dwie dziedziny ściśle się przenikały, tak jak w pierwszej w naszych dziejach naukowej prezentacji ludzkiej anatomii, czyli w opublikowanym w 1543 roku siedmioczęściowym dziele *De humani corporis fabrica* Andreasa Vesaliusa, wielkiego anatoma z Padwy. Składało się ono nie tylko z opisów budowy ciała, ale zostało też zilustrowane 277 drzeworytami autorstwa znakomitego niderlandzkiego artysty Jana van Calcara. Był on uczniem Tycjana, a o wielkości jego dzieła może zaświadczyć nie tylko warsztat,



Hans Holbein Młodszy (1497–1543), *Chrystus w grobie*

ale też twórczy sposób, w jaki podszedł do niełatwego zadania. Otóż nie stworzył on tylko ilustracji doskonale prezentujących anatomiczne szczegóły, lecz uruchomił także swoją wyobraźnię, ustawiając ludzkie szkielety w alegorycznych pozach. Widzimy to choćby na rycinie, na której jeden z nich opiera pozbawioną skóry twarz o kości ręki, drugą dłoń przytrzymując leżącą na postumencie czaszkę. W ten sposób artysta nadał dziełu głębszy wymiar, zmuszając ówczesnych badaczy nie tylko do naukowych dywagacji, ale też do zadumy nad marnością człowieczej egzystencji.

W latach 1506–1513 Leonardo rozkroił około 30 ciał, czego efektem są szczegółowe ilustracje przedstawiające budowę płuc i serca, mięśni tułowia, ramion, nóg, twarzy, kręgosłupa czy krtani. Do dziś budzą one podziw nie tylko miłośników sztuki, ale także lekarzy.

Było to możliwe dzięki poświęceniu Andreasa Vesaliusa, który imał się różnych sposobów, by zdobyć zwłoki mające posłużyć mu za modele. Sam nieraz wybierał się w nocy na cmentarz, wykradając niedawno pochowanych tam ludzi i walcząc ze zdziczałymi psami, które dopadały go przy tej niecnej czynności. Ba, do wyciągania zwłok z grobów namawiał też studentów, którzy mieli najpierw obserwować chorujących pacjentów swoich profesorów, wybierać co ciekawsze przypadki i dowiadywać się, gdzie ich ciała zostały pogrzebane. Vesalius pisze o tym w pamiętnikach, choć wynika z nich, że nie sprawiało mu to specjalnej przyjemności i czasami dopadały go chwile zwątpienia: „Już nie będę całymi tygodniami trzymał w sypialni nieboszczyków wykradzonych z grobów lub oddanych mi po egzekucji” – zapewniał, ale słowa nie dotrzymywał.

Podobnym procederem, nie tyle jednak ku chwale nauki, ile przede wszystkim sztuki, trudnił się Hans

Holbein Młodszy. Malarz miał wypożyczać zwłoki od pilnujących cmentarza strażników miejskich, którzy za drobne sumy pozwalali mu zabierać szczątki na noc, ale pod warunkiem że odda je skoro świt. W ten sposób powstał wstrząsający obraz *Chrystus w grobie*, który dziś możemy oglądać w Muzeum Sztuki w Bazylei. Widzimy na nim namalowane na długiej desce, złożone do grobu ciało Ukrzyżowanego. O tym, że jest to Jezus, świadczą przekłute gwoźdźmi dłonie i stopy oraz rana w boku. Poza tym ciało nie posiada żadnych atrybutów boskości, wygląda jak zwłoki zwykłego człowieka i to już w stanie rozkładu. Ich sinozielonkawe zabarwienie może brać się stąd, że tym razem strażnicy wypożyczyli artyście ciało topielca. Gdy Fiodor Dostojewski oglądał obraz, omal dostał ataku epilepsji. Później przekuł to przeżycie w literaturę, umieszczając w *Idiocie* reprodukcję dzieła. Książę Myszkina, patrząc na nie, dochodzi do wniosku, że Chrystus jest tu tak ludzki, iż pozwala stracić wiarę, gdyż „ten trup zmartwychwstać nie może”.

Zresztą nie tylko tacy artyści jak Hans Holbein Młodszy czy Jan van Calcarck czerpali wiedzę anatomiczną z sekcji ludzkich zwłok, które osobiście przeprowadzali. Wystarczy spojrzeć na dzieła Leonarda da Vinci, by nabrać pewności, że są one wynikiem szczegółowego poznania ludzkich organów. Szacuje się, że w latach 1506–1513 Leonardo rozkroił około 30 ciał, czego efektem są szczegółowe ilustracje przedstawiające budowę płuc i serca, mięśni tułowia, ramion, nóg, twarzy, kręgosłupa czy krtani. Do dziś budzą one podziw nie tylko miłośników sztuki, ale także lekarzy.

Widowiskowe sekcje zwłok

Trzeba dodać, że ówczesni artyści, choć może nie do końca sobie to uświadamiali, narażali się na poważne niebezpieczeństwo zakażenia. Nikt nie używał przecież rękawiczek ochronnych ani nie znał środków antyseptycznych. Poza tym ich sekcje nie wyglądały tak estetycznie, jak *Lekcja anatomii doktora Tulpa* namalowana przez Rembrandta w 1632



Rembrandt (1606–1669), *Lekcja anatomii doktora Tulpa*

roku. Jest ona zachwycająca choćby z tego powodu, że malarz wykorzystał tu wszystkie środki wyrazu, z których słynął, sprawiając, że oświetlone teatralnie, martwe ciało w niesamowity sposób kontrastuje z żywotnością pozostałych postaci.

Obraz przedstawia sekcję zwłok przeprowadzoną w Amsterdamie przez odnoszącego wówczas sukcesy lekarza Nicolaesa Tulpa na ciele złodzieja Adriana Arisza. Ukradł on wprowadzić tylko płaszcz, ale ponieważ był recydywistą, został skazany na karę śmierci przez powieszenie. Rembrandt „ukarał” go dodatkowo, gdyż doktor Tulpa demonstruje ściętną z jego wypreparowanej ręki, która była narzędziem przestępstwa. Zresztą malarzowi oberwało się za to, bo zwyczajowo obdukcję zaczynało od otwarcia brzucha. Zarzucono mu więc, że nigdy tak naprawdę nie widział sekcji zwłok. Robili to oczywiście zawistnicy, którzy po latach otrzymali odpowiedź artysty. Było nią inne genialne jego płótno, tym razem zatytułowane *Lekcja anatomii doktora Deymana*. Przedstawia człowieka z rozpiętym jak należy brzuchem, w pozycji półsiedzącej, oraz ręce lekarza badające mózg, z którego została zdjęta czaszka. Samego doktora Deymana już nie zobaczymy, ponieważ obraz częściowo spłonął podczas pożaru z 1656 roku i wizerunek medyka został zniszczony.

Rembrandt nie był jedynym, choć na pewno najgenialniejszym malarzem, który uwiecznił sekcję zwłok. W Amsterdams Historisch Museum możemy

oglądać lekcje anatomii autorstwa Nicolaesa Eliasza – ona Pickenoya czy Aerta Pietersza. Twórcy sięgali po ten motyw, gdyż w tym czasie Niderlandy, ale też Europę opanowała moda na wizyty w *Theatrum Anatomicum*. Oglądano parateatralne, i biletowane, widowiska. W ten sposób świadkami sekcji zwłok mogli być nie tylko lekarze, ale też zwykli widzowie. Atmosfera tych seansów wciąż tkwi w ścianach zachowanych do dziś sal *Theatrum Anatomicum*. Takich jak w Bolonii. Znajduje się ona w murach dawnego budynku tamtejszego uniwersytetu i jest cała w rzeźbionym drewnie. Na pierwszy plan wysuwają się charakterystyczne drewniane posągi podtrzymujące baldachim. Zasiadał pod nim doktor-nauczyciel, nim podszedł do stojącego na środku stołu, na którym czekało już na niego ludzkie ciało.

W innym nieco *entourage'u* niż sekcje zwłok odbywały się pokazy chorych na różne przypadłości psychiczne, co utrwalił André Brouillet na obrazie z 1887 roku *Lekcja kliniczna w szpitalu Salpêtrière*. Widzimy na płótnie doktora Jeana-Martina Charcota, słynnego nie tylko we Francji neurologa, zwanego „Napoleonem nerwicy” lub „Paganinem hysterii”. Pokazuje kolegom po fachu chorą w drugim stadium ataku nerwowego. Przybiera ona pozycję tak zwanego łuku histerycznego, kiedy to ciało wygina się w sposób u zdrowych ludzi niespotykany. Pacjentka ukazana jest tu niczym naga modelka pozująca malarzom w akademiach sztuk pięknych. „Sala



Nicolaes Elias (Nicolaes Eliaszon Pickenoy) (1588–ok. 1653), *Lekcja osteologii doktora Sebastiaena Egbertsa*

wykładowa w akademii medycznej była skonstruowana w podobny sposób jak pracownia akademii artystycznej, gdzie pozowały modelki, a przed studentami sztuki wygłaszano wykłady z anatomii w taki sam sposób, jak przed studentami medycyny. Dostęp kobiet do obydwu instytucji został ograniczony na podobnej zgoła zasadzie. Przed artystkami zamknięto pracownie z żywego modelu (a więc nie dopuszczono ich do wyższych szczebli profesjona-

Profesor Andrzej Szczeklik uważał, że medycyna i sztuka wywodzą się z jednego pnia – obie biorą początek w magii.

lizmu), a przed kobietami, które chciały zostać lekarzami, mnożono przeszkody nie do pokonania” – pisała brytyjska historyczka sztuki Marcia Pointon, podkreślając kolejną, tym razem feministyczną z ducha, analogię między sztuką i medycyną.

Zmagania artystów z własnym ciałem

W XX wieku te pokrewieństwa zaczęły się jeszcze bardziej uwypuklać, przechodząc w swoisty dialog, który rozpoczęła zorganizowana w 1946 roku pierwsza tego typu wystawa, zatytułowana *Medical Art*, pokazywana w galerii Uniwersytetu w Yale. Pociągnęła ona za sobą kolejne, które coraz bardziej rezonowały ze współczesnością. Artyści przedstawiali na nich być ilustratorami anatomicznych szczegółów i medycznych pokazów, a stawali się wyrazicielami własnych zmagania z ciałem. Mogliśmy się o tym

przekonać parę lat temu także w Krakowie, wybierając się do MOCAK-u, gdzie zaprezentowano ciekawą ekspozycję *Medycyna w sztuce*.

Znalazł się na niej choćby film Mariny Abramović *Akt ze szkieletem*. Jest to zapis performansu, w którym artystka, leżąc na plecach, kładzie na swoje nagie ciało ludzki szkielet, a następnie „ożywia” go głębokim oddechem. Tak jak to bywa w przypadku twórczości Abramović, wrażenie jest piorunujące. Trudno było też nie zwrócić uwagi na doskonałe prace Sophie Ristelhueber, która przez pewien czas w jednym z paryskich szpitali fotografowała pacjentów z bliznami pooperacyjnymi. Jej zdjęcie pokazujące bliznę na plecach kobiety, ciągnącą się wzdłuż kręgosłupa, jest brutalne tak, jak musiała być brutalna interwencja chirurga. Z kolei fotografia Nicole Tran Ba Vang z cyklu *Kolekcja wiosna/lato*, pokazująca kobietę, która zrzuca z siebie niczym wąż skórę, rozwiązując sznurówki spinające jej ciało, uświadamiała widzom, jak nieraz bardzo chcemy uwolnić się od swojej cielesności, nawet kiedy – jak w przypadku modelki na zdjęciu – jest ona bez zarzutu.

Zupełnie inaczej do tego problemu odnoszą się artystki, które zmagaly się z doświadczeniem choroby. Alina Szapocznikow przez wiele lat walczyła z nowotworem, obserwując dezintegrację swojego ciała i przenosząc ten proces na wstrząsające rzeźby. Rzeźbiarka, zanim zachorowała, słynęła z wyjątkowej urody i miała tego pełną świadomość. Pewnie dlatego tym mocniej odczuła spustoszenie, jakie w jej wyglądzie zewnętrznym czynił rak i związane z nim leczenie. Pisała o tym w listach do przyjaciół wysyłanych ze szpitala, a kiedy go opuszczała, tworzyła cykl *Nowotwory*, w którym chciała „zachować



André Brouillet (1857–1914), *Lekcja kliniczna w szpitalu Salpêtrière* (fragment)

wszystko, co chirurg odrzuci od siebie, te tampony i nożyczki”. Jej metaforyczne rzeźby z tworzyw sztucznych przypominały cielesne narośla, w które wtapiała zdjęcia swoje i swoich bliskich.

Zmagania z rakiem przełożyła też na sztukę Katarzyna Kozyra w głośnej pracy *Olimpia*, nawiązując do słynnego obrazu Edouarda Maneta. Przed laty wywołał on skandal, gdyż pokazuje leżącą na łóżku prostytutkę z kwiatem we włosach i czarną wstążką zawiązaną na szyi, która patrzy wyzywająco przed siebie. Kozyrę dzieło to zainspirowało do stworzenia wielkoformatowego tryptyku fotograficznego, na którym widzimy artystkę z wszystkimi atrybutami swojej poprzedniczki. Z tą tylko różnicą, że bohaterka w przeciwieństwie do oryginału Maneta nie jest kobietą manifestującą swoją seksualność, lecz pacjentką po chemioterapii. „Pozwoliłam sfotografować się nagą pod kroplówką, by udowodnić, że chore ciało jest równie godne i normalne jak zdrowe. Gdy ładnie wyglądasz, nie myślisz, jak funkcjonujesz. Patrząc na chore ciało, czujesz jego śmiertelność. Wszyscy zdrowi są OK, bo nie ma w nich wywalonej na wierzch biologiczności. I chodzą sobie idealni” – powiedziała w jednym z wywiadów artystka.

Tak idealni, jak bohaterowie prac poświęconych operacjom plastycznym, których w sztuce współczesnej nie brakuje. Osiągnięcia lekarzy medycyny estetycznej można rzeczywiście czasami uznać za sztukę najwyższych lotów. Istnieje na to wiele dowodów w postaci zdjęć niektórych hollywoodzkich gwiazd, o naszych rodzimych nie wspominając. Ale nie zawsze nawet najlepszym malarzom udają się obrazy, a marmur tak łatwo poddaje się dłutu, by stać się *Dawidem* Michała Anioła. Niemniej Hipokrates

miał po stokroć rację, twierdząc, że „ze wszystkich sztuk medycyna jest najszlachetniejsza”. Podobnie jak wybitny krakowski lekarz, profesor Andrzej Szczekliki, który uważał, że „medycyna i sztuka wywodzą się z jednego pnia – obie biorą początek w magii”.

I dodawał w książce *Katharsis*: „Przed kliniką przy ulicy Skawińskiej w Krakowie, która przez ostatnie lata życia Piotra Skrzyneckiego była mu drugim domem (ochrzcił ją mianem: „hotel snów”), stanęła rzeźba poświęcona jego pamięci. Przedstawia akrobatów – kobietę i mężczyznę – balansujących wbrew sile ciężkości. Nawiązuje do czarodziejskiej sztuki Wielkiego Maga z Piwnicy pod Baranami, a także do sztuki lekarskiej, będącej balansowaniem na granicy życia i śmierci. Rodowód mają wspólny – magię. O tym rodowodzie medycyny warto pamiętać dziś, gdy przekształca się ona w naukę. Nauka wszakże to tylko jeden ze sposobów poznawania rzeczywistości”.

W przygotowaniu tekstu pomogła mi książka Andrzeja Szczekliki *Katharsis*, a także artykuły Leszka Sosnowskiego *O związkach sztuki i medycyny* i Izabeli Kowalczyk *Pomiędzy sztuką i medycyną*.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...



**Prof. dr hab. n. med.
Dominika Dudek**
– psychiatra,
kierownik Katedry
Psychiatrii CM UJ

Psychiatra zaangażowana we wszystko, co naukowe, uczone, uniwersyteckie, dydaktyczne, wykładowe, analityczne, poznawcze, empiryczne i ponadczasowe. Miłośniczka czerwonego wina, muzyki Zbigniewa Preisnera, turystyki i psów w czarno-białe kropki. Bywalczyni melancholijnych zebrań, posiedzeń, narad i kameralnych spotkań. Gotowa o każdej porze dnia i nocy do ratowania naszych dusz i ciał. Zapewne uważa, że lepiej nie opowiadać sobie snów, bo przecież mogą dojść do władzy freudyści... (jak ostrzega Stanisław Jerzy Lec).

(Ewa Lipska)

Mówiła dla „Krakowa” (2021, nr 7, fot. Grzegorz Kozakiewicz):

– Człowiek jest istotą silną, ma tendencję do odradzania się. W psychiatrii

dominującym paradygmatem jest paradygmat podatność–stres czy podatność–sytuacja zewnętrzna. Czyli – żeby wystąpiło zaburzenie psychiczne czy choroba psychiczna – musi być jakaś podatność, na przykład genetyczna. Wśród osób bardziej podatnych istnieje zwiększone ryzyko, że zareagują jakimś zaburzeniem psychicznym. Takie zaburzenie, które klasycznie związane jest ze stresem, nazywamy zespołem stresu pourazowego. To, co obserwujemy w pandemii, to oczywiście nie tylko zaburzenia stresowe, pourazowe, ale również duża ilość zaburzeń lękowych, zaburzeń depresyjnych. Stan psychiczny związany z pandemią i jak będzie wyglądać ten krajobraz po bitwie, to jest sprawa dużo bardziej złożona.



**Prof. dr hab. n. med.
Julian Dutka**
– ortopeda i traumatolog,
ordynator Oddziału
Chirurgii Ortopedyczno-
-Urazowej Szpitala
Specjalistycznego
im. Stefana Żeromskiego

Mówi, że ponad połowa wszystkich dolegliwości bólowych człowieka związana jest z narządami ruchu. – Potrafimy dziś pomóc pacjentom w podeszłym wieku. Najstarszy, którego operowałem, miał 103 lata – opowiada. Pod kierunkiem profesora wykonano wiele innowacyjnych operacji; na przykład wszczepiono pacjentce gwóźdź, który za pomocą sygnałów elektromagnetycznych powiększał się i stopniowo wydłużał jej krótszą o 14 cm kończynę. Profesor od kilku lat wyjeżdża do Papui-Nowej Gwinei i na Madagaskar. Pracujący „na końcu świata” ortopedzi poprzez proste, znane od dawna metody uzyskują wspaniałe wyniki w leczeniu wad nabytych, chorób i urazów. – Mam tam możliwość wykonywania zabiegów, których w naszej cywilizacji

nie miałbym szansy przeprowadzić. Wiem z doświadczenia, że w medycynie nie ma nowoczesnych i przestarzałych metod – są skuteczne albo nieskuteczne.

Profesor od zawsze interesował się filozofią i psychologią. Wielką wagę przywiązuje do rozmowy z pacjentem. Jego zdaniem medycyna jest dziedziną koncyliarną, a ortopedia to sztuka, nie rzemiosło. W młodości z upodobaniem grał na skrzypcach, czasami nadal to robi; muzyka uwrażliwia. Kocha też narciarstwo i chodzenie po górach, a nade wszystko podróż. – Mam bogatą dokumentację oraz mnóstwo zdjęć z wielu wojaży. Brakuje mi tylko czasu, by je uporządkować i wspominać.

(Majka Lisińska-Kozioł,
fot. archiwum domowe)



Jacek Madej, *Pejzaż I*

Jubileuszowo...

Rozmawiała Maria Malatyńska

Jerzy Trela: Im człowiek jest starszy, czyli coraz mocniej dojrzały, tym bardziej rozumie, że liczy się nie tylko teatr, choć można go wielbić, uważać za pasję i misję, doceniać powodzenie i osiągnięcia – ale i to, co było poza teatrem. Miejsce, z którego się wyszło i powraca w wieku dojrzałym jak do gniazda.



Fot. Alicja Rzepa

Maria Malatyńska: Przed laty niezapomniany Federico Fellini powiedział o sobie „jestem filmem”. Ciekawa jestem, czy Ty potrafiłbyś powiedzieć o sobie teraz, w chwili swojej zacnej osiemdziesiątki, „jestem teatrem”?

Jerzy Trela: Nigdy bym tak nie powiedział...

Czy dlatego, że zawsze byłeś zbyt skromny? Ale przecież tylko pozornie za takim stwierdzeniem stoi przechwałka. Bardziej jest w tym świadomość, dorobek, a więc i odpowiedzialność. A Twoje 80 lat życia, z czego 60 lat na scenie, ponad 250 wykreowanych postaci, spektakle z Twoim udziałem, nie tylko w wielkim Starym Teatrze w Krakowie, ale i w wielu teatrach Warszawy, zwłaszcza z Jerzym Grzegorzewskim w Teatrze Narodowym, z jego *Sędziami*, *Weselem*, *Morzem* i *Zwierciadłem*, a oprócz tego nagrody i popularność... Czy to za mało, żeby utożsamiać się z teatrem?

To nie to... Tylko im człowiek jest starszy, czyli coraz mocniej dojrzały, tym bardziej rozumie, że liczy się nie tylko teatr, choć można go wielbić, uważać za pasję i misję, doceniać powodzenie i osiągnięcia – ale i to, co było poza teatrem. Miejsce, z którego się wyszło i powraca w wieku dojrzałym jak do gniazda. Rodzina, którą się stworzyło, świat, który się oglądało, przyjaciele, po prostu wszystko...

A więc wspomnienia przede wszystkim?

Może nie przede wszystkim, ale też. Często, na przykład, myślę o tym, że za mało czasu poświęcałem dzieciom, jak były małe, choć bardzo się starałem, a jak przyjeżdżałem z różnych wojaży teatralnych, to zawsze jakieś choćby małe prezenty im przywoziłem. Różnie z tym bywało, pamiętam, jak przywoziłem synowi z Moskwy elektryczne dółtko. Na szczęście wprost z lotniska musiałem jechać do teatru, a nie do domu. Dałem naszemu elektrykowi to dółtko do sprawdzenia. Włączył do kontaktu i spalił całą elektryczność w teatrze. Okazało się, że było ono na inne napięcie niż używane u nas. Ale na szczęście wszystko udało się naprawić i Piotrek dostał prezent bezpieczny. A córka, gdy była mała, dostała, tym razem z Londynu, wózek spacerowy, jakiego żadne dziecko na osiedlu nie miało. Oczywiście prezenty to namiastka ojcowskiej bliskości, ale tak było. Jak aktor dużo pracuje, a ja pracowałem bardzo dużo: rano na próbie, wieczorem spektakl, i to codziennie, to rodzina w jakiś sposób jest poszkodowana. I żona to akceptowała. Ale jedna rzecz była dla mnie święta: wspólne wakacje. Na dwa tygodnie zawsze wyjeżdżaliśmy całą rodziną na wakacje. Zawsze byliśmy razem. Oczywiście, im jestem starszy, a dzieci dorosłe, samodzielne i mające

własne rodziny, to ta świadomość, że kiedyś byłem z najbliższymi w sposób niepełny, tylko się pogłębia. I pewnie już tak będzie. Ale też pamiętam niezwykły moment, gdy żona tak bardzo wzruszyła się *Dziadami* Swinarskiego, że zrezygnowała z własnej pracy zawodowej, powiedziała, że zajmie się tylko domem i dziećmi, bo ja mam prawdziwie ważne rzeczy do wykonywania. I była w tym konsekwentna. **Wspomniałeś o gnieździe, z którego wyszedłeś. A więc Leńcze – między Skawiną a Kalwarią Zebrzy-**

nie było, bo jechał gdzieś w Bieszczady. A to był czas, gdy wieści z Bieszczad bywały okrutne. Tośmy się wszyscy denerwowali, czy wróci czy nie, w zimie szczególnie, gdy wszystko było zasypane.

Były też i radosne wspomnienia. Pamiętam, jak ojciec przywiózł pierwszą paczkę UNRRY – a młodszym wyjaśniam, że to były paczki przysyłane z Ameryki jako powojenna pomoc dla krajów, które ucierpiały od wojny. Po 1947 roku władze komunistyczne już zakazały tych paczek, uznając je za in-



Jerzy Trela i Krzysztof Globisz w *Prawdziwym życiu aniołów*, 2022, reż. Artur Więcek „Baron” (prod. Kraków Film Klaster, Bereś Media), fot. Grzegorz Ziemiański

dowską, dom, mama, tata – maszynista kolejowy, który tragicznie zginął w katastrofie, gdy miałeś 9 lat, młodszy brat... Do dzisiaj te Leńcze są dla Ciebie źródłem siły?

W każdym razie są dla mnie do dziś ważne. Bo tam jest moje dzieciństwo, wczesna młodość, a przecież dla każdego człowieka, jeśli buduje swoją tożsamość, to ten czas wczesnego dzieciństwa ma wartość podstawowego budulca. Pierwsze swoje lata tam przeżyłem. A to był czas kończącej się wojny, mamę zamknęli do obozu w Płaszowie, wujek przejął na ten czas opiekę i wykupił mamę za... dwa kilogramy kiełbasy i dwa litry spirytusu Baczewskiego. Mama razem z nim miała ten wyszynk w Leńczach i w tym wyszynku pod ładą się ukrywałem i pewnie w jakiś sposób się wychowywałem. Tam przychodzili partyzanci różnej maści i jak najpierw pili razem, tak później zaczynali strzelać. A ja pod tą ładą siedziałem i wszystko widziałem. Mam i inne obrazy w pamięci. Jest takie wspomnienie o mojej mamie, która w swojej kasetce sekretnej chowała wszystkie recenzje o mnie, co odkryłem dopiero, gdy umarła. Nigdy nie przyjechała, żeby mnie zobaczyć na scenie, uważała, że to nie jest zawód dla mnie, chciała, żebym jak ojciec pracował na kolei. Ojciec był maszynistą, niemal bez przerwy w drodze, nieraz go i przez tydzień

gerencję w suwerenność Polski Ludowej. A więc jak ojciec przywiózł pierwszą taką paczkę, to była wielka atrakcja. Zapach pomarańczy, zupełnie nam wówczas nieznanych, do dziś czuję, a czekolada, przepyszna, też nieznana, przynajmniej dzieciom urodzonym w czasie wojny, była pakowana w dużych blokach. Pamiętam też małe, słodkie kuleczki, myślałem, że to cukierki, ale ponieważ nie można ich było zgryźć, to połykałem je w całości. Niestety, były to całkiem nam nieznane gumy do żucia, więc w moim wypadku nie obyło się bez lekarza. Zawieźli mnie do Kalwarii, bo najbliżej, i tam przeżyłem płukanie żołądka. Takie było moje dzieciństwo.

Ale muszę się przyznać, że nawet wiele lat później każdorazowy wyjazd do Leńcz to było dla mnie święto. Jechałem do mamy na łazanki. Były świetne, jedyne w swoim rodzaju, a ich zapach też często mi towarzyszy. Kiedyś byliśmy przez tydzień w Leńczach, z Jurkiem Bińczyckim i z dziećmi, ja z Piotrkim, a on ze swoją córką. Mama nam gotowała, a mama robiła to doskonale, zawodowo. Pamiętam, jak Bińczycki mówił potem nawet w radio o zupach, jakich nigdy wcześniej nie jadł, a które poznał dzięki mojej mamie, gdy był w Leńczach.

Pamiętam, jak poszliśmy wtedy na ryby, a tymczasem złapał się na wędkę rak... Mama przygotowała

wtedy wątróbki, które ogrzaliśmy na słońcu, żeby trochę podgrzać, i na to złapaliśmy w tym samym dniu 67 raków. Wzięliśmy blaszany pojemnik, nalałiśmy wodę, wrzuciliśmy tam raki, mama zasypała to świeżym koprem, a wieczorem przyjechała moja żona i zrobiła nam prawdziwą ucztę.

Wróćmy do teatru. Te Twoje 60 lat na scenie, to najważniejsze spektakle, najgłośniejsze przedstawienia i wielkie nazwiska reżyserów. Wystąpiłeś też w wielu ważnych spektaklach Teatru Telewizji,

radością. W każdym razie dla mnie jest! To prezent, który mi dała Agnieszka Glińska niedużą rolę w *Trąbce do słuchania*. A że nie tak dużo jest do zagrania, no to co? Ta postać jest w spektaklu kimś znaczącym, partneruję wspaniałej Ani Dymnej, jest miła atmosfera, czegoś chceć więcej? Dla każdego aktora celem jest, aby grać, dopóki może, a jak już nie może i nie chce męczyć publiczności swoją niemocą (dziadostwem), to wtedy odchodzi. Chyba że Solski. Ale Solski to coś jedyne i niepowtarzalne-



Jerzy Trela jako Narrator w *Historii filozofii po góralsku według ks. Tischnera*, 2005, reż. Artur Więcek „Baron” (prod. Bereś & Baron Media Productions), fot. Piotr Uss Wąsowicz

choćby *Do piachu* Tadeusza Różewicza, *Kartotece rozrzuconej*, *Kolacji na cztery ręce*. A oprócz tego ponad 70 filmów...

Głównie epizody.

Ale jakże różne! Zdarzyły Ci się przecież i znacznie większe role, choćby *Znikąd donikąd* Kutza czy *Anioł w szafie* Stanisława Różewicza i jeszcze kilka innych. Zresztą do filmu jeszcze wrócimy, mówmy o teatrze. Dlaczego chcesz się pomniejszać? Dorobek wielki, sława jednoznaczna, a przyszłość wciąż przed Tobą. Nawet w wielkich i małych epizodach... Jesteś wprawdzie aktorem spełnionym, jak sam podkreślałeś nieraz, ale też gotowym na przyjęcie propozycji na przyszłość.

To prawda i cieszę się z każdej aktorskiej możliwości. Miałem ostatnio pewną przerwę w graniu, ale okazało się, że nawet film na mnie poczekał. Film, czyli Janek Holoubek ze swoją *Wielką wodą*, która niedługo będzie na ekranach. Rzecz jest o pamiętnej powodzi we Wrocławiu w latach 90. minionego wieku, a ja zagrałem tam może i niewielką rolę, ale istotną i dramatyczną: człowieka, któremu powódź zalewa dom, a on o ten dom walczy z siłą i determinacją tak mocną, że wszystko dla niego kończy się szpitalem...

Po pewnej przerwie wróciłem też na scenę Starego Teatru, a każdy taki powrót jest dla aktora

go. A osiemdziesiąt lat to nie jest jeszcze taki wiek, żeby koniecznie mówić o starości. Nawet dla aktorów to nie jest jeszcze czas ostateczny.

Gra u Agnieszki Glińskiej sprawiła mi radość. Nie ból, nie cierpienie, ale radość: sympatyczni młodzi koledzy aktorzy, reżyserka ładna i miła, profesjonalistka. Takie nieduże wejście do sztuki to sama przyjemność! Nawet jako okazja do odświeżenia siebie samego po czasie przymusowej nieobecności. Uważam więc, że szczęśliwie się złożyło, iż mogłem wrócić.

A że Janek Holoubek na mnie czekał, to też miłe. Ale to nic dziwnego, wywodzi się ze wspomniałego domu artystycznego, bo Magda Zawadzka i Gustaw to wspinali artyści. A to powoduje, że syn ma szacunek do aktorów, a jeszcze do kogoś takiego, kogo tata kiedyś polubił... Mieliśmy nawet bliski kontakt w ostatnim przedstawieniu Gustawa, w którym grałem. To był *Król Edyp* z Piotrusiem Fronczewskim w roli głównej, potem Jasiak robił przeniesienie tego przedstawienia do TV, widział więc, jakie są relacje między nami, ale w ogóle on ma szacunek do aktorów, z którymi pracuje.

Znowu ta skromność! Przecież za Tobą stoi cała masa ról, które Cię stworzyły jako artystę, stworzyły Twoją pozycję, więc może młody reżyser też

poczuł się zaszczycony, że się zgodziłeś i u niego zagrałeś, a on mógł na Ciebie poczekać.

Nie, nie... To ja się poczułem dobrze, że miły i utalentowany młody człowiek mnie zaprosił, ba, nawet czekał na mnie, kiedy będę w dyspozycji, to było miłe.

Gdy patrzysz na te swoje 60 lat na scenie, to powiedz, co Ci się najbardziej podoba w aktorstwie? I co Cię najbardziej denerwowało przez te wszystkie lata?

Może powiem najpierw o tym, co mnie denerwowało. Nie lubię się malować, nie lubię się przebierać, choć przecież wiem, że jest to wpisane w ten zawód i muszę to robić... Ale z malowaniem, to cała tragedia...

Ty nie musisz się malować! Matka Natura dała Ci taką twarz, że ona w każdej chwili jest gotowa, by swoją wyrazistością zagrać.

Ale obok twarzy są inne elementy. W jednym filmie miałem perukę, która ciągle mi się zsuwała na brwi, a raz udało mi się przesunąć ją wyżej. I pomyślałem nawet, że to jest walor, taka wędrująca peruka! Nikt się nie połapał. Dopiero jak film był gotowy, to sprawa się wydała.

Sam kostium lubię i cenię, tylko przebierać się nie lubię. Dlatego moment przebierania się w teatrze zawsze opóźniałem, żeby to było jakby mimochodem, niezauważalnie niemal dla mnie samego. W *Ślubie* Gombrowicza był taki pomysł, pewnie samego reżysera Jerzego Jarockiego, żebyśmy wchodził na scenę tunelem. W środku, w tym tunelu wystawała sztaba, a ja przebijając się w pośpiechu, później niemal biegłem przez ten tunel i zawsze się uderzałem w głowę. Gdy poważna krytyczka teatralna zapytała mnie wtedy, o czym myślę, wchodząc na scenę, to odpowiedziałem, że o tym, żeby się nie wałnąć w tę sztabę.

Podobno każdy reżyser powinien patrzeć, jak aktor po raz pierwszy przymierza kostium, bo wtedy widać, jak wchodzi w postać. Czyli kostiumowi powinna towarzyszyć chwila zadumy, a nie szybko, szybko, bo już.. Co Ty na to?

Może za pierwszym razem, bo tak w ogóle to ja czuję kostium, wiem, kiedy jest adekwatny do roli, do mojej osobowości i tak dalej. Nie lubię, jak mi ktoś kostium narzuca, wbrew mojej osobowości, że to będzie lepsze. Na to się nigdy nie zgadzam, bo przecież znam postać, czuję ją, wcześniej się do niej przygotowywałem, więc wiem, jak mój bohater powinien być ubrany! Mnie tylko denerwuje i przeszkadza proces przebierania się, malowania, tego nigdy nie lubiłem. **Ale aktor teatralny z kostiumem jest niemal zrośnięty. Ty też sporo grałeś w kostiumie. Z taką twarzą oraz głosem wszędzie dałbyś sobie radę i bez kostiumu, ale którą z tych kostiumowych ról najlepiej pamiętasz lub która postać specjalnie przypadła Ci do serca? Bo dla mnie najciekawszy byłeś jako Rejent Milczek...**

Też jakoś lubiłem tego Milczka.

A co najbardziej lubisz w samym graniu?

Chwilę, kiedy wejść już na scenę. Bo wtedy wszystko mnie przestaje boleć, już czuję się pewnie, już czuję się na swoim gruncie. Już dotykam ziemi i nabieram siły. Nieraz, jak przychodzę do teatru, jestem zmęczony, wszystko mnie boli... Nagle wchodzę na

scenę i odżywam. A gdy udaje mi się nawiązać kontakt z publicznością, to już jest pełnia szczęścia.

Czy z tego mogłoby wynikać, że Twoim naturalnym środowiskiem jest scena, a nie normalny świat, ten poza sceną?

Nie, nie... To raczej polega na tym, że scena jest dla mnie odskocznią od życia. Człowiek jest niekiedy wewnętrznie zdemolowany i wchodzi w tę swoją przestrzeń na dwie-trzy godziny i tam czuje się całkowicie wolny. A przed wejściem i po zejściu znowu wchodzę w normalną rzeczywistość, a ona, jak to już klasyk powiedział, nieraz skrzeczy, czyli nie jest taka, jak być powinna.

A może ta odskocznia od życia ma jeszcze inne walory? Na przykład szansę, żeby się w czyichś życiach zagubić? I jeszcze się cieszyć, gdy tym innym życiom potrafisz oddać trochę siebie?

Raczej mówię o zwyczajnym, technicznym wejściu na scenę. Bo z identyfikowaniem się z postaciami raczej byłbym ostrożny. Zresztą uczyłem się od największych, takich, jak Holoubek, który zawsze przestrzegał, żeby nie poddawać się postaciom. On kre-

Mogę mieć jakąś tęsknotę do *Wesela* Grzegorzewskiego, mogę mieć tęsknoty do *Wyzwolenia* czy do *Dziadów* albo do *Ślubu* Jarockiego, ale to są tęsknoty, a nie pragnienie powrotu. Bo jest oczywiste, że taki teatr nie wróci.

ował te postaci na swoich warunkach. Są aktorzy, którzy ulegali swoim bohaterom i wychodzili z teatru „w kostiumie”. I ogół już na w tym kostiumie zostawali. Ale to byli z reguły aktorzy jednej roli.

To dobrze, że masz instynkt samozachowawczy! Bo jak patrzysz w przeszłość i bierzesz pod uwagę te 250 postaci z teatru, to tym lepiej, że się nie identyfikowałeś, bo musiałbyś chyba zwariować z taką liczbą ludzi na karku! Ale jest sztuka, w której identyfikacja jest naturalna. To oczywiście film, ale też telewizja. Zagrasz postać, idziesz do domu, a postać gotowa, jedyna w swoim rodzaju zostaje na ekranie. Nie do zepsucia, nie do poprawienia, idealna! Twój ulubiony Kazimierz Kutz umiał taką magię rozsnuwać!

Zatrzymajmy się przy Kutzu, bo u niego zagrałem moją ulubioną rolę, choć rzecz dotyczyła najbardziej znienawidzonej do dziś postaci, czyli Stalina! I rzeczywiście, została na ekranie taka, jak ją stworzyłem. Poza tym miałem możliwość bezpośredniego zetknięcia się z Tadeuszem Łomnickim, co było dla mnie niezwykle stresujące, także dlatego że zostałem dokooptowany do tej roli bardzo późno. Kto inny miał to grać, ale coś się tam zepsuło i nagle zadzwonił do mnie Kazio i mówi: ratuj, bo rozbierają halę, w której mamy nagrywać, a nie mogę tego odłożyć, bo obiecałem Łomnickiemu, że to zrobimy. Tadeusz już w czerwcu pojechał na urlop z tekstem, a ja w końcu wrzeźnia jestem błagany o ratunek. „Kaziu, nie dam rady, bo jadę z teatrem do Niemiec”. Ale Kutz na to: „Ja ci pomogę, razem damy radę”. Zgodziłem się. Zdołałem wziąć udział tylko w jednej próbie przed

nagraniami i na własne oczy zobaczyć, jak Łomnicki był perfekcyjnie przygotowany. I po pierwszym dniu chciałem uciekać, dlatego że zobaczyłem jego wielkość z bliska. Nigdy nie graliśmy ze sobą tak wprost, „jeden na jeden”. Gdy miałem z nim do czynienia w filmie, to raczej byłem na chwilę i obok. Chciałem uciekać, bo się go bałem, a przecież w sztuce miało być odwrotnie: to jego postać, aktor, miała się bać Stalina. Ale i Kutz, i Staś Zajączkowski, który był telewizyjnym realizatorem tego spektaklu, przekonali mnie. Zostałem. A już pomyślałem, że jak ucieknę, to ukryję się w moich ulubionych Bieszczadach i co mi zrobią... Z drugiej jednak strony wiedziałem, jeśli zerwę spektakl Łomnickiemu, to będę na długie lata przegrany w środowisku. Wymyśliłem więc taktykę, jak się przygotowywać na każdy następny dzień, bo przecież cierpiałem na deficyt czasu! Podzieliłem sobie noc tak: godzina snu i godzina Stalina, znowu godzina spania i dwie godziny Stalina. I tak przez jedenaście bodaj dni. Spałem niewiele, ale się uczyłem. Na trzeci dzień poczułem się już trochę pewniej, bo Kutz mi powiedział: Jurek, jest dobrze! Podszedł do

Misją teatru jest to, że ma prawo, aby każde pokolenie mogło na nowo odczytywać wielkie dramaty klasycznej sztuki.

nas Tadeusz i mówi: „Kaziu, ja się go zaczynam bać”. To był balsam na duszę i na komórki pamięci. Odżyłem. Ale nadal walczyłem nocami z tekstem.

Ale miałeś wielki atut, bo grając tego, którego należy się bać, mogłeś nawet ograć swoje warsztatowe niby-niedokończenie jako jakąś świadomie cedzoną tajemnicę. Ten aktor naprzeciw Ciebie zabiegał, kręcił się, był niepewny i do końca nie wiedział, czy trafia czy nie trafia do dyktatora. A przypomnijmy, że to był aktor żydowskiego pochodzenia, który w środku nocy został wezwany przez Stalina, by rozmawiać o kreowanym przez niego królu Learze. Ale sytuacja! Wszystko mogło się zdarzyć!

Tak było, ale też moim atutem było to, że Stalin nie mówił podniesionym głosem, Stalin mówił spokojnie, wolno, przecież nawet jak wydawał wyrok śmierci, to robił to z uśmiechem i przepraszał skazanego. Po prostu był graczem, niesamowitym graczem, reżyserem tych swoich okrutnych spektakli. Zresztą jego ulubionym dramatem był właśnie *Krół Lear*. Stalin fascynował się królem Learem, tym, że ten król popełniał takie błędy, jakich on nie popełniał nigdy. Bo on przecież nie oddałby władzy, on zamiast oddawać władzę, mordował ludzi, którzy mu przeszkadzali w jej sprawowaniu. Byłem więc w naturalnym napięciu. Ale bardzo często aktorowi taki stres pomaga. W specyficznych przypadkach. Bo zazwyczaj powinno się być w pełni świadomym tego, co się robi. A ja byłem świadomy tego, co chcę zrobić, ale równocześnie wiedziałem, że nie w pełni jestem do tego przygotowany.

Widocznie takie napięcie Ci służy, bo wyszło arcydzieło.

Pamiętam też sympatyczne zdarzenie z tamtej realizacji: Łomnicki zauważył, że nie wychodzę na obiad,

bo trzeba było przejść do sąsiedniego budynku, a ja zostawałem i przygotowywałem tekst na popołudnie. Raz przychodzi z obiadu i kładzie obok mnie jakąś paczkę. „Co to jest?” – pytam. „Kanapki – on na to. – Nie możesz codziennie grać na głodno”.

Powiedziałeś, że Stalin był okrutnym graczem i miałeś okazję to przedstawić, Hitler też, jak mówił badacze, którzy się nim zajmują, był graczem, ale jakże odmiennym...

Był pajacem. Graczem-pajacem, choć równie krwawym... A Stalin był reżyserem swoich gier.

A na czym polega Twój kompleks filmowy? Czujesz, że film Cię jeszcze nie w pełni odkrył, choć zagrałeś w 70 tytułach i nie tylko epizody?

Miałem wrażenie, że fizycznie nie nadaję się do zbliżeń filmowych. Gdy Andrzej Żuławski namawiał mnie do głównej roli, mówiłem, że nie nadaję się, bo nos mam za duży. Al Pacino ma dwa razy większy, mówił Żuławski, a gra. Operator może zrobić wszystko.

Skończyłeś szkołę teatralną w 1969 roku, czyli przeżyłeś, podobnie jak Jerzy Stuhr i tyłu naszych rówieśnych kolegów, rok 1968. To pierwsze rewolucyjne dojrzewanie przygotowało Cię do wielkich, rewolucyjnych ról? Bo przecież był zaraz, za dwadzieścia lat Stary Teatr i *Dziady* Swinarskiego z Twoją rolą Gustawa-Konrada. Zaczęło się od najwyższych diapazonów!

Zaraz, zaraz, nie tak bezpośrednio: rok 1968 zastał nas w Teatrze STU, graliśmy wtedy w Jaszczurach, pamiętam, że nie od rewolucyjnych spraw zacząłem, bo to była *Kobieta-Demon*. Teatr STU jest ważny dla mnie także dlatego, że to był mój prawdziwy początek. Dla mnie ten teatr zaczął się od spektaklu, który nazywał się *Pamiętnik wariata* Mikołaja Gogola i od mojej roli Poprząsaczyna, w reżyserii Jana Łukowskiego. Pamiętam, jak Krzysztof Jasiński, pomysłodawca tego teatru, wraz z kilkoma innymi kolegami, też z Łukowskim, zaprosili mnie do udziału w przygotowywanych spektaklach, w tym całkiem nowym, dopiero otwierającym się teatrze. Niektórzy piszą, że byłem współzałożycielem tego teatru – to nieprawda. Byłem współuczestnikiem pierwszych spektakli. Pamiętam, jak Krzysztof Jasiński wyreżyserował coś w rodzaju oratorium rewolucyjnego – spektakl złożony z wierszy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Tadeusza Różewicza i innych – i też w tym byłem. Pamiętam wspomnianą *Kobietę-Demon* w reżyserii Jana Łukowskiego, z Januszem Sztyłowskim i Danusią Maksymowicz.

Zresztą, gdy myślę teraz o Teatrze STU, to widzę, że zatoczyłem jakiś krąg. Bo pierwsza moja znacząca rola, ta, która mnie utwierdziła w wyborze zawodu, to był *Pamiętnik wariata* Gogola w STU. I oto po latach, po wszystkich innych teatrach, jakby powróciłem do tego źródła. Było to wtedy, gdy dużo grałem w Starym, ale znalazłem się – taką miałem świadomość – na rozdrożu zawodowym. Czułem, że jest mi potrzebna jakaś inna forma. Wtedy przypomniałem sobie, że Krzysztof Jasiński wciąż mnie namawia, żebym coś zrobił dla STU, a ja nigdy nie miałem czasu. I tak nagle poszedłem do STU z tekstem Kołakowskiego, z *Kazaniem Księdza Bernarda*. Krzysztof obiecał, że to przeczyta, że weźmiemy jakiegoś reżysera i zrobimy ten tekst. Przeczytał

i się zachwycił. Trafiło to w jego zainteresowania demonologią. „Sami to sobie zrobimy, ja ci to wyreżyseruję” – powiedział i jeszcze w tym swoim zachwycie zrobił mi trzygodzinny wykład o demonologii, tak bardzo trafiło to w jego zainteresowania. *Kazanie Księdza Bernarda* jest w repertuarze tego teatru do dziś.

I wciąż ma ogromne powodzenie, co widziałam nie tak dawno w Teatrze Na Plaży w Sopocie. Przed STU, jeśli już ten teatr traktujesz, jak „zatoczone koło aktorskie”, był Stary Teatr, wielki repertuar, wielkie nazwiska: Swinarski, Jarocki, Grzegorzewski i tylu innych. Czyli to wszystko, co Cię stworzyło, a więc ten absolutnie wielki teatr lat 70. XX wieku... Która z tych pierwszych wielkich postaci najbardziej Ci zapadła w pamięć? Do czego byś chciał wrócić?

Nie ma powrotu, to dla mnie oczywiste. Nie mam zresztą takich ciągów, żeby powrócić do czegoś, co było. Ale po latach wiem, że zawsze temat był dla mnie ważniejszy niż postać. Najważniejsze dla mnie, najgłębsze myślowo było *Wyzwolenie*. I Wyspiański w ogóle. Wyspiański mnie zawsze fascynował. Choć, z drugiej strony, tak łatwo dałem się nabrać na ten jego żart, że „teatr jest świątynią sztuki”... Pamiętasz na pewno: „W świątynię wszedłem, wielką, ciemną, / Dążyłem... nie wiem dokąd dążyć”... Piękne. To przecież właśnie z *Wyzwolenia*. I zawsze mi się to przypomina, gdy ktoś mówi o ważności sztuki. Sztuka – świątynia... To mogłoby być motto do naszego wywiadu.

Wspaniałe, oczywiście, ale jak też dobrze pamiętasz, tam wcześniej są różne inne rzeczy, na przykład, że Konrad chce normalności, ale „Tylko z usunięciem oszustwa narodowego, z usunięciem kradzieży narodu, oszustów, którzy rujnują naród, złodziei, którzy okradają naród... Po pierwsze z duszy! Duszę mu kradną!!!”...

Ale przepraszam, przecież nie będziemy rozmawiać o polityce, więc już nic nie powiem o *Wyzwoleniu*! My zresztą jesteśmy takim narodem, który lubi wzniosłe cytaty. Wyspiański jest do tego znakomity. A jak się przechodzi przez aktorstwo, to trudno nie mieć w sobie wielu tych cytatów.

Powiedz, z całym doświadczeniem człowieka, który przeżył ten wielki, prawdziwie wielki teatr, jaki był w latach 70.? Sam go wówczas współtworzyłeś. Czy jest Ci czegoś żal?

Czy mi żal? Chyba poszczególnych przedstawień. Mogę mieć jakąś tęsknotę do *Wesela* Grzegorzewskiego, mogę mieć tęsknoty do *Wyzwolenia* czy do *Dziadów* albo do *Ślubu* Jarockiego, ale to są tęsknoty, a nie pragnienie powrotu. Bo jest oczywiste, że taki teatr nie wróci. Jestem na tyle realistą, że wiem, iż nie ma powrotów.

A nie kusi Cię, żeby zrobić jakąś wielką syntezę z tych największych osiągnięć? Zrobić wielki monodram, spektakl, który by się składał z największych romantycznych postaw czy haseł?

Właściwie robiliśmy coś takiego, takie wielkie monologi ze Zbyszkim Preisnerem. Zresztą Zbyszek zamierza rozwinąć tę koncepcję na ruinach tego, co było. Cokolwiek by się robiło na ten temat, jest to ważny cytat z przeszłości, ale i spojrzenie z perspektywy czasu. Myślę, że nie powinno się tego zgubić.

Bo zwykłych powrotów nie może być. Inaczej patrzy się teraz na teksty, inna jest publiczność, inna potrzeba kontaktu.

A czy we współczesnym teatrze jest coś, co Cię fascynuje, w czym specjalnie chciałbyś uczestniczyć? Podjąć, wstrząsnąć – i zawojować, choć wszystko tu tak niepodobne do tamtego teatru?

Ale to głupie by było, gdybym chciał coś teraz zawojować, gdy wiem, że jestem w innym miejscu i w innym czasie... A parę razy wchodziłem do różnych spektakli nowego teatru, byłem w tym, naginałem się i pozostawałem. Nie trzymałem się kurczowo Konrada, gdy grałem Szajbusa u Artura Więcka „Barona”. Teatr dlatego jest wielki, że jest różnorodny, odmienny za każdym razem. Nie można się w nim trzymać jednej konwencji czy jednego zestawu środków warsztatowych. Przecież cały czas trwa ewolucja.

Szajbusiem byłeś cudownym nie tylko ze względu na zaskakujący kostium, ale i z powodu tajemnicy, którą wyczuwało się w tej postaci, w Twojej twarzy, w tym świadomym nieprzystosowaniu...

Różni „wariaci”, którzy chodzą po mieście, mają jakąś swoją filozofię oraz tajemnicę i pewnie z bliska są ciekawsi, niż może się wydawać. Wystarczy się wsłuchać albo sobie wyobrazić!

Teatr jest piękny, ale to wszystko jest szalenie ulotne, trwa chwilę.

Ale dlatego jest wielki. Teatr obrasta pamięcią, przemijaniem, wszystko sprzyja jego legendzie także dlatego, że nie możesz tej wielkości sprawdzić. Kino możesz sprawdzić, bo znajdziesz rzecz w internecie, obejrzyysz nawet po latach... A teatru nie sprawdzisz, bo już nie ma tamtej obsady, tamtej reżyserii, wzruszeń, które wtedy tworzyły aurę... i legendę. Ale teatr musi być żywy. Jak nie gra, jak nie żyje na co dzień, to go po prostu nie ma!

A teatr zwany publicystycznym?

Jeśli był, to był potrzebny jakimś manipulantom, czyli władzy, która kierunkowała teatr, by był na zamówienie. Przecież jeszcze niedawno mieliśmy taki czas. Ale to nie jest teatr. Jest to takie doraźne komentowanie za pomocą narzędzi sceny. Nawet nie sztuki teatru, bo tego przy tej okazji nie ma. Bo misją teatru jest to, że ma prawo, aby każde pokolenie mogło na nowo odczytywać wielkie dramaty klasycznej sztuki. Czyli coś takiego, co na naszych oczach zrobiła z *Dziadami* Maja Kleczewska. Wiem, że gra tam nasza była studentka Dominika Bednarczyk i wszyscy mówią, że jest świetna!

Gra Twoją rolę! Pierwszy raz zobaczyłam Cię na scenie właśnie w roli Konrada w *Dziadach* Swinarskiego. To było bardzo, bardzo dawno temu, początek lat 70. tamtego stulecia. Ale cóż? „I ciągle widzę ich twarze / I ciągle w dusze ich patrzę”... Ech, znowu jakiś cytat! I chyba niedokładny, ale to znowu Wyspiański! Dziękuję za to jubileuszowe wspomnienie... Trzymaj się zdrowo i do zobaczenia.



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



**Prof. dr hab. n. med.
Antoni Działkowiak**

Naprzeciw siebie, przy pacjencie z nieoperowalną wadą serca, stanęli 38-letni dr Antoni Działkowiak i 56-letni prof. Jan Moll. Była noc z 3 na 4 stycznia 1969 roku, w II Klinice Chirurgicznej Akademii Medycznej w Łodzi rozpoczynała się pierwsza w Polsce operacja przeszczepienia serca. Na świecie odważono się na to zaledwie 13 miesięcy wcześniej.

Moll rozciął klatkę piersiową pacjenta podłączonego przez Działkowiaka do krążenia pozaustrojowego, a potem, przy asyście ucznia, odbiera przygotowane serce, by „szwem krawieckim” zespolić przedsionki, tętnicę płucną i aortę. Gdy po wpuszczeniu krwi do naczyń, serce zaczyna bić tętnem 70 uderzeń

na minutę, Działkowiak chce skakać z radości. Jednak trzy godziny i 10 minut po wszyciu problemy z prawą komorą serca ostatecznie zatrzymują je. Operacja była pionierska, ale chirurgom zarzucano „zabieg na granicy klinicznego eksperymentu”.

Profesor nie ponowi próby przeszczepienia serca. Dokona tego jego uczeń: w Krakowie 21 października 1988 roku w Klinice Chirurgii Serca i Naczyń Akademii Medycznej. To była druga udana transplantacja serca w Polsce po operacji doc. Religi, wykonanej trzy lata wcześniej. Tyle że inaczej niż w Zabrzu, gdzie dopiero czwarty pacjent po przeszczepie (maj 1986 roku) opuścił szpital samodzielnie, Działkowiak dokonuje tego za pierwszym razem, a jego pacjent z przeszczepionym sercem żyje 13 lat. Bogatszy o wiedzę, której Religa, jako pionier, mieć nie mógł, uruchamia w Krakowie program transplantacji, dzięki któremu, jak pisze, „pierwszych 25 pacjentów po przeszczepie wyszło z kliniki w znakomitym stanie”.

Wraz z zespołem kardiochirurgów prof. Działkowiak – dziś ponad 90-letni – wykonał w Krakowie ponad 500 transplantacji serca, ale i tysiące operacji kardiochirurgicznych, na przykład wszczepienia by-passów i zastawek, usuwania tętniaków i wad serca. Wymagający i precyzyjny.

(Anna Mateja,
fot. Grzegorz Kozakiewicz)



**Prof. dr hab. n. med.
Artur Gądek**
– kierownik Oddziału
Klinicznego Ortopedii
i Traumatologii
krakowskiego Szpitala
Uniwersyteckiego
oraz Kliniki Ortopedii
i Fizjoterapii CM UJ

Oddział prof. Gądkę zajmuje się pełnym spektrum ortopedycznym – od kręgosłupa po chirurgię ręki i stopy. Więcej, wypracował sobie status ośrodka referencyjnego, bo słynie z pomocy także w przypadkach uznawanych w branży za skomplikowane, zwłaszcza w zakresie stopy i stawu skokowego, wad nietypowych, złożonych urazów wielonarządowych, trudnych endoprotez stawów czy nowotworów. Uznane zyskały choćby operacje wszczepienia endoprotezy biodra pacjentce z karłowatością i usunięcia rozległego guza przerzutowego kości ramienia z jednoczesną implantacją protezy resekcyjnej. „Jako lekarz jestem dumny z takich trudnych zabiegów. Ale nie byłyby one możliwe, gdyby nie udało się nam zebrać zespołu świetnych specjalistów. A to jest efektem odtworzenia w 2013 roku w szpitalu uniwersyteckim – po 12 latach przerwy (!) – oddziału

ortopedii. Doprowadzenie do tego, że nasza specjalność znowu tu wróciła, to mój drugi powód do zawodowej satysfakcji” – mówi lekarz. Zwłaszcza że oprócz wykonywania około 4 tysięcy zabiegów i operacji, kształci tam też zastępy nowych ortopedów.

Charakterystyczne jest to, że większość ortopedów z oddziału czynnie uprawia sport, począwszy od kolarstwa przez maratony po MMA (czyli mieszane sztuki walki) i narciarstwo, które jest też pasją profesora. On sam tłumaczy, że choć w pracy na co dzień stykają się z kontuzjami, nie boi się kontuzji. „Bycie ortopedą ułatwia mi jazdę na nartach, bo wiem, jak pracują narządy ruchu i znam reakcje organizmu. A narty pomagają mi w pracy ortopedy, bo lepiej rozumiem przyczyny urazów”.

(Krzysztof Burnetko,
fot. archiwum domowe)

Natura jest łaskawym przewodnikiem

Rozmawiała Ewa Lipska Ilustracja: LeoDesign

Kilka lat temu zostałam zaproszona przez Michela de Montaigne na zamek Montaigne niedaleko Bordeaux. Przypomnijmy, był to 1588 rok, rozmawialiśmy o filozofii życia, polityce, przemijaniu. Dzisiaj ponownie wracam do Bordeaux. „Niech pani przyjeżdża; czeka zwierzyna zasolona w beczułkach...”. Chcę przypomnieć, że w tym czasie, kilka lat przed końcem urzędowania Montaigne’a wybuchła w Bordeaux pandemia, podczas której umarło 14 tysięcy ludzi. Na szczęście, pana Michała nie było wtedy w mieście. Tym razem porozmawiamy o medycynie, chorobach, psychologii. I oto siedzimy przy suto zastawionym stole...



Ewa Lipska, poetka i nasza dzielna współpracowniczka, została zaproszona przez filozofa i myśliciela, pana Michela de Montaigne do jego rodzinnej rezydencji Château de Montaigne położonej na granicy Périgord i Bordelais, niedaleko Bergerac i Saint-Émilion, w małej gminie Saint-Michel-de-Montaigne w departamencie Dordogne we Francji

Ewa Lipska: Ciężkostrawne, panie Michale...

Michel de Montaigne: Pewien szlachcic z naszych stron, nadzwyczaj skłonny do podagry, naglony przez lekarzy, aby zupełnie poniechał solonego mięsiwa, zwykł był opowiadać żartobliwie, że w napadach cierpienia i dolegliwości chce mieć coś, na co mógłby wyrzekać i że, gdy tak wykrzykuje i przeklina na przemian to kielbasę, to ozór, to szynkę, zaraz mu się lżej robi...

Nasz znajomy Sokrates twierdził, że człowiek nie żyje, aby jeść, ale je, aby żyć. Lekarze mają na ten temat inne zdanie.

Rzadko radzę się lekarzy, gdy się czuję niezdrowy. Ci ludzie nadużywają grubo swej przewagi, kiedy mają kogoś na łasce. Kotłują do znudzenia uszy swymi prognostykami; raz nawet, dopadłszy osłabionego napadem cierpienia, haniebnie mnie ucztowali swymi dogmatami i uroczystymi gębami, wróżąc

to wielkie bóleści, to bliską śmierć. Nie przybiło mnie to ani ochwiała w mej postawie; ba, zawsze podrażniło i dotknęło... Podagra, kamień, niestrawność to oznaki długich lat... Sztuka lekarska nie jest tak jednomyślna, by nam miało zabraknąć jakiegoś autorytetu, co bądź byśmy czynili. Zmienia się ona wedle klimatów i odmian księżyca... Jeżeli waszemu lekarzowi nie podoba się, byście spali, używali wina lub jakiejś potrawy, nie trapię się: znajdę wam drugiego, który będzie innego zdania. Rozmaitość lekarskich argumentów i mniemań rozciąga się na wszelkie postacie. Widziałem nieszczęśnika, jak zdychał i mdłał z pragnienia, a wszystko dla zdrowia; po to, aby następnie wyszydził go drugi lekarz, potępiając tę radę jako szkodliwą...

Ale czasem może warto skorzystać z mądrości medyka?

Powinno się zostawić chorobom wolną drogę. Uważam, iż mniej zatrzymują się we mnie dlatego, że się im nie przeciwiam. Zgubiłem już niejedną z tych, które uważa się za najbardziej uporczywe i trwałe, przez własne ich osłabienie, bez pomocy i sztuki, wbrew zwyczajnym przepisom. Pozwólcie nieco działać naturze: lepiej rozumie się na swoich sprawach od nas. „Ale taki i taki umarł od tego”. To samo i was czeka; jeśli nie z tej choroby, to z innej; a iluż pomarło od tego samego, mając trzech lekarzy wpodłe zadka...?

Czasami jednak lekarstwo pomaga...

Jeśli lekarstwo jest łube, bierzcie je; zawszeście zyskali miłą chwilę. Nie będę pytał ani o jego imię, ani barwę, jeśli jest apetyczne i smakowite: przyjemność to główna i najpewniejsza korzyść. Dałem się zestarzeć i umrzeć we mnie naturalną śmiercią reumatyzmowi, humorowi, podagrze, bieguncie, biciom serca, migrenie i innym przypadłościom, które mnie opuściły, gdy już na wpół zgodziłem się je hodować...

U nas modne ostatnio diety: odchudzające, śródziemnomorskie, proteinowe, planetarne i pewnie niebawem będzie dieta międzyplanetarna...

Dość spojrzeć, ile utrapienia kosztują te diety... Ot, jakiś zwykły wywar z białej rzyci lub tureckiego ziela; przełknąłem go parę razy przez uprzejmość dla dam, które z większą łaskawością niż na nią zasługuje tak błahe cierpienie, dzieliły się ze mną połową swej porcji. Oto i całe lekarstwo, równie niewinne w smaku, jak bezużyteczne w działaniu...

Monteskiusz nawet twierdził, że zdrowie utrzymywane za pomocą bezlitosnej diety to przykra choroba. Nasz wybitny konsyliarz, profesor Wojciech Szczeklik, zaleca spacer... Godzę się z tym, że nie mogę już biegać; kontent jestem, jeżeli się włokę. Nie uskarżam się na naturalny upadek...

Ważne są zapewne też przyjazne biesiady...

Długie biesiady są mi nudne i szkodliwe. Może stąd, iż przyzwyczałem się tak czynić dzieckiem... Jem tak długo, jak długo siedzę przy stole. Dlatego u siebie w domu, mimo że posiłki

są krótkie, rad zasiadam do stołu nieco później od innych, obyczajem Augusta. Nie naśladowę go w tym, iż wstawał również przed innymi; przeciwnie, lubię wypoczywać dłuższy czas i przysłuchiwać się pogwarkom, byłem nie musiał w nich brać udziału; męczy mnie i szkodzi mi mówić z pełnym żołądkiem... Jestem zdania, zgodnie z samym Epikurem, iż nie tyle trzeba patrzeć na to, co się je, jak na to, z kim się je; i pochwałam Chilonowi, iż nie chciał przyrzec obecności na uczcie Periandra, nim się dowiedział, co zacz będą inni biesiadnicy... Mniemam, iż zdrowsze jest jadać znacznie i mniej, a za to częściej... żadnej nie miałbym przyjemności w tym, aby tak, lekarską modą, dziobać trzy albo cztery liche posiłki na dzień, pod przymusem godzin. Kto mi zaręczy, że ten zdrowy apetyt, jaki właśnie mam tego ranka, odnajdę jeszcze wieczór? Chwytajmy, zwłaszcza my, starcy, sposobną chwilę, kiedy się tylko nadarzy: zostawmy składaczom almanachów nadzieję i prognostyki. Ostateczny owoc zdrowia to rozkosz: chwytajmy pierwszą z brzegu, widomą nam i znaną...

Zazdroszczę panu, panie Michale, że czyta pan jeszcze bez okularów...

Nie znam do dziś, co to okulary; widzę równie daleko jak dawniej i nie gorzej niż niejeden młody... Nie odziewam ud ani łydek, ani w lecie, ani w zimie: prosta jedwabna pończocha to całe pokrycie. Zgodziłem się, szukając ucieczki przeciw moim reumatyzmom, trzymać głowę bardziej ciepło; także i brzuch, z przyczyny kolki, choroby moje przyzwyczały się do tego w niewiele dni, a za nic sobie miały zwyczajne me opatrzenie. Doszedłem od szlafmycy do futrzanej czapki, od krymki do kapelusza podbitego watą...

Czy można zakochać się w życiu?

Co do mnie, kocham życie i pielęgnuję takie, jakim Bogu podobało się nam użyć. Nie jest mi w głowie pragnąć, aby było oczyszczone z potrzeb jedzenia i picia... Nie chcę też, by ciało było bez łaskotek i pożądliwości... Natura jest łaskawym przewodnikiem... Najpiękniejsze życie jest, moim zdaniem, to, które kształtuje się na wzór pospolity i ludzki, z porządkiem, ale bez cudu i bez przekraczania miary...

Dziękuję za rozmowę, mam nadzieję, nie ostatnią w naszym zaskakującym życiu.

Wszystkie odpowiedzi Michela de Montaigne'a to cytaty z jego Prób (Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957) w tłumaczeniu Tadeusza Boya-Żeleńskiego.



Ewa Lipska – poetka. Studiowała na ASP w Krakowie. Wieloletni redaktor Wydawnictwa Literackiego, w latach dziewięćdziesiątych wicedyrektor i dyrektor Instytutu Polskiego w Wiedniu. Członek Polskiej Akademii Umiejętności i PEN Clubu.



Dr n. med. Krzysztof Grandys – anestezjolog i specjalista intensywnej terapii, Uniwersytecki Szpital Dziecięcy w Krakowie

Usypiał i budził po operacji tysiące małych pacjentów. Szczególnie pamięta Patryka. – Miał złośliwy nowotwór, trzy miesiące leżał na OIOM-ie. Z medycznego punktu widzenia nie było dla niego ratunku, a on wyzdrowiał. Wciąż utrzymuję też kontakt z Wojtkiem; trafił do szpitala ze złamanym kręgosłupem szyjnym. – Nagle został przykuty do łóżka. Wspólnymi siłami przystosowaliśmy dla niego komputer sterowany brodą. Dziś Wojtek pisze wiersze. Znalazł sens życia.

Doktor Grandys mówi, że jest przede wszystkim lekarzem, ale ukończył też Politechnikę Śląską. – Technika jest moją pasją i odskocznią. Przed kilku laty za nagrodę jubileuszową kupił sobie drukarkę 3D, bo w internecie znalazł japoński

projekt protezy ręki do wykonania za pomocą takiej drukarki z wykorzystaniem dostępnej masowo, taniej elektroniki. Od tamtej pory pomaga dzieciom, które straciły górne kończyny i jest oficjalnym wolontariuszem e-Nable Community Foundation oraz założycielem Fundacji e-Nable Polska. – Z plastikową ręką 3D jest im łatwiej, nie czują się gorsze. Cieszę się, gdy widzę, jak moja praca je uszczęśliwia, wywołuje uśmiech, poprawia komfort życia. Tak było z Igorem z Rybnika, który nie miał części przedramienia i dostał ode mnie czerwono-niebiesko-białą rękę 3D, tak było z Karoliną, która na wydrukowanej w 3D dłoni mogła malować paznokcie.

(Majka Lisińska-Kozioł, fot. Jacek Kozioł)



Prof. dr hab. n. med. Waldemar Hładki

Profesor, ortopeda, poeta, podróżnik, członek jury w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Profesora Andrzeja Szczeklika „Przychodzi wena do lekarza”, przeznaczonym dla lekarzy. Nieobca mu jest liryczna TRAUMA i medyczna TOLOGIA. Działacz międzykostnych połączeń literackich i pourazowych stowarzyszeń. „Oddycha wierszem” i trzyma się prosto, ponieważ wie, że „ze złamanego kręgosłupa wyrasta tylko garb” (Stanisław Jerzy Lec).

(Ewa Lipska, fot. archiwum domowe)



Dr hab. n. med. Diana Hodorowicz-Zaniewska – specjalistka chirurgii ogólnej, onkologicznej i plastycznej, kierownik Centrum Leczenia Chorób Piersi w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie.

Chorujące na nowotwór piersi kobiety, które do niej trafią, mogą być pewne, że jeżeli będzie to tylko możliwe, przeprowadzi zabieg oszczędzający. Jeżeli okaże się konieczna mastektomia, to ich piersi po rekonstrukcji będą wyglądały równie pięknie jak wcześniej. – Staram się operować tak, jak sama chciałabym być zoperowana – mówi Diana Hodorowicz-Zaniewska, która już w dzieciństwie ładnie rysowała. Nauczyciele doradzali jej liceum plastyczne, ale ona nie miała wątpliwości, że zostanie lekarzem. Teraz zdolności plastyczne wykorzystuje przy stole operacyjnym. Gdy była jeszcze studentką, jej pasją stał się taniec. W słynnej szkole Mariana Wieczystego poznała męża, z którym szalała na parkiecie, biorąc udział w niejednym konkursie tańca towarzyskiego. Dziś tańczy wyłącznie na imprezach, choć całkiem niedawno postanowili wrócić

do niegdysiejszej pasji i zaczęli uczyć się bachaty – latynoskiego tańca ulicy. Zresztą każdą wolną chwilę spędzają razem, jeżdżąc na nartach, na rowerze, a ostatnio wędrując po Beskidzie Niskim. – Przeważnie jestem bardzo aktywna, ale lubię też usiąść w fotelu z dobrym kryminałem. Im krwawszy, tym lepszy – śmieje się pani docent.

(Magda Huzarska-Szumiec, fot. archiwum domowe)

Medycyna i polityka – mieszanka fatalna

Tekst: Witold Bereś Ilustracje: © Wikimedia Commons

Jeśli medycyna ma ratować życie, a politycy mają tworzyć obywatelom najlepsze warunki do życia, to co wyniknie z podporządkowania medycyny polityce?

Rudolf Virchow, niemiecki lekarz, antropolog i działacz polityczny, uznawany za twórcę medycyny społecznej, twierdził, że „medycyna jest nauką społeczną, a polityka to nic innego, jak medycyna na szeroką skalę”. Tyle że tak twierdził pod koniec wieku XIX, gdy dopiero rodziły się wielkie media, a z nimi populizm. Już wiek XX przyniósł przykłady, że wprowadzanie osiągnięć medycyny do zarządzania masami poprowadzi na manowce człowieczeństwa. A i początek wieku XXI co rusz przypomina nam o konsekwencjach tego niefrasobliwego połączenia.

Cudowne odkrycia

Przez stulecia problem z medycyną w użyciu politycznym był oczywisty – jej osiągnięcia pozostawały na stosunkowo niskim poziomie. Cóż mógł uczynić psychotyczny władca, szukający ulgi, czasami od bólu głowy? Ściąć głowę nadwornego medyka? Na Dalekim Wschodzie znano co prawda kojące działania opiatów, ale w Europie dostępne były tylko zioła.

Trudniej było z dodaniem siły, a przede wszystkim odwagi w szeregach walczących oddziałów. Wojownicy państwa Inków używali liści koki, a w Indiach czy Chinach – opium (umiarkowane ilości działają również pobudzająco), ale w kulturze zachodniej największy kłopot polegał na braku relatywnie długo działających środków pobudzających. Owszem, pobudzająco-znieczulające znaczenie alkoholu było znane i stosowane („dla kurażu”), ale jak wiadomo na zaćmieniu alkoholowym trudno budować długotrwałą dzielność.

Dopiero wiek XIX rozpoczął służbę farmaceutyki w polityce. Zauważono szczególne właściwości południowoamerykańskiego krzewu *Erythroxylon coca* i nauczono się stosować wyciąg z jego liści do pobudzania organizmu. Zresztą ta sama kokaina była też wykorzystywana w medycynie już od końca wieku XIX jako podawany miejscowo środek znieczulający. W ten sposób podczas I wojny światowej pojawił się pierwszy farmaceutyczny stymulant: armia brytyjska używała Tabloid March (tabletkę marszu) zawierającą kokainę, wyciąg z orzeszków kola i kofeinę.

W przededniu II wojny światowej przebojem była już amfetamina sprzedawana pod nazwą benzedryny. Inna rzecz, że uznawana

była za lek na wszystko, w tym na otyłość i astmę, a nawet schizofrenię. Ale najpowszechniej doceniana była jej zdolność pobudzania organizmu do wysiłku. W tym celu armia włoska jako pierwsza użyła jej w postaci tabletek rozdawanych swoim żołnierzom w czasie wojny w Etiopii w 1936 roku.

Wielki marsz opiaty rozpoczęły w Rzeszy po zdobyciu władzy przez Hitlera. Najpierw, w czasie Igrzysk Olimpijskich w Berlinie w 1936 roku koncern Hildebranda (czekoladki zresztą popularne i dzisiaj) wprowadził pod hasłem „Sportschokolade” czekoladę Scho-Ka-Kola zawierającą około 14 mg metamfetaminy w każdym kawałeczku, a dwa lata później wprowadzono bez recepty lek Pervitin oparty właśnie na metamfetaminie. Szybko się okazało, że jego stymulujące właściwości są większe niż lecznicze, że zwalczają zmęczenie i sennność, a nawet zwiększają agresję. Zwano je wręcz „pigułką ataku”. Jeszcze przed agresją na Polskę Wehrmacht otrzymał blisko 29 milionów tych specyfików. Pervitin zdał egzamin i w trakcie wojny z Francją wojsko zużyło już 35 milionów pigułek. Do tego doliczyć trzeba legalnie pałaszowaną amfetaminę zawartą w czekoladzie: pancerniaczy mieli Panzerschokolade, a lotnicy pigułki Goringa albo tabletki Stuka (od potocznej nazwy bombowca nurkującego Junkers Ju 87).

I choć tuż przed agresją na Związek Radziecki ograniczono dostęp do pervitinu (bo zaobserwowano niebezpieczne skutki uboczne), to nie ma wątpliwości, że bez narkotyków masowo podawanych atakującym oddziałom blitzkrieg w pierwszej fazie wojny nie byłby możliwy. A jeden z najsławniejszych pisarzy powojennych i późniejszy laureat literackiej Nagrody Nobla, wówczas 22-letni żołnierz Heinrich Böll, pisał do rodziny: „Jeśli to możliwe, proszę, prześlijcie mi więcej pervitinu”.

Wtedy właśnie również Anglosasi doprowadzili do masowego znarkotyzowania swych armii.

Najpierw, w 1942 roku, Brytyjczycy wprowadzili oficjalnie pięciomiligramowe tabletki benzedryny produkowanej przez Smith, Kline & French (podczas wojny żołnierze skonsurowali około 72 mln tabletek). To było jednak nic w porównaniu z Amerykanami, którzy zużyli ich co najmniej 250 milionów, a pełna skala nie jest znana, bo ogromna część trafiała



Benzedrine Inhaler in the **ARMED FORCES**

Benzedrine Inhaler has for some time been available to Flight Surgeons for distribution to high altitude flying personnel of the Army Air Forces for the relief of nasal congestion.

It has now been made a standard item for issue to all Army personnel on presentation by physicians.

Smith, Kline & French Laboratories, Philadelphia

Benzedrine Inhaler

Rapid, Complete and Prolonged Shrinkage

Each tube is packed with racemic amphetamine, S.K.F., 200 mg.; oil of lavender, 60 mg.; menthol, 10 mg.

Benzedryna – dopalacz lotników anglosaskich



Czekoladki Hildebranda z kokainą



Pervitin – lek, który ułatwił blitzkrieg



Dr Karl Brandt podczas procesu lekarzy – pierwszego z 12 procesów norymberskich przeprowadzonych przed amerykańskimi trybunałami wojskowymi po zakończeniu głównego procesu hitlerowskich zbrodniarzy wojennych



Zamek Sonnenstein, w którego piwnicach zabito co najmniej 13 720 chorych psychicznie oraz 1031 więźniów obozów koncentracyjnych w ramach akcji T4 i 14f13

do armii nieoficjalnie. Dość powiedzieć, że po zakończeniu działań wojennych z uzależnieniem zmagало się około 15 procent amerykańskich pilotów.

Z kolei Japończycy dysponowali w armii własną metamfetaminą, którą zsyntetyzowali jeszcze w 1919 roku, pracując nad nową formułą efedryny. Piloci kamikadze otrzymywali tabletki szturmowe w formie metamfetaminy zmieszanej ze sproszkowaną zieloną herbatą i opieczętowane cesarskim herbem.

We wszystkich siłach zbrojnych największym konsumentem stymulantów było lotnictwo. Naloty na Niemcy, długotrwałe i nużące, były niebezpieczne dla załóg: pierwszą dawkę przyjmowano zatem przed lotem, drugą bezpośrednio po zrzućeniu bomb.

Wyjątkiem była Armia Czerwona, która jako jedyne siły zbrojne wielkich mocarstw

nie korzystała z narkotyków, lecz jej podstawowym stymulantem był stakan wódki.

Nic dziwnego, że amerykańskie powojenne konflikty zbrojne również obfitowały w obecność narkotyków. Tak było podczas wojen w Korei czy Wietnamie (żołnierze dostawali dexedrynę, pochodną amfetaminy). Skandal wybuchł w roku 2002, kiedy pod Kandaharem w Afganistanie amerykańscy piloci zaatakowali oddział Kanadyjczyków, zabijając czterech żołnierzy i raniąc ośmiu. W czasie śledztwa ujawniono, że lotnicy tłumaczyli swoją dezorientację wcześniejszym zażyciem pobudzającej pigułki Go, co było wymagane przez zwierzchników przed każdą misją wymagającą rezygnacji ze snu przez co najmniej 48 godzin. Nie pomogły armijne tłumaczenia, że dawki są małe i w pełni bezpieczne niczym kawa.

W efekcie, choć podczas wojen w Zatoce Perskiej oraz operacji w Afganistanie rozdawanie opiatów pilotom nadal było praktykowane, proceder ten sformalizowano i poddano ścisłej kontroli.

Lekarze dla polityków

Że ludzie medycyny wprowadzali i wprowadzają narkotyki pełniące rolę stymulantów, to jedno. Ale w polityce dyktatorów ważną rolę spełniają także ich lekarze.

Władimir Nikiticz Winogradow karierę medyczną zaczął robić jeszcze za carskiej Rosji. Kiedy do władzy doszli bolszewicy, ostro jednak przyspieszyła, bo został jednym z głównych lekarzy Kremla – leczylł osobiście

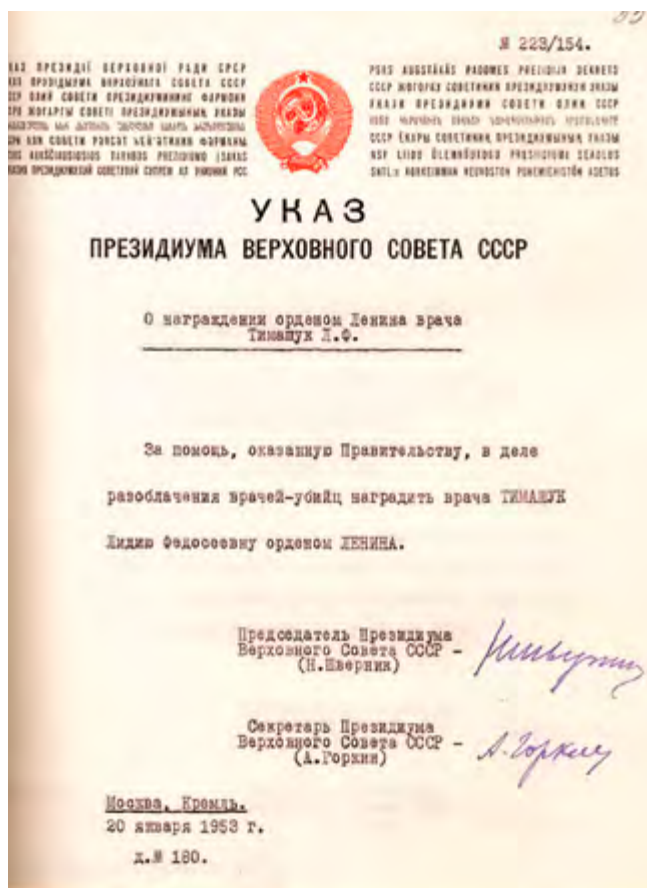


Niemiecki plakat propagandowy z około 1938 r.: „Ta osoba cierpiąca na choroby genetyczne kosztuje społeczeństwo 60 000 reichsmark w trakcie swojego życia. Towarzyszu, to też twoje pieniądze!”



Komunikat Agencji TASS o spisku lekarzy

Stalina i Żdanowa, jednego z czołowych ideologów sowieckiego komunizmu. Stalinowi lekarz z dobrego serca podpowiadał w celu ratowania zrujnowanego zdrowia wycofanie się z polityki, co dla pacjenta było znakiem chęci odsunięcia go od władzy. W dodatku leczony przez Winogradowa Żdanow niespodziewanie zmarł (na alkoholowe *delirium tremens*). To przeżyło: 4 listopada 1952 roku został aresztowany przez sowieckie organa bezpieczeństwa pod zarzutem spowodowania śmierci Żdanowa i szpiegowania dla amerykańskiego wywiadu. 13 stycznia 1953 roku gazeta „Prawda” podała informację o wykryciu „spisku lekarzy” planujących zamordowanie przywódców sowieckiej partii i państwa. Komunikat oskarżał „morderców w białych kitlach”, wśród których większość stanowili Żydzi, o celowe doprowadzenie do śmierci polityków oraz o usiłowanie zabójstwa wysokich oficerów Armii Radzieckiej. Wszystko



Medal Lenina za unieszkodliwienie spisku lekarzy

miała zlecić żydowska organizacja Joint, a spisek wykryła prosta lekarka bez studiów Timaşuk, która zauważyła dziwne rzekomo zachowania medyków (dostała za to Medal Lenina).

Tak Stalin szykował nową czystkę, tym razem antysemicką. Rozwiązany został Żydowski Komitet Antyfaszystowski, a jego członków oskarżono o próbę oderwania Krymu od ZSRR (bo chcieli stworzyć tam żydowski okręg autonomiczny) i plan późniejszego oddania go USA. Stalin polecił skrytobójczo zamordować lidera ŻKA aktora Michaela, a w procesie pokazowym zapadły wyroki śmierci. Dalej miała być fala procesów pokazowych w całym kraju, kary śmierci i publiczne egzekucje, tak by wzburzeni mieszkańcy mogli dokonać pogromów. Wtedy Żydom radzieckim ochronę miał zapewnić Stalin: przyszykowany dla nich tagry na dalekiej północy.

Jednak 5 marca 1953 roku Stalin zmarł, sprawa lekarzy została umorzona, a Winogradow zwolniony...

*

Lekarze Hitlera, póki żył tyran, mieli się dobrze, lecz później zapłacili głowami.

Theodor Morell był flejtuchem powszechnie znienawidzonym przez dwór III Rzeszy. Miał co prawda za sobą studia i specjalizacje, ale był najbliżej Hitlera, jak tylko można to sobie wyobrazić: niemal codziennie oglądał ciało swego wodza. A że ten był hipochondrykiem



Centralny Instytut Psychiatrii Sądowej im. Władimira Serbskiego w Moskwie

wierzącym w cudowne metody leczenia, Morell aplikował mu mieszankę 74 różnych substancji, wśród których były sztuczne multiwitaminy, kolonie nieznanych bakterii, ekstrakt



Barak psychuszki w jednym z sowieckich łagrów (rekonstrukcja)

z nasienia byka, rzekome antybiotyki, a nawet trucizny (strychnina), nie mówiąc o amfetaminie, morfinie i, dodatkowo, po nieudanej próbie zamachu von Stauffenberga w lipcu 1944 roku, gigantyczne dawki eukodalu, potężniejszego kuzyna heroiny. Gdy metamfetamina pobudza układ nerwowy, a heroina – uspokaja, to nic dziwnego, że Hitler był otumaniony jak laboratoryjny chomik: buzował w nim potężny koktajl speedowy, który nie tylko go wykańczał, ale wpływał na podejmowanie absurdalnych decyzji.

Doktor Karl Brandt, osobisty przeciwnik Morella, był osobą ponoć sympatyczną i elegancką (zachował się film z alpejskiej kwatery Hitlera Berdechsgaden, gdzie Brandt, ujmujący trzydziestoparoletni człowiek w letnim garniturze uśmiecha się słodko do Führera). Ten SS-Brigadeführer z tytułem profesorskim był tak zwanym lekarzem przybocznym, towarzysząc w podróżach „pacjentowi A”. I typowym karierowiczem III Rzeszy. Już od roku 1939 kierował programem eutanazji i zaangażowany był w eksperymenty paramedyczne na więźniach obozów. Pod koniec wojny popadł jednak w niełaskę u Hitlera, a nawet został aresztowany za wywiezienie rodziny z Berlina w kwietniu 1945 roku i skazany na karę śmierci. Wojna się jednak skończyła i wyrok nie został wykonany. Tyle że wtedy Brandt został aresztowany przez Brytyjczyków i sądony wraz z 22 innymi lekarzami w Norymberdze. Uznano go winnym i został (oraz sześcioma innymi oskarżonymi) skazany na śmierć przez powieszenie (wszystkie wyroki wykonane zostały w więzieniu w Landsbergu w czerwcu 1948 roku).

Największą zbrodnią Brandta było wprowadzeniu w życie jednego z najbardziej haniebnych programów medycznych: Akcji T-4 (od adresu biura tego przedsięwzięcia mieszczącego się w Berlinie przy Tiergartenstrasse 4). Chodziło o program eutanazji, jako że zdaniem nazistowskich medyków należało mordować chorych na schizofrenię, padaczkę, stany po zapaleniu mózgowia czy ludzi z niektórymi wrodzonymi wadami rozwoju.

Szacuje się, że w ramach Akcji T-4 w latach 1939–45 zabito ponad 200 tysięcy chorych i niepełnosprawnych, w tym pensjonariuszy szpitali psychiatrycznych na terenach okupowanych.

Część tego programu wynikała z założeń eugeniki (już w czasach przedhitlerowskich obecnej w Niemczech, Skandynawii czy Stanach Zjednoczonych z programem sterylizacji) zalecającej selektywne rozmnażanie zwierząt oraz ludzi w celu ulepszania gatunków z pokolenia na pokolenie, zwłaszcza jeśli chodzi o cechy dziedziczne.

Doskonale przystawało to do oszalałej wyobraźni nazistów dążących do stworzenia rasy wybranej.

*

W innym kierunku poszło polityczne wykorzystywanie medycyny w krajach komunistycznych. Tu wybiła się psychiatria, której zadaniem stało się przymusowe umieszczanie w szpitalach-więzieniach psychiatrycznych osób krytykujących państwo lub choćby tylko mających po prostu inne zdanie (jeden z głośniejszych przypadków dotyczył obywatela, który napisał krytyczny list do Stalina). Stosowano tę metodę psychiatrii w wielu państwach (Rumunia, Kuba, Korea Północna, na dużą skalę Chiny), ale najbardziej spektakularne działania zarejestrowano w Związku

Sowieckim. Pierwszy raz o tej formie represji usłyszano, gdy w Kazaniu w szpitalu psychiatrycznym ze specjalnym oddziałem dla politycznych zamknięto Jana Piłsudskiego, brata Józefa (aresztowanego przez Sowieków we wrześniu 1939 roku), i byłego prezydenta Estonii Konstantina Pätsa.

Ale psychuszki (tak potocznie zwano ten rodzaj więzienia) na masową skalę pojawiły się wraz ze śmiercią Stalina, gdy zaprzestano masowych egzekucji. To wtedy Chruszczow wypowiedział zdanie, które stało się wytyczną dla służb medycznych przez kolejne dziesięciolecia: „Można powiedzieć, że i obecnie (w ZSRR) istnieją ludzie, którzy walczą z komunizmem (...). Ale u takich ludzi bez wątpienia stan psychiczny nie jest w normie”.

Represje takie były skuteczne również dlatego, że uwięzienie było bezterminowe, warunki pozwalały na bezkarne znęcanie się nad osadzonym, a osadzeni nie wiedzieli, ile jeszcze lat spędzą w zamknięciu, gdyż zawsze mogli nie być „dostatecznie wyleczeni”.

Wedle nowego kodeksu karnego skala czynów umożliwiających przymusowe leczenie psychiatryczne (nawet bez zgody sądu) obejmowała również „antyradziecką agitację i propagandę” (art. 70) czy „rozpowszechnianie obelżywych wymysłów szkalujących radziecki ustrój państwowy i społeczny” (art. 190-1).

Niestety, nie zabrakło medyków, którzy poszli władzy na rękę. Najślawniejszy był Instytut Psychiatrii Sądowej imienia prof. W.P. Serbskiego w Moskwie, gdzie pracowali sprawdzeni przez służby lekarze. To oni napisali podręcznik, w którym można znaleźć następujące zdanie: „Skłonność do walki o prawdę i sprawiedliwość cechuje najczęściej osobowości o strukturze paranoidalnej”. Tu także, na podstawie akt śledczych, zdrowym osobom wystawiano opinie, według których uważano ich za niepozytywnych, poddawano przymusowemu „leczeniu”, a w komisjach zasiadały największe autorytety psychiatrii ZSRR: Andriej Snieżniewski, Grigorij Morozow, Marat Wartanian, Josif Łukomski. Ba, jeden z nich (Snieżniewski) zdefiniował tak zwaną pełzającą schizofrenię, kiedy to utajony proces chorobowy następuje tak powoli, że można do niego zakwalifikować uczynki ludzi, którzy jeszcze nie popełnili przestępstwa nawet wedle kodeksu sowieckiego.

Do najślawniejszych osadzonych w psychuszkach należeli Natalia Gorbaniewska (współorganizatorka demonstracji w Moskwie przeciwko wejściu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji) i Władimir Bukowski (skazany między innymi za organizowanie spotkań poetyckich).

Kres działalności psychuszek położyła dopiero pieriestrojka.

Polskie tropy

Przez wiele lat w Polsce (poza pojedynczymi przypadkami) nie notowano prób

wykorzystania medycyny do celów politycznych. Pojawiło się to paradoksalnie, choć w zupełnie innym kontekście i na szczęście bez masowego wsparcia środowisk medycznych, dopiero w ostatnich latach.

Najpierw doszło do manipulowania danymi dotyczącymi zachorowań na Covid-19, byle tylko przeprowadzić wybory. Premier Morawiecki podkreślał, że „wiruska” nie należy się bać, a sytuacja jest opanowana. W konsekwencji zgony w tak zwanej fali jesienno-zimowej, po wyborach 2020 roku, powinny być zaliczone do efektów działań politycznych rządu.

Z kolei Uniwersytecki Szpital Kliniczny w Białymstoku, odmawiając terminacji ciąży, w której stwierdzono bezmózgowie u płodu, powołał się na opinię Ordo Iuris, organizacji *stricte* ideologicznej, której opinii nie mają prawnych podstaw do zastosowania przez świat medycyny.

Dzisiaj na wokandzie znowu staje polityka władz, gdy wobec jawnego łamania zasad postępowania wobec nasilającej się epidemii koronawirusa rezygnację złożyła zdecydowana większość członków Rady Konsultacyjnej przy premierze. W zamian zapowiedziano powołanie rady opartej na innych standardach – na przykład znaleźć się w niej mieliby socjologowie czy dziennikarze. A wszystko po to, aby – jak ujawniają słynne maile ministra Dworczyka – nie zniechęcić do siebie elektoratu sceptycznego wobec szczepień.

*

Choć, jak widać, konsekwencje wciągnięcia medycyny do polityki są różne i różna jest ich skala, to nasuwa się jeden wniosek: politycy, odczepcie się od lekarzy! Dajcie im pracować, rozwijać się i żyć. Pozwólcie, by mogli w relatywnie dobrych warunkach służyć ludziom, ale i w sposób nieskrępowany tworzyć i doradzać. A wreszcie – nie tylko dla własnego dobra – słuchajcie ich rad.

Korzystałem między innymi z: Arno Lustiger, *Czerwona Księga. Stalin i Żydzi*, Norman Ohler, *Trzecia Rzesza na haju. Narkotyki w hitlerowskich Niemczech*, Bartosz T. Wieliński, *Wojna lekarzy Hitlera*, Richard Davenport-Hines, *Odurzeni. Historia narkotyków 1500–2000*, Władimir Bukowski, *Proces moskiewski*.



Witold Bereś – producent filmowy, scena-rzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kra-ków”.



**Prof. dr hab. n. med.
Artur Jurczyszyn**
– kierownik Ośrodka
Leczenia Dyskrazji
Plazmocytowych,
Katedra i Klinika
Hematologii CM UJ
w Krakowie

Medycyna to misja, powołanie, pasja. Rzadko jednak wszystkie te przymioty ogniskują się w jednej osobie. Profesor Jurczyszyn jest tego najlepszym przykładem. Autor ponad 200 publikacji naukowych, redaktor prac zbiorowych z zakresu hematologii, ale także relacji sztuki – malarstwa czy rzeźby – i medycyny.

Jako założyciel i prezes Fundacji Leczenia Szpiczaka jest inicjatorem niezliczonych aktywności mających na celu popularyzowanie możliwości leczenia szpiczaka mnogiego (wydawnictwa, warsztaty, konferencje), dba o integrację chorych poprzez wspólne wyjazdy, dyskusje, panele. Dzięki jego determinacji i zaangażowaniu powstaje w Krakowie pierwszy w Polsce Ośrodek Leczenia Dyskrazji Plazmocytowych. Największym marzeniem profesora jest powołanie do życia również interdyscyplinarnego Centrum Leczenia Szpiczaka, w którym pacjenci, pod

okiem hematologa, znaleźliby pomoc lekarzy z różnych dziedzin i specjalizacji.

Miłośnik kina, teatru i jazzu. Zapalony turysta. Wciąż z nowymi pomysłami, nieustannie w ruchu, w działaniu. Od kilku lat profesor Jurczyszyn prowadzi Krakowską Grupę Wsparcia dla pacjentów i ich rodzin z chorobami hematologicznymi. Nic więc dziwnego, że zapytany o motto życiowe, odpowiada bez wahania: „Zawsze warto pomagać”,

(Łukasz Maciejewski,
fot. archiwum domowe)



**Prof. dr hab. n. med.
Stanisław
Kwiatkowski**
– ordynator
Neurochirurgii
Dziecięcej,
Uniwersytecki Szpital
Dziecięcy w Krakowie

U dzieci guzy mózgu to najczęstsze nowotwory. U dorosłych stanowią 2 procent wszystkich nowotworów, u dzieci – 22 procent. – Dzisiaj mamy doskonałe możliwości technologiczne, nowoczesne narzędzia operacyjne, coraz lepszą chemioterapię i radioterapię, co powoduje, że wyniki leczenia są naprawdę dobre – opowiada prof. Kwiatkowski. – W naszym oddziale przeprowadzamy rocznie około 60 operacji guzów mózgu. W całej Polsce u dzieci wykonuje się ich około 220.

Operacja odbywa się przy użyciu ogromnego specjalistycznego mikroskopu, który pozwala lekarzowi na dokładniejsze obserwowanie pola operacyjnego. Za pomocą noża

ultradźwiękowego chirurg najpierw ultradźwiękami rozbija nowotwór, następnie nasączy go specjalnym płynem, a w ostatnim etapie odsysa guz, oszczędzając zdrowe tkanki mózgu. – Dzisiejsze możliwości technologiczne pozwalają nam na przeprowadzanie operacji, których dwadzieścia lat temu nie moglibyśmy wykonać, bo niebezpieczeństwo uszkodzenia mózgu było tak duże, że nikt nie podjąłby takiego ryzyka – wyjaśnia profesor.

– Nie mogę sobie pozwolić na wyjście po dyżurze, bo sytuacja kadrowa na to nie pozwala: dramatycznie brakuje lekarzy. Kiedy jest ciepło, dzieci wychodzą na hulajnogi, deskorolki i rowery. I wtedy trzeba pamiętać o jednej zasadzie: kto ma mózg, ten ma kask; kto ma kask, ten ma mózg.

(Magda Oberc, *Osiemnaście zmartwień na dobę. 24 godziny z życia lekarza*, fragmenty, „Kraków” 2021, nr 4, fot. Jan Zych)

Pierwsi doktorzy Krakowa

Tekst: Ewa Danowska

Wśród krakowskich medyków ważnych, a z epoki najdawniejszej, trzeba wymienić doktorów Brodowicza, Jordana i Żuławskiego. Pierwszy to konserwatysta darzący wielką estymą Wolne Miasto Kraków, a na starość niewątpliwie oryginał. Drugi zyskał sławę nie tyle jako ginekolog i położnik, ile założyciel parku zabaw dla dzieci i młodzieży. A trzeci to pionier tutejszej psychiatrii.

I

Maciej Józef Brodowicz urodził się jeszcze u schyłku wieku XVIII, w 1790 roku w Grzymałowie na Podolu, jako najmłodszy z jedenaściorga dzieci ubogiej rodziny szlacheckiej. 27 lat później w Wiedniu uzyskał stopień doktorski i został zastępcą ordynatora kliniki. W 1823 roku dostał nominację na profesora chorób wewnętrznych kliniki Uniwersytetu Krakowskiego. Odbyło się to z pominięciem konkursu, gdyż z racji proaustriackich sympatii miał wsparcie wpływowych w mieście osób. Nominacja, jak można się spodziewać, nie spotkała się z przychylnością kadry profesorskiej, a i Brodowicz z trudem potrafił jednać sobie przyjaciół.

W 1829 roku Brodowicz, wzięty już wówczas doktor, kupił znaczny teren przy ulicy Lubicz, rozpoczął budowę domu i zabudowań gospodarczych, założył ogród z figarnią i szparagarnią. Utrzymywał nawet 14 osób służby, czynił znaczne zakupy książek oraz futer, które nosił z upodobaniem. Jego zamożność, do której doszedł własną pracą, była w Krakowie widoczna i... komentowana.

Jako dziekan, później rektor, po stwierdzeniu złej sytuacji panującej na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu z właściwą sobie energią przystąpił do reform, najpierw starając się znaleźć odpowiednie pomieszczenie dla klinik. Dotychczasową siedzibę, Szpital św. Łazarza pozostający pod opieką siostr miłosierdzia, określił najwierniejszym wizerunkiem jego patrona – „domem nieuleczonych”, od którego należy stronić z daleka.

Był postacią kontrowersyjną, ale dla Wydziału Lekarskiego i kliniki wielce zasłużoną. Zmienił regulamin studiów medycznych, zorganizował „klinikę ruchomą”, czyli ambulatorium przyklinikalne, gdzie chorzy otrzymywali doraźną pomoc, a studenci medycyny nabywali doświadczenia. Chorych dobierał według uznania. Na początku roku akademickiego przyjmował przypadki łatwe, tak aby młodzi adepci medycyny mogli obserwować cały przebieg leczenia, zaś pod koniec semestru – przypadki trudniejsze. Jeżeli chorych nie udało się wyleczyć do końca roku akademickiego, przenoszono ich do Szpitala św. Łazarza. Wprowadził do nauczania wzorce kliniki wiedeńskiej, według których studenci musieli pod okiem asystenta prowadzić obserwacje i leczenie przynajmniej dwóch pacjentów. Za jego czasów wprowadzono nowość, jaką stanowiło posługiwanie się stetoskopem.

Po przejściu na emeryturę Brodowicz sam siebie nazywał cesarsko-królewskim uprzywilejowanym próżniakiem. Zajmował się głównie porządkowaniem papierów prywatnych i urzędowych oraz pisaniami. Dom i plac na przy Lubicz sprzedał



Maciej Józef Brodowicz

Towarzystwu Kolei Żelaznych, a dom na Wesołej, obok kliniki (obecnie ul. Kopernika) – uniwersyteckiej z przeznaczeniem na klinikę położniczą i okulistyczną. Do dyspozycji miał też niemałą emeryturę. Znaczną część mebli i zbiorów posprzedał lub podarował rodzinie.

Przeżył na emeryturze 35 lat. W 1871 roku wydał anonimowo tomik zabawnych wierszy *Kwiatki polne* (dodruck w 1875 roku). O tematyce tych drobnych utworów mówią już ich tytuły, chociażby: *Rezygnacja młodego hipochondryka*, *Różnica między instynktem a rozumem*, *Brzuchomówca samochwał*, *Poezja fajki*, *Chodniki na Wesołej* czy *Analogia cyganów z cygarami*.

W tym samym roku wydał obszerną pracę *Przegląd ogólny swojego zawodu lekarskiego i nauczycielskiego*, zadedykowaną pamięci swoich uczniów.

W przeddzień śmierci wysłał kilku znajomym rodzinom wizytówki ze słowami pożegnania, a w osobnym piśmie pozostawił dyspozycje co do swojego

pogrzebu. Zgodnie z ostatnią wolą pochowano go w trumnie z surowych desek sosnowych, którą od szesnastu lat przechowywał na strychu. Przyodziano go w koszulę uszytą przez matkę i stary mundur urzędnika Wolnego Miasta Krakowa.

II

Henryk Jordan urodził się w Przemyślu w 1842 roku w zubożałej rodzinie szlacheckiej. W 1861 roku zaangażował się w patriotyczne manifestacje, co groziło relegowaniem ze szkoły. Wyjechał więc do Triestu, gdzie zdał egzamin maturalny z wyróżnieniem (w języku włoskim!). Studia medyczne rozpoczął w Wiedniu, a kontynuował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Skończył je, ale do egzaminu dyplomowego nie mógł przystąpić z powodu zapalenia opłucnej.

Wyjechał do Berlina, a stamtąd do Nowego Jorku, gdzie utrzymywał się z gry na fortepianie w restauracjach i szkołach gimnastyki szwedzkiej. Prowadził praktykę lekarską w dzielnicy dla bogatych pod nazwiskiem H. Jordan, a w innych godzinach jako J. Henry wśród ludności ubogiej. Otworzył też szkołę dla położnych. Po powrocie do Krakowa w 1870 roku otrzymał dyplom doktora medycyny i objął asystenturę w katedrze ginekologii i położnictwa pod kierownictwem Maurycego Madurowicza. W 1874 roku otworzył prywatną praktykę, która przyniosła mu duże powodzenie, a z biegiem lat – zamożność. Dwadzieścia lat później pomimo ostrej konkurencji dostał katedrę na UJ (i nominację profesorską).

Doktora Jordana nazywano nie bez przyczyny „bocianem Habsburgów”. I tu podaję na odpowiedzialność znakomitych tropicieli galicyjskich ciekawostek, redaktorów Mieczysława Czumy i Leszka Mazana, genezę tego przydomka. Otóż w ich *Austriackim gadaniu* znaleźć można informację, że Jordan w 1874 roku szczęśliwie odebrał poród

przebywającej w Krakowie arcyksiężnej Izabeli, małżonki Fryderyka Habsburga. Podobno wezwanego znakomitego położnika prof. Maurycego Madurowicza nie chciano dopuścić do łoża arcyksiężnej, bo przybył bez wymaganego przez etykietę fraka. Obrażony profesor zapowiedział przysłać choćby durnia, ale we fraku. Tak to trafiło na jego asystenta (we fraku) doktora Jordana. Ten zdobył uznanie arcyksiężęcej pary i od tej pory wzywany był do następnych porodów, będąc oczywiście sownie opłacanym.

Henryk Jordan wydał wiele podręczników, publikacji naukowych i popularnonaukowych, w tym *Praktyczne wskazówki dla kobiet*, *Przewodnik higieniczny* czy *Naukę położnictwa dla użytku uczniów i lekarzy*. Bezpłatnie zaś rozpowszechniał broszurę *Jakim postępowaniem można gorączkę połogową zapobiec*.

Mimo że zajmował się taką specjalnością lekarską (a może dlatego?), był przeciwnikiem równouprawnienia kobiet w dostępie do zawodu lekarskiego, a w 1897 roku zagłosował przeciw przyjmowaniu ich na Wydział Lekarski UJ.

Zajmował się nie tylko praktyką lekarską i dydaktyką, ale też działalnością instytucji związanych z medycyną i higieną. Apelowal chociażby o zmniejszenie liczby szynków w mieście, stawiał wnioski o wprowadzenie nauki higieny w seminariach nauczycielskich, interpelował w sprawie stanu zdrowia młodzieży rzemieślniczej, domagał się wprowadzenia dla niej gimnastyki leczniczej w „Sokole”.

Najdłużej jego sława przetrwała jako założyciela w Krakowie publicznego ogrodu zabaw i gier ruchowych. Powstał na terenach po wystawie przemysłowej, na krakowskich Błoniach, na lewym brzegu Rudawy. Jordan, będący członkiem Rady Miasta, przedstawił projekt użycia tego terenu na park publiczny, zobowiązując się własnym kosztem urządzić boiska sportowe i miejsca zabaw oraz ćwiczeń dla dzieci, młodzieży szkolnej i rzemieślniczej.

Wiosną 1889 roku nastąpiło oficjalne otwarcie parku, Rada Miasta uchwaliła coroczne subwencje i nadała nazwę „Park Doktora Jordana”. W parku było aż 12 numerowanych boisk, kort tenisowy, strzelnica, pole do gry w krokieta, ścieżki zdrowia, altana dla orkiestry, place do ćwiczeń – osobne dla dziewcząt i chłopców, szatnie, magazyny, a nawet budynek kąpielowy – ciepło słoneczne nagrzewało zbieraną wodę, a z kąpeli natryskowej mogło korzystać 30 osób równocześnie.

W dni powszednie z parku korzystała bezpłatnie młodzież szkolna, a w niedziele i święta – rzemieślnicza. Frekwencja była spora, sięgała 500 osób dziennie; młodzież ćwiczącą dzielono na grupy po 25 osób, a instruktorami byli lekarze, studenci i nauczyciele ludowi. Ćwiczącym dawano nagrody w formie książeczki oszczędnościowej z pierwszą wpłatą. Jordan wraz z przodownikami układał codzienny plan gier i zabaw dostosowanych do wieku i sił ćwiczącej młodzieży. W parku działał stały nadzór lekarski, a dr Jordan osobiście kontrolował zajęcia. Jego zasadą było dążenie do wszechstronnego kształtowania jednostki pod względem fizycznym, umysłowym i moralnym oraz umiejętności funkcjonowania w zespole. Służyć temu miały także pogadanki, które wygłaszał pod pomnikami słynnych



Henryk Jordan

Polaków. Po śmierci Jordana w parku w 1914 roku pojawił się i jego pomnik.

III

Ojcem urodzonego w 1845 roku w Limanowej Karola Franciszka Ksawerego Szeliga Żuławskiego był lekarz Leon Hermenelegildus, autor pierwszej monografii Krynicy, prac historycznych po polsku i francusku, poezji, a także dowcipnej rozprawki *O wśach pod względem przyrodzonym, ekonomicznym, estetycznym, politycznym i fizyologiczno-lekarskim*.

Karol poszedł w ślady ojca – po skończeniu gimnazjów w Nowym Sączu i Tarnowie zdał maturę we Lwowie i w 1864 roku rozpoczął studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po sześciu latach otrzymał tytuł doktora wszech nauk lekarskich, po czym wyjechał do Wiednia, gdzie studiował położnictwo.

W 1876 roku przeniósł się do Krakowa. Początkowo był lekarzem Stowarzyszenia Rękodzielników, a potem objął stanowisko sekundariusza „Oddziału obłąkanych, epileptyków i pokąsanych przez psy wściekłe” w Szpitalu św. Ducha. Pracował pod kierownictwem prymariusza, docenta psychiatrii Gustawa Neussera. Sale mieszczące się w średnowiecznych poklasztornych budynkach, zajmujące dawnych 13 cel, były wilgotne, słabo oświetlone, panował chłód, gdyż żelazne piece nie były w stanie ogrzać wszystkich pomieszczeń, a całość sprawiała wrażenie raczej więzienia niż szpitala.

W 1879 roku placówka została zamknięta, a oddział dla nieuleczalnie psychicznie chorych przeniesiono do pawilonu w Szpitalu św. Łazarza. Położony był wśród ogrodów, zaopatrzony w wodociąg oraz nowoczesne oświetlenie gazowe i zapewniał miejsce dla 70 chorych. Ordynatorem tego „Oddziału dla psychicznie chorych nieuleczalnie” został Żuławski.

Jego pacjentami byli, oprócz literatów, artystów i adwokatów, także przedstawiciele innych zawodów, a sporadycznie pojawiali się urzędnicy, nauczyciele, duchowni czy lekarze. Większość chorych – według ówczesnej terminologii – cierpiało na obłąkanie, nadużywanie alkoholu, „wzruszenia przygnębiające”, chroniczne choroby mózgu, jednak u przeważającej ich liczby Żuławski nie był w stanie określić przyczyn zaburzenia. Leczenie ograniczał do ścisłego nadzoru, gdyż uważał, że halucynacje i urojenia nie dadzą się terapeutycznie usunąć. Kuracja sprowadzała się do uspokojenia chorego – aplikowania morfiny, opium, chloralu i innych środków, oprócz tego stosowano różnego rodzaju kąpiele. W przypadku chorych niszczących ubranie i kaleczących się stosowano kaftan bezpieczeństwa, co posługacze mogli stosować tylko na wyraźne polecenie lekarza.

Karol Żuławski był zdania, że przy wielu chorobach psychicznych chorzy nie muszą cały czas przebywać w zakładzie zamkniętym. Po uspokojeniu stanu zdrowia mogą wykonywać swój zawód, bo we własnym środowisku i w gronie rodziny dobrze się czują. Pozostawać w zakładzie powinni tylko ci, którzy zagrażają własnemu życiu lub otoczeniu.

W roku 1890 dr Żuławski otworzył prywatny „Dom zdrowia dla umysłowo chorych” przy ul. Długiej 82. Wówczas była to czysta i zdrowa część miasta, otoczona ogrodami.



Karol Żuławski

W swej placówce poddawał leczeniu chorych psychicznie, neurasteników, osoby wyczerpane nerwowo po ciężkich przejściach, a także uzależnione od alkoholu i narkotyków. Corocznie w *Kalendarzu Czecha* zamieszczał reklamy, w których informował o stosowanych najnowszych metodach leczenia, a w koniecznych przypadkach hydroterapii i elektroterapii. Lecznica była komfortowo urządzona, pacjenci mogli korzystać z ogrodu i wielu rozrywek. Mieli do dyspozycji bibliotekę wraz z czytelnią, fortepian, różne gry, mogli też z nimi mieszkać członkowie rodziny. Cena pobytu była niezmienna przez kilkanaście lat, wahając się od 5 do 10 złotych reńskich dziennie. Zakład był czynny do I wojny światowej.

Z lecznicy korzystali ludzie zamożni, inteligencja twórcza, a wśród pacjentów znalazła się podstępnie tam zwabiona przez męża i jego sekretarza nieznośna Teodora Matejkowa. Krótki czas spędził w lecznicy w 1905 roku Stanisław Wyspiański. Siedmioosobowe konsylium lekarskie orzekło, że zatrucie organizmu spowodowane nieprawidłowym trawieniem wywołało halucynacje, lęki i majaczenie. Stan artysty szybko się poprawił, jednak miał za złe lekarzom, że umieścili go – jak twierdził – w szpitalu psychiatrycznym.

Karol Żuławski stał się osobą popularną w Krakowie nie tylko jako lekarz, utrzymywał też kontakty towarzyskie z krakowską bohemą, Józefem Mehofferem i Janem Matejką.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!



**Dr n. med.
Jakub Łomnicki**
– ordynator Oddziału
Chirurgii Ogólnej,
Onkologicznej
i Małoinwazyjnej
Szpitala
Specjalistycznego
im. Stefana
Żeromskiego
w Krakowie

W biografii dr. Łomnickiego jest przeżycie pozamedyczne, którego nic nie przekreśli. Był 13 października 1982 roku, zwolnił się właśnie z zajęć na Akademii Medycznej, żeby pojechać do Nowej Huty na manifestację w obronie zdelegalizowanej „Solidarności”. Kilka godzin później był przy kościele w Bieńczycach i tam, nagle, wspólnie z innym, nieznanym mu wtedy chłopakiem, słysząc wołanie dzieciaka o pomoc, równocześnie ruszyli w kierunku cywila, który chciał zatrzymać krzyczącego nastolatka. Ale cywil spanikował, zaczął uciekać, a gdy ujrzał dwóch dwudziestolatków, wyszarpnął pistolet P-64 i strzelił. Chłopak biegnący obok Łomnickiego biegł ciut szybciej. W ten sposób na oczach Jakuba Łomnickiego, dwa metry od niego, kapitan SB Andrzej Augustyn śmiertelnie postrzelił 20-letniego Bogdana Włosika.

– Gdyby Włosik nie był szybszy, to ten ubek trafiłby we mnie – wspomina dziś Łomnicki.

Nic dziwnego, że potem, gdy przez trzynaście lat, w początkach swej pracy w Żeromskim jeździł na „erce”, szybko doszedł do wniosku, że jak

już jeździć, to nie do bólu brzucha czy nadciśnienia, tylko ratując życie. Poprosił więc szefową, aby nauczyła go intubować. Wtedy właśnie zdarzył się wypadek, którego nie zapomni: oto ojciec jadący trabantem z kilkumiesięcznym dzieckiem wpakował się w latarnię. Mężczyzna zginął, a oni reanimowali malucha. Tu pamiętać trzeba, że u dorosłego wklucie się w żyłę bywa trudne, ale u niemowlaka jest niemal niemożliwe. Łomnicki błyskawicznie wtedy zadecydował, by wkłuwać się aż do żyły obojczykowej. I dziecko uratowali, dowieźli żywe do szpitala. A był to czas, kiedy nie było tomografii czy USG, a operować trzeba było wszystko: brzuchy, klatki, czaszki... Do dziś lekarz podkreśla, że choć technologia się liczy, to jednak zawsze za tym musi stać człowiek.

Jest chirurgiem, który walczy nie tylko z nowotworami. Od ukończenia studiów w 1986 roku związał się już na dobre z Nową Hutą i szpitalem Żeromskiego.

Liceum i studia przeszedł z gitarą, mieli zespół i grali Kaczmarzkiego, Cohena... – A teraz mam całe sterty książek do przeczytania, do nadrobienia. Przeczytałem właśnie *Kajś* i tak w ogóle to chciałbym doczytać ten stos książek o Śląsku, które mam od bratanka Kazimierza Kutza. Bo ja jestem hanysem – urodziłem się w Zabrzu. Jo godom, chowie.

I dodaje, że na narty to mógłby jeździć co miesiąc – byle nie do Białki czy Bukowiny. Więc Alpy, albo, marzenie, letni urlop w Chile, bo tam można też pojeździć.

– Jak się odstresować? Człowiek pewne rzeczy musi za sobą zostawić, bo inaczej by oszalał, choć w głowie i tak zostają jakieś tam obrazy... Zdarza się, że przez parę dni siedzi to w tobie i nie możesz spać. Ale nic nie zrobisz, bo wszyscy są przepracowani. Dzień pod dniem, *de facto* po dwa etaty i więcej, w weekend też dyżury, bo ludzi brakuje, a jak w końcu weekend jest wolny, to ja nie mam już najmniejszej ochoty iść gdziekolwiek. Czasami tylko, bo jesteśmy towarzyskimi zwierzętami, idziemy do znajomych, mamy taką grupę blisko trzymających się przyjaciół, jakieś imieniny, kiedyś brydż... Więc nie chodzę do opery, na wystawy, ale wiem, co chciałbym robić, gdybym miał czas. Gdybym miał czas, to wróciłbym do grania na gitarze. Na pewno.

(Witold Bereś, fot. archiwum domowe)

Kołtun, adrenalina, szczepionki, syndrom poobozowy – czyli o krakowskiej medycynie

Tekst: Anna Mateja

Odkrycie adrenaliny i substancji chroniącej tętnice, nowatorskie operacje przewodu pokarmowego i zdefiniowanie syndromu poobozowego. Historia krakowskiej medycyny stoi na osiągnięciach, które zmieniały atlasy anatomiczne i podręczniki lekarskie.

Ostatnie dekady XIX wieku dla krakowskiej medycyny były wyjątkowe. Jedyne uniwersytet, który dawał możliwość prowadzenia wykładów w języku polskim, ściągął z najlepszych ośrodków naukowych w Europie uczonych identyfikujących się z polskością. Eksperymentalnie prowadzone badania w naukach przyrodniczych, kierujące się metodą naukową, zaczęły przynosić oszałamiające efekty, dając nadzieję, że nauka definitywnie rozwiąże nie tylko problem chorób, ale nawet niesprawiedliwości społecznej. Jak wiemy, nie rozwiązała. Ale wybitne medyczne umysły, które przyciągnęła ówczesna atmosfera miejsca, zostawiły po sobie wzorzec działania i następców na wiele dekad. W pewnym sensie żyją więc do dziś, nawet jeśli niektóre ich nazwiska znają już tylko fachowcy.

*

Ludwik Teichmann pojawił się w Krakowie mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Józef Dietl – szef Katedry Medycyny Wewnętrznej Uniwersytetu Jagiellońskiego i rektor tej uczelni – prowadził walkę z kołtunem. Był rok 1862, gdy ogłoszono sprawozdanie kończące pracę komisji specjalnie powołanej w Towarzystwie Naukowym Krakowskim do zbadania natury tej przypadłości. Wykazano, że kołtun, spotykany na tyle często na dawnych ziemiach polskich, że w łacińskiej terminologii nazwana go *Plica polonica*, nie był skutkiem procesów chorobowych, ale braku higieny. Kołtuny należało więc ścinać, a włosy myć.

To właśnie Dietl poparł Teichmanna jako kandydata na stanowisko szefa Katedry Anatomii Patologicznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Uczony przyjechał do Krakowa z Getyngi w aurze sławy otaczającej go od niemal dekady, kiedy na łamach „Zeitschrift für rationelle Medizin” opisał reakcję chemiczną pozyskiwania chlorcheminy, czyli krystalicznej postaci hemoglobiny. Odkrycie to zmieniło medycynę sądową, ponieważ umożliwiło badania nad krwią i pozwoliło wykrywać jej obecność nawet w mikroskopijnych ilościach. Kryształki, wytrącające się w wyniku reakcji pierwszy raz opisanej przez Teichmanna, do dzisiaj nazywane są jego nazwiskiem, ale to dopiero w Katedrze Anatomii Opisowej przy ul. Kopernika Teichmann pokazał umiejętności, które dały mu rozpoznawalność na wszystkich europejskich uczelniach.

Uczony uważał, że poznanie anatomii człowieka i rozwój związanych z nią badań tak długo pozostaną problematyczne, jak długo preparatyka nie pozwoli zabezpieczać narządów wewnętrznych oraz sporządzać ich maksymalnie precyzyjnych odlewów. Podstawowymi elementami wyposażenia jego pracowni były więc klej stolarski, kit anatomiczny i barwniki drobnoziarniste. Wprowadzał je do tkanek strzykawkami różnej wielkości i własnego pomysłu, a nad recepturą oryginalnej masy iniekcyjnej pracował blisko 20 lat. Ale też odtworzone wedle jego metody działania naczynia układu krwionośnego i limfatycznego – od największych do włosowatych – jak podkreśla prof. Ryszard W. Gryglewski, historyk medycyny – „osiągnęły mistrzostwo anatomicznego obrazowania”. Tak zwany kit Teichmanna, powstały na bazie kitu szklarskiego, zmienił nieodwracalnie standardy pracy badawczej w anatomii, ponieważ jego twórca – co nie było wówczas oczywiste – patrzył na swoją pracę przez pryzmat chemicznych i fizycznych właściwości wykorzystywanych substancji.

Zasługi krakowskiego uczonego dla światowej nauki na tym się nie kończą, bo za równie ważne trzeba uznać przyjęcie na stanowisko swojego asystenta Tadeusza Browicza. Uczony ten w 1874 roku odkrył pałeczkę *Salmonella enterica* – bakterię wywołującą dur brzuszny, jedną z najczęstszych wówczas chorób zakaźnych, przenoszoną niezwykle łatwo w żywności i wodzie. Nazwisko Browicza znajduje się też w atlasach anatomicznych – tak nazwano ciekawe anatomicznie komórki, które znajdują się w krwionośnych naczyniach włosowatych wątroby. Choć sławę ich odkrywcę dzieli z Karolem Kupfferem, krakowski histolog opisał je jako pierwszy w 1898 roku. Oba, choć działali niezależnie, uznaje się za prekursorów badań nad strukturą tkanek wątroby. Pozyskana wiedza pozwoliła Browiczowi stawiać hipotezy na temat budowy dróg żółciowych i mechanizmu pojawiania się żółtaczki.

*

Napoleon Cybulski rozpoczynał pracę w Krakowie w 1885 roku od uporządkowania zasobów Zakładu Fizjologii w Collegium Physicum przy ul. św. Anny, tam gdzie ponad dwie dekady wcześniej pojawił się Teichmann, i widząc, w jakim zakład jest stanie, orzekł, że ambicją uprawiania anatomii na światowym poziomie potrzebuje stosownych do zamierzeń

pomieszczeń. Siedziba Zakładu Fizjologii bez wentylacji, za to z dużą liczbą zwierząt doświadczalnych, ciasna i z ograniczonym dostępem do światła słonecznego, stała się jednak miejscem doświadczeń na miarę epoki odkrywców, którą Cybulski współtworzył. W 1894 roku szef Zakładu Fizjologii z Władysławem Szymonowiczem, 25-letnim współpracownikiem po studiach medycznych, po serii wielomiesięcznych doświadczeń na psach i królikach mógł ogłosić światu, po co istnieją nadnercza, wyglądające jak narośla na szczycie nerek. Wydzielana przez nie substancja, nazwana przez Cybulskiego nadnerczyną, nie działa, jak wykazał jej odkrywca, bezpośrednio na narządy czy mięśnie, ale jest przekaznikiem impulsu nerwowego, dzięki któremu ich praca jest możliwa.

Przełom tych ustaleń pokazuje skala ówczesnej niewiedzy. Nie znano ani układu gruczołów dokrewnych, których nadnercza są częścią, ani wydzielanych przez nie hormonów. Pojęcie hormonu zostanie zresztą wprowadzone do nauki dopiero 10 lat po pracy Cybulskiego. Niewiele wcześniej jedna z odkrytych przez niego amin katecholowych, jak później określono nadnerczynę, zostanie nazwana adrenaliną.

Krakowski fizjolog do wypełniania białych plam na mapie ludzkiego organizmu, o którego funkcjonowaniu wiedziano wciąż za mało, wychował tak liczne grono współpracowników, że jeszcze za jego życia mówiono o krakowskiej szkole fizjologów. Jednym z kontynuatorów bliskiego mu tematu – przewodnictwa elektrycznego w mięśniach i badań kory mózgowej – był Adolf Beck, który właśnie w pracowni Cybulskiego i przy jego pomocy uzyskał w 1890 roku pierwszy na ziemiach polskich, a drugi w medycynie w ogóle zapis elektroencefalograficzny (EEG), czyli aktywności elektrycznej mózgu niezależnej od stymulacji zmysłowych. Także w Zakładzie Fizjologii prof. Cybulskiego przeprowadzono pierwsze na ziemiach polskich badanie elektrokardiograficzne (EKG), a w swojej pracy z 1910 roku opisał on, jak wygląda praca mięśnia sercowego od strony działających w nim ładunków elektrycznych.

Zasługą Cybulskiego jest wreszcie sprowadzenie w 1893 roku do Krakowa na stanowisko szefa nowo powstałej Katedry Higieny Odon Bujwida, bakteriologa i założyciela pierwszej na terytorium dawnej Polski – przy ulicy Wilczej w Warszawie – stacji szczepień przeciwko wściekliznie. Druga powstała w Krakowie, najpierw przy ul. Strzeleckiej, a później w kupionej przez Bujwida kamienicy przy ul. Lubicz. Współpracująca z Katedrą stacja produkcji surowic (przeciw błonicy, paciorkowcom i tężcowi) oraz szczepionek (przeciw durowi brzuszному, czerwonce, cholerze i ospie) stała się na przełomie XIX i XX wieku jedną z najważniejszych w tej części Europy. Pracowała nieprzerwanie przez dwie wojny światowe (zaopatrując w szczepionki między innymi mieszkańców krakowskiego getta), do jej upaństwowienia w 1951 roku. Pod Wawelem prof. Bujwid – znany wcześniej jako modyfikator pasterowskiej metody szczepień i polemista Roberta Kocha, któremu udowodnił, że odkryta przez niego tuberkuloza daje możliwość sprawdzania odporności przeciwgruźliczej organizmu, ale nie jest lekiem na tę

chorobę – zajął się przecinkowcem cholery i pałeczką dżumy. Natomiast w 1894 roku wprowadził do medycyny szczepionkę przeciw błonicy stworzoną wedle własnego pomysłu.

*

Ludwik Rydygier, starając się w 1882 roku o stanowisko szefa Katedry Chirurgii na Uniwersytecie Jagiellońskim, miał za sobą dwie pionierskie operacje wykonane w jego prywatnej klinice, założonej dzięki posagowi żony: wycięcie z powodu nowotworu żołądka odźwiernika łączącego żołądek z dwunastnicą (wykonał je jako druga osoba na świecie) oraz operację resekcji żołądka z powodu choroby wrzodowej. Ale na stanowisko kierownika katedry zamiast 31-letniego Rydygiera wybrano jego równolatka Jana Mikulicza-Radeckiego, który największe osiągnięcia chirurgiczne miał dopiero przed sobą: jako pierwszy w światowej medycynie zszyje pęknięty wrzód żołądka, opracuje oryginalne metody poszerzenia zwężonego wpustu przełyku czy usuwania guza okrężnicy, wprowadzi narzędzia chirurgiczne własnej konstrukcji i zacznie używać jodoformu do ich sterylizacji, a bawełnianych rękawiczek podczas wykonywania zabiegów.

Kiedy Rydygierowi udało się wreszcie objąć krakowską Katedrę Chirurgii w 1887 roku, był już autorem operacyjnego zespolenia żołądkowo-jelitowego, metody stosowanej w leczeniu choroby wrzodowej żołądka i dwunastnicy o trudnym przebiegu. Miśtrzowskie umiejętności w posługiwaniu się dość ograniczonym zestawem narzędzi chirurgicznych (skalpel, nici, imadło), a przede wszystkim własna pomysłowość doprowadziły Rydygiera do technik operowania tętniaków, wykorzystywania skóry i mięśni w rekonstrukcji tkanek czy operacji usuwania nowotworów narządów wewnętrznych, w tym jajników i szyjki macicy.

Nim w 1897 roku porzuci Kraków, by zorganizować chirurgię we Lwowie, doprowadzi do końca budowę nowej siedziby Kliniki Chirurgicznej przy ul. Kopernika, z prawdziwie szowinistyczną pasją sprzeciwił się przyjmowaniu kobiet na studia medyczne (za czym niestrudzenie orędowni Bujwid i Cybulski) oraz wychowa grono zdolnych lekarzy, nie tylko chirurgów. Jednym z nich był Aleksander Rosner – ginekolog i autor wydanej w 1918 roku monografii *Studja nad konstytucją narządów płciowych kobiet*. Przetłumaczona na język francuski, oparta na dokonaniach klinicznych autora i jego krytycznej analizie, kwestionowała pojęcie „konstytucji” tych narządów, czyli ich struktury, stworzone przez Zygmunta Freuda. Rosner w swojej propozycji badawczej (konstytucja jest niezmienna, zmienia się kondycja), odwołując się do wiedzy z zakresu ewolucji organizmów i układu nerwowo-hormonalnego, rozpoczął ogólnoeuropejską dyskusję fachowców na ten temat. Znamcy pamiętają też samodzielną wniosków wyciąganych z badań nad mechanizmami rozwoju ciąży bliźniaczej i prekursorskie w polskich warunkach wykorzystywanie naświetleń radowych w leczeniu ginekologicznych chorób nowotworowych.

*

Duszności, kołatanie serca, koszmarnie sny, dziury w pamięci, drgawki... Ilu żołnierzy, tyle symptomów



Ludwik Karol Teichmann (1823–1895) – lekarz anatom, wiceprezes PAU



Józef Dietl (1804–1878) – lekarz, balneolog, polityk, profesor i rektor UJ, prezydent Krakowa w latach 1866–1874



Tadeusz Browicz (1847–1928) – lekarz anatom i patolog, rektor UJ, członek PAU



Napoleon Nikodem Cybulski h. Prawdzic (1854–1919) – fizjolog, jeden z twórców endokrynologii i pionier elektroencefalografii, trzykrotnie nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny



Odo Bujwid (1857–1942) – bakteriolog, pionier higieny i profilaktyki zdrowotnej



Ludwik Antoni Rydygier (1850–1920) – chirurg, profesor medycyny, generał brygady Wojska Polskiego (obraz Leona Wyczółkowskiego)



Jan Antoni Mikulicz-Radecki (1850–1905) – chirurg, jeden z pionierów antyseptyki i aseptyki



Aleksander Rosner (1867–1930) – ginekolog i położnik



Jan Władysław Piltz (1870–1930) – neurolog i psychiatra, pierwszy kierownik Katedry Neurologiczno-Psychiatrycznej UJ

nieznanej przypadłości, która zaczęła pojawiać się wśród wojskowych w okopach Wielkiej Wojny. Jan Piltz, założyciel Kliniki Neurologiczno-Psychiatrycznej przy ul. Botanicznej w Krakowie, jeszcze w trakcie działań wojennych, opierając się na materiale klinicznym, opublikował prace: *Zaburzenia nerwowe i psychiczne spostrzegane podczas mobilizacji i w czasie wojny* (1915) oraz *Przyczynę do nauki o t.zw. nerwicach wojennych i ich leczeniu* (1917), z opisem symptomów nerwicy okopowej. Były to jedne z pierwszych badań zaburzenia, które współcześnie nazywane jest zespołem stresu pourazowego, diagnozowanego u uczestników wydarzeń skrajnie trudnych psychicznie. Opracowana przez niego terapia wychodziła od kilkudniowej obserwacji chorego i badania fizykalnego oraz przeprowadzeniu pogłębionego wywiadu. Lekarstwem miała być psychoterapia, czyli, jakby powiedział inny krakowski psychiatra Antoni Kępiński, młodszy od Piltza o pół wieku, umiejętność stworzenia więzi z pacjentem.

Za sprawą Kępińskiego temat psychicznych konsekwencji działań wojennych na powrót stanie się w Krakowie przedmiotem badań. W 1968 roku, wraz z lekarzami tak zwanego zespołu oświęcimskiego, opisał jako pierwszy w światowej literaturze medycznej KZ-Syndrom – wynik badań prowadzonych przez niemal dekadę w Klinice Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Krakowie na grupie byłych więźniów Auschwitz. Ich celem było poznanie psychicznych i społecznych następstw pobytu w obozie koncentracyjnym. Stworzony za sprawą

Kępińskiego i jego współpracowników rocznik „Przegląd Lekarski. Oświęcim”, wydawany w latach 1961–1991, dwukrotnie nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla, jest do dzisiaj uznawany za jedno z najważniejszych naukowo źródeł wiedzy medyczno-lekarskiej na temat następstw wydarzeń z lat II wojny światowej.

Odkrycie prostacykliny – hormonu wytwarzanego przez ściany naczyń krwionośnych, który między innymi doprowadza do ich rozkurczania się i obniżenia ciśnienia krwi – zostało uhonorowane Noblem. W polsko-brytyjskim zespole, który odkrył związek w 1976 roku, pracowali między innymi uczeni z krakowskiej Akademii Medycznej Ryszard Gryglewski i Andrzej Szczeklik. Zdaniem Szczeklika, jego przyjaciel istnienie prostacykliny udowodnił w „serii szybkich, pomysłowych eksperymentów”. W Krakowie opisano jej działanie na ustrój człowieka i wprowadzono do terapii w nadciśnieniu płucnym oraz zwężeniu tętnic nóg wywołanym miażdżycą albo stanem zapalnym.

*

Nauka „nie może doprowadzić do rozwiązania zagadnień, które trapią ludzkość” – przestrzegał Napoleon Cybulski w artykule z 1895 roku, przekonując, że nauka, także ta, która zajmuje się poznawaniem ludzkiego ciała, „dąży wyłącznie tylko do poznawania realnych, możliwie prawdziwych faktów”. Dzięki nim przeprowadza się pionierskie operacje i terapie lecznicze.

Dalece niekompletna lista krakowskich uczonych, których osiągnięcia zmieniły światową medycynę, pokazuje, że fakty poznają tylko ci, których napędza ciekawość świata i ambicja.

Korzystałam między innymi z: Adolf Beck, *Działalność naukowa Napoleona Cybulskiego*, „Medycyna Doświadczalna i Społeczna” 1930, t. 11; Odo Bujwid, *Osamotnienie. Pamiętniki z lat 1932–1942*, Kraków 1990; Napoleon Cybulski, *Czy państwo i społeczeństwo mają obowiązek popierać naukę?*, Kraków 1895; Zdzisław Gajda, *O Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego*, Kraków 2003; Ryszard W. Gryglewski, *Ludwik Karol Teichmann jako preparator*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 2014, R. 59, nr 3; Wacław Jeż, *Życie i dzieło Aleksandra Rosnera*, „Archiwum Historii Medycyny” 1966, nr 29; Andrzej Szczeklik, *Tętnice pełne życia*, „PAUza Akademicka” 2010, nr 89.



Anna Mateja – dziennikarka; wydała między innymi *Serce pasowało. Opowieść o polskiej transplantologii* (Czarne, 2016), *Recepta na adrenalinę. Napoleon Cybulski i krakowska szkoła fizjologów* (Czarne, 2019), *Poznanie Kępińskiego. Biografia psychiatry* (Wydawnictwo Literackie, 2019). Opracowała trzatomową edycję *Pism wybranych Jerzego Turowicza* (Universitas, 2013).



Między medycyną a sztuką, czyli rozmowa kontrolowana

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Tomasz Machnik

To nie będzie jedna z opisywanych przeze mnie w tej rubryce wizyt w pracowni artysty. Do prawdziwej pracowni Jacka Madeja nie mogę wejść, ponieważ mieści się ona w sali operacyjnej Szpitala Żeromskiego, gdzie ratuje on zdrowie i życie pacjentów. Tam niespecjalnie da się rozmawiać o sztuce. Ale w moim ulubionym Klezmer Hois już tak.

Przed wyjściem z domu obejrzałam stronę internetową, na której Jacek zamieszcza swoje zdjęcia, przede wszystkim krajobrazy, na dodatek wykonane techniką analogową. Byłam więc przekonana, że za chwilę spotkam człowieka o romantycznej duszy, który w pięknych pejzażach szuka ukojenia. Przy stoliku czekał jednak na mnie mężczyzna, którego strój i aparycja bardziej przypominały muzyka rockowego niż statecznego lekarza czy autora nastrojowych fotografii. Już wiedziałam, że będzie niekonwencjonalnie, a co za tym idzie – ciekawie. Oczywiście, pod warunkiem że nie zadzwoni komórka, przez którą lekarz może w każdej chwili zostać wezwany do szpitala.

– Mam nadzieję, że nic się nie wydarzy i nie przywiozł pacjenta z nożem w brzuchu – zażartował, a ja na wszelki wypadek od razu przeszłam do rzeczy. Ciekawiło mnie, co skłoniło go do zajęcia się fotografią i to na zdecydowanie wyższym poziomie niż pstrykanie zdjęć z wakacji. – Wszystko zaczęło się, kiedy na rynku pojawiły się aparaty cyfrowe. Fascynowało mnie początkowo, jakie fajne zdjęcia można nimi robić bez żadnego wysiłku, ustawiania skomplikowanych parametrów, mierzenia światła, szukania ostrości czy głębi. Ale szybko zaczęło mnie to nudzić. Sięgnąłem więc po aparat analogowy, który jest wyzwaniem i wymaga znacznie więcej zachodu. Żeby zrobić jakieś fajne pejzaże, trzeba wstać rano, trafić na odpowiednią pogodę. No i jest ten element zaskoczenia, kiedy wywoła się kliszę i nie wiadomo, co się na niej znajdzie.

Z biegiem czasu dr Madej zaczął coraz bardziej zgłębiać technikę fotografii, poznając możliwości, jakie daje mariaż niegdyśszej techniki z programami komputerowymi. Poddawanie zdjęć analogowych obróbce cyfrowej przynosiło intrygujące efekty. Tak powstały niepokojące widoki spowitych mgłami łąk, nocnego Krakowa czy nadmorskich krajobrazów. Jacek Madej nie byłby sobą, gdyby czasem nie pozwolił sobie na odrobinę przewrotności. Nastrojowy cykl *Morze*, w którym znaczącą rolę odgrywa świetnie uchwycone, odbijające się w wodzie światło, zakończył obrazem butelek po piwie. – Zobaczyłem ich niesamowitą liczbę w pobliskiej knajpie i pomyślałem, że są one kontynuacją fal, które przed chwilą fotografowałem.

W jego kadrach ludzie pojawiają się dosyć rzadko. Chyba że są to sesje portretowe, które organizował z takimi jak on zapaleńcami, wynajmując profesjonalne studio, makijażystki, oświetleniowców... – Kiedyś zaproszono mnie na pokaz mody, ale robienie zdjęć modelkom chodzącym po wybiegu wydało mi się nudne. Wybawiła mnie od tego dzwoniąca komórka,

bo właśnie byłam na dyżurze pod telefonem. Nigdy nie biorę ze sobą aparatu do szpitala, ale tym razem miałem go ze sobą. Na sali operacyjnej pstryknąłem kilka zdjęć. Nie mam jednak w sobie duszy reportera, nigdy już więcej tego nie zrobiłem – mówi dr Madej, przy okazji przyznając, że fotografię na razie porzucił. Doszedł bowiem do takiego momentu, że musiałby zacząć poświęcać jej dużo czasu, by wejść na wyższy poziom profesjonalizmu.

A trudno to zrobić, gdy ma się tyle co on zainteresowań. Na przykład motocykle. Ukochaną maszyną BMW K1600 GTL wyrusza na samotne wyprawy do Chorwacji, poza utartymi szlakami, po drodze podziwiając alpejskie widoki. Po latach wrócił też do pasji muzycznych. – W szkole uczyłem się grać na pianinie, ale metody stosowane w Ognisku Muzycznym, czyli bicie linijką po łapach, raczej nie sprzyjały osiągnięciu wirtuozowskiego poziomu. Jednak kiedyś u kolegi w domu zacząłem grać na pianinie elektrycznym. Tak mnie to wciągnęło, że też kupiłem sobie instrument i ćwiczyłem na nim podczas pandemii. Zapisalem się na lekcje, na których uczyć się grać rockowe kawałki. To mi się podoba, tylko nie wiem, czy nie porzucę pianina, tak jak fotografii, ponieważ na drodze stanęła mi właśnie gitara – śmieje się, a ja zaczynam rozumieć, że jest przed nim jeszcze niejedno artystyczne wyzwanie.

Leżący na stoliku telefon milczy, choć widzę, że przez całą naszą rozmowę dr Madej spogląda na niego kątem oka. To pozwala mi wyciągnąć wniosek, że żadna z jego licznych pasji nie przebija medycyny. – No tak, mam mnóstwo zainteresowań, ale nic nie daje takiej satysfakcji jak sukces odniesiony na sali operacyjnej – wyznaje lekarz, a żeby nie było za poważnie, dodaje: – Z chirurgią jest tak, jak z naprawą samochodu, z tą tylko różnicą, że wszystkich części nie da się wymienić. Ale zawsze trzeba próbować.

Jacek Madej ukończył Wydział Lekarski Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrze. Posiada tytuł specjalisty I i II stopnia w dziedzinie chirurgii ogólnej. Obecnie jest w trakcie specjalizacji z zakresu chirurgii onkologicznej. Od 1996 roku pracuje na Oddziale Chirurgii Ogólnej, Onkologicznej i Małoinwazyjnej Szpitala im. S. Żeromskiego w Krakowie.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Odpowiada Jacek Madej

Co dodaje ci energii o poranku?

Nie ma takiej siły sprawczej, która dodałaby mi rano energii.

Jaką melodię nucisz przy goleniu?

Z powodu braku energii nic nie nucę.

Jaka piosenka, usłyszana w radiu, nastraja cię optymistycznie na cały dzień?

Lubię Van Morrisona, ale jego w radiu nie puszczają.

Jakich utworów słuchasz, gdy ogarnia cię melancholia?

Ja raczej prosty człowiek jestem. Nie ma u mnie miejsca na takie stany duchowe. Serio.

Wierzysz w przeznaczenie?

Nie. Jestem z tych, co wierzą w szkiełko i oko.

Co uważasz za swoje największe osiągnięcie?

To, że zawodowo jestem tu, gdzie jestem.

Gdyby miało spełnić się twoje największe marzenie, co to by było?

Chyba jestem spełnionym człowiekiem i przeważnie to, co sobie zaplanuję, osiągam.

Gdybyś miał określić główne cechy swojego charakteru, co by to było?

Chyba misiowatość i dobroduszość.

Jakie cechy cenisz u kobiet?

Inteligencja u kobiet jest dla mnie ważniejsza niż uroda. Chociaż fajnie jest, gdy idą w parze.

Jakie cechy cenisz u mężczyzn?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Jakich wydarzeń sportowych nigdy nie zapomnisz?

Nie interesuję się sportem. Serio. Mógłby dla mnie nie istnieć.

A co uważasz za swoje największe osiągnięcie sportowe?

To, że chodzę o własnych siłach, bez laski.

Co najbardziej w sobie lubisz?

Tak w ogóle to siebie lubię.

Czego w sobie nie lubisz?

Jak wyżej.

Gdybyś mógłbyś zmienić się na jakiś czas w innego człowieka, kto to by był?

Bolek albo Lolek. Oni wiedli beztroskie życie, podobnie jak Tytus, Romek i A'tomek.

Gdybyś mógł zmienić się na jakiś czas w zwierzę, to jakie byś wybrał?

Hipopotama. Siedziałbym sobie cały dzień i nic nie robił.

Jeśli niebo istnieje, co chciałbyś usłyszeć, docierając do jego bram?

Noż k..., to znowu ty...

Jeśli piekło istnieje, kogo chciałbyś tam spotkać?

Tam chyba nie ma wyboru. Kto będzie, to będzie...



Dr n. med.
Piotr Maciukiewicz
– ordynator
Oddziału Urologii
Szpitala Rydygiera,
wojewódzki
konsultant z zakresu
urologii

Czy laik może docenić dzieło chirurga? Gdy dr Maciukiewicz przy zabiegu usuwania nowotworu usuwa nerkę i razem z nią – fragment żyły głównej dolnej, to człowiekowi niewiele to mówi. Ale ktoś, kto się trochę na tym zna, będzie wiedział, że w ten sposób całe krążenie z dolnej połowy ciała zostało odcięte, no i wtedy robi się straszno. Na szczęście operował nie sam, zespół był świetny, z pomocą z chirurgii naczyniowej wszczepili fragment sztucznego naczynia i pacjenta uratowano. Co robić po czymś takim? Przecież to musi wykańczać psychicznie i fizycznie.

Maciukiewicz, mężczyzna dowcipny, broni się przed pochwałami. – Jestem bardzo prostym facetem. A nawet – monotonnym. Po operacji po prostu idę do gabinetu i dalej przyjmuję pacjentów. Nie szukam jakiegoś resetu, żeby po powrocie do domu wpaść w fotel, wypić butelkę wina czy utopić się w serialu telewizyjnym. Owszem, w jakiś sposób przeżywam wszystko wewnątrz i idę dalej, starając się nie pokazywać na zewnątrz emocji. Robię trudny czy łatwy zabieg, mam lepszy czy gorszy dzień, kończę pracę i zostawiam to za sobą. Oczywiście zawsze jestem w gotowości, to jasne.

A tak naprawdę, to im dłużej pracuję, tym bardziej się stresuję.

Od ponad dwudziestu pięciu lat jest związany ze szpitalem Rydygiera, a cała jego rodzina od zawsze – z Krakowem. Dziadek ze strony mamy był Austriakiem, który potem służył w polskim wojsku, był adiutantem generała Hallera, wreszcie profesorem Akademii Medycznej i choć mówił po polsku, to już do końca życia pozostał mu niemiecki akcent. A rodzice, dziadkowie i wreszcie on sam mieszkali przy samiuśkim Rynku, przy Wiślniej.

Kiedyś zajmował się amatorsko fotografią. Teraz, gdy jedzie z rodziną na wakacje, to do niego należy zrobienie fotoalbumu. Jest jeszcze sport, narci, ale przede wszystkim tenis. – Kiedyś na nartach jeździłem dużo więcej, teraz, nie ukrywam, jakiś taki strach, że pojadę, coś sobie zrobię i wypadnę z obiegu, a pacjentów mam zapisywanych do wakacji. Bo ja, na dobrą sprawę, nie mogę chorować, muszę pracować. Wolę więc narciarstwo tarasowe: od jednego tarasu knajpki do drugiego. Za to w tenisa gram co najmniej dwa razy w tygodniu.

Poza tym dobre filmy (uwielbiam wracać do *Pulp Fiction* i soundtracku z tego filmu), no i staram się czytać, dużo czytać. Ale zwykle jestem tak zmęczony, że po trzeciej stronie zasypiam...

(Witold Bereś, fot. archiwum domowe)

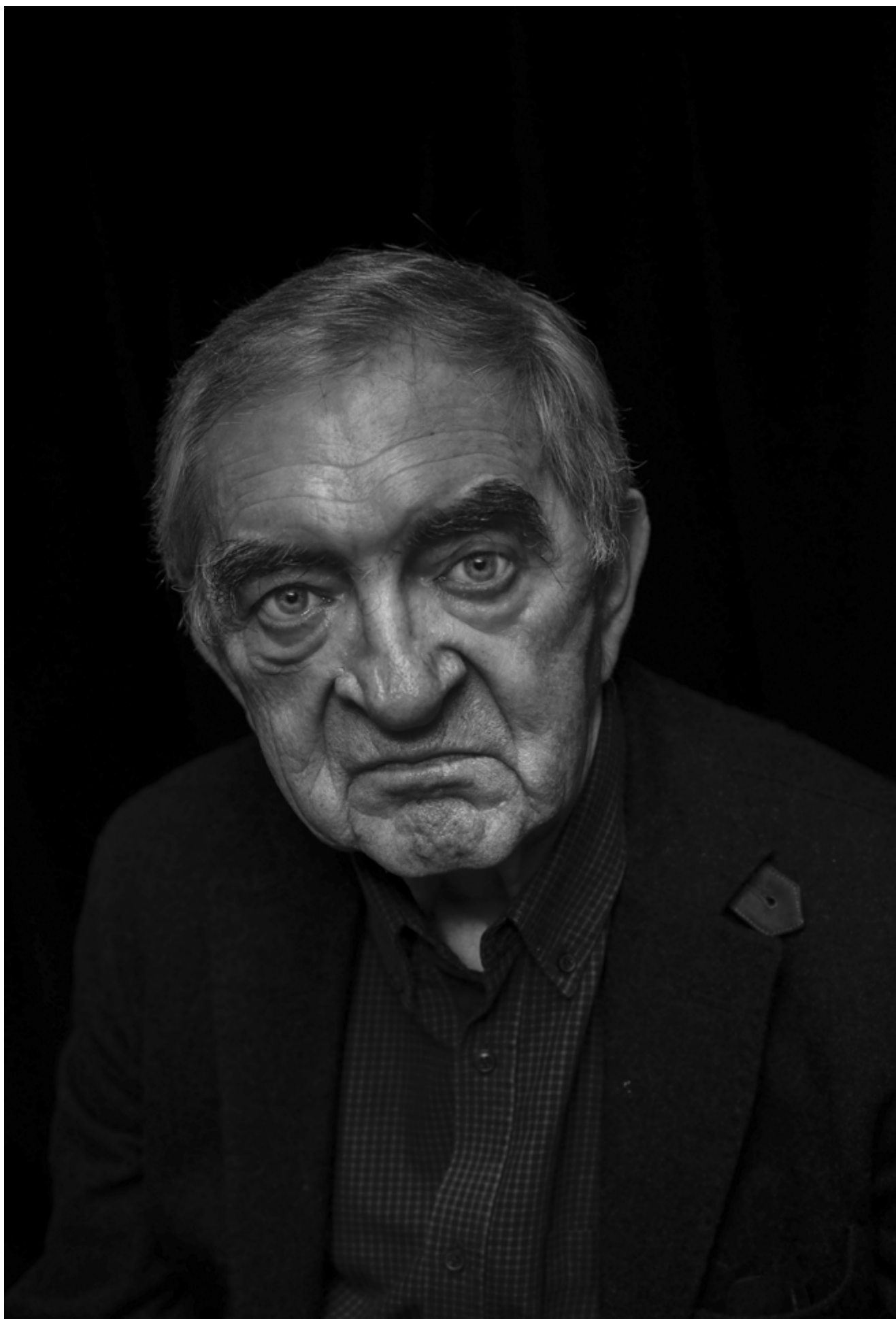


Prof. dr hab. n. med.
Tadeusz Jan Popiela
– kierownik Zakładu
Diagnostyki
Obrazowej
NSSU Szpitala
Uniwersyteckiego

Na co dzień zajmuje się neuroradiologią interwencyjną, czyli wewnątrznaczyniowym leczeniem chorób naczyń mózgowych. Kiedy chce odpocząć po pracy, wsiada wraz z rodziną do swojego ulubionego land rovera discovery I z 1994 roku, zwanego „dyskoteką”, i wyrusza na

off-roadowe wyprawy do miejsc, gdzie nie dociera przeciętny turysta. W ten sposób objechał wiele zakątków Polski, ale też Korsyki, Albanii, Rumunii i Bałkanów, rozbijając namiot w dzikich, ale za to przepięknych miejscach. Wrażenie zrobił na nim wjazd samochodem na szczyt półwyspu Cap Corse na Korsyce, by zobaczyć morze rozbijające się o brzegi z dwóch różnych stron wyspy. Nie zapomni też nigdy jazdy po wysokich górach Albanii, podczas której jeden z samochodów uczestników wyprawy stoczył się ze skarpy. – Na szczęście nikomu nic się nie stało, ale wyciąganie w burzy przez cały dzień auta dostarczyło nam niezłej dawki adrenaliny. I właśnie z potrzebą adrenaliny wiąże się moja off-roadowa pasja. W końcu w szpitalu też wykonuję zabiegi o wysokim ryzyku.

(Magda Huzarska-Szumiec,
fot. archiwum domowe)



Jazz i zen. Jerzy Trela

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcia: Alicja Rzepa

Strach przed napisaniem pierwszego zdania. Strach, bo cokolwiek napisze się o Jerzym Trelu i tak będzie za mało. Cokolwiek się napisze, będzie temu towarzyszyło poczucie, że dla samego Jerzego Treli to akurat za dużo. Już widzę, jak aktor czyta teraz te wykrzykniki o sobie, jak się wstydzi, stara się umniejszać zachwyty, zmienić temat. Tym razem zmian nie będzie. On jest tematem. I wszystko się zgadza: sceniczny wigor Treli i ludzki cień. Wigor w cieniu. Aktor stoi w cieniu, tam jest widoczny. Tak wyrazisty, że przesłania wszystko inne, i centrum, i tło.

Nie uda się opisać całej drogi teatralnej (filmowej, telewizyjnej) Jerzego Treli. Nawet nie próbuję. O tym trzeba by książkę, kilka książek, nie jeden artykuł. I dlatego, wzorem innych portretów w tym cyklu, zamiast wycieczek w obiektywizm, szukam sedna w subiektywizmie.

Swinarski, wiadomo, ale ja nie widziałem na żywo ani jednego spektaklu Konrada Swinarskiego. Przekleństwo względnej młodości. Mój Trela to Jarocki, Grzegorzewski, Jasiński, kilku innych. Mój Trela to na przykład Joachim von Pasenov w *Lu-natykach (Hugenau, czyli Rzeczowość)* Hermana Brocha w reżyserii Lupy. Tak, wiem, rola wcale może nie najważniejsza ani najbardziej pamiętana, a jednak, mam wrażenie, wyjątkowo istotna dla zrozumienia fenomenu artysty. Trela-Pasenov – chmurny i cichy, ale w tym milczeniu, milczeniu permanentnym, potężny i wyzywający. Charyzma w zmęczeniu. W Pasenovie przeglądały się, tak jak w wielu innych kreacjach Jerzego Treli, skrajne aktorskie kontrplany, gorączka ze spektakli Swinarskiego i abstrakcje z teatralnych płócien Grzegorzewskiego.

Jazz i zen, to właśnie aktorstwo Treli. Lekko przygarbiony mężczyzna w sile wieku wychodzi na scenę. Mówi. Jest. I niejako przy okazji jazz zawłaszcza zen. Nie ma smutnego pana Jurka, jest Mefisto, Lear, Pasenov.

*

Jerzy Trela kojarzy się z milczeniem. Lubie jak milczy, a milczy często. Jerzy Trela

ma poczucie humoru, jest powściągliwy i dowcipny, ale często milczy. Wyłącza się wtedy. Jakby pracował w innej przestrzeni. I w tym milczeniu, prywatnym milczeniu, milczeniu niescenicznym, dopiero jest wielki. To jest magia. Pochylony nad serwetką, nad blatem, nas sobą. Milczy.

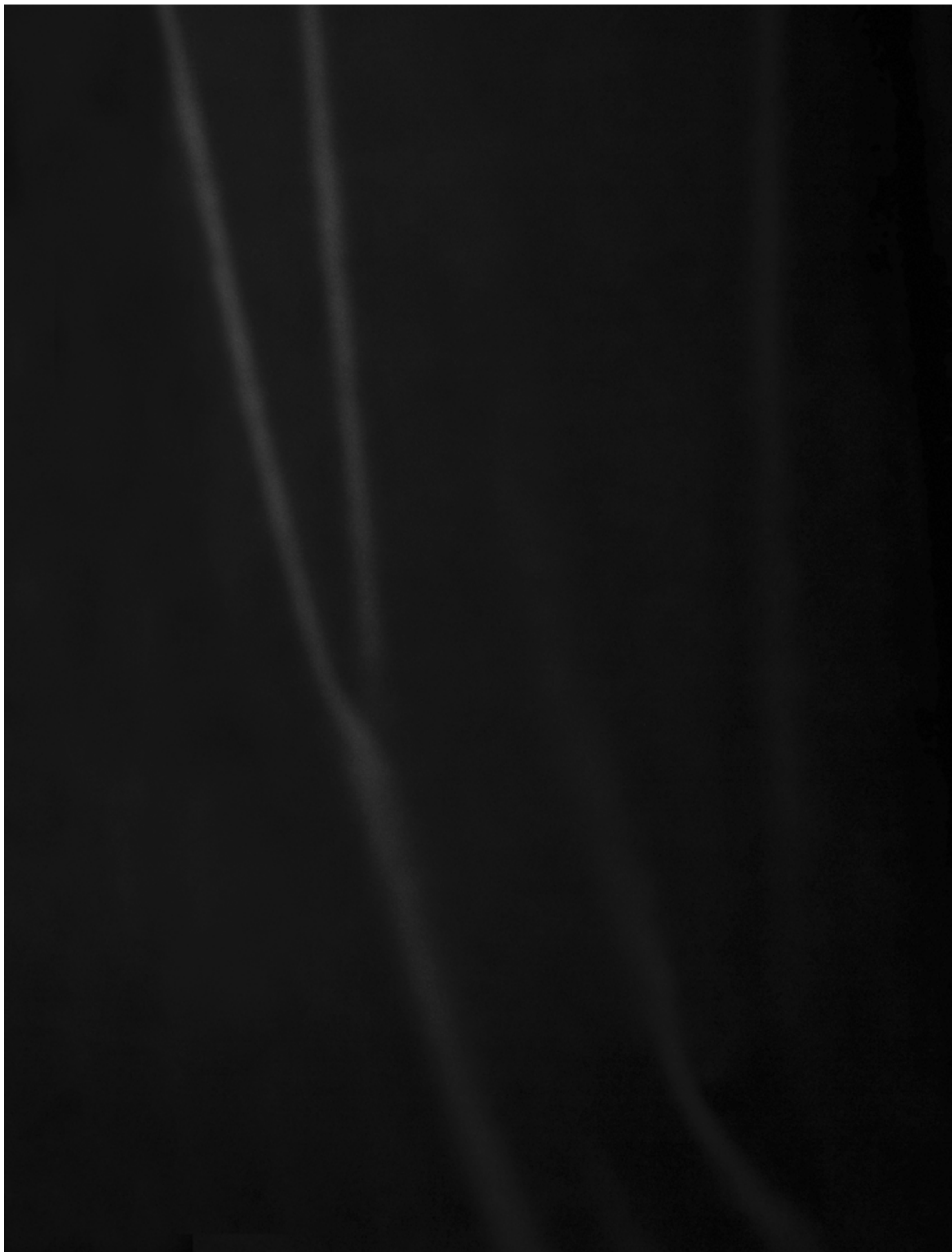
Dzisiaj jednak rozmawiamy.

Jerzy Trela: Jestem z natury sceptykiem. Optymizm daje mi scena. Nawet w czasach tak ciężkich, jak obecnie, ja, panie Łukaszu, uciekam do życia na scenę. Tam się chronię. Tam spotykam z ludźmi. To wielkie szczęście być dzisiaj z ludźmi.

Nie zadaję sobie pytań, czym jest dla aktora starość. Chcę być potrzebny i czuję, że jestem nadal. Występuję w STU, gram w Starym Teatrze w *Trąbce do słuchania*, nowym spektaklu Agnieszki Glińskiej. To daje mi napęd. To pozwala żyć.

Łukasz Maciejewski: Pochodzi pan z kolejarskiej rodziny. Pana ojciec był maszynistą. Zginął przy pełnieniu obowiązków, kiedy miał pan zaledwie dziewięć lat. Domyślałem się, że w rodzinie wrócono panu karierę kolejarza.

Być może za względu na tragiczne wspomnienie, jakim była śmierć ojca, nigdy nie chciałem pracować na kolei. Zbuntowałem się. Ciągnęło mnie w stronę teatru, sztuki. Właściwie uciekłem z liceum, z Wrocławia, chciałem zdawać do liceum plastycznego. Mama miała o to pretensje. Liceum o takim profilu wydawało się jej czymś mało poważnym. Chociaż sama miała inklinacje





artystyczne, w młodości występowała w teatrze amatorskim, wołała, żebym zgodnie z rodzinną tradycją pracował na kolei.

Potem oczywiście zaakceptowała Pański wybór.

Nie do końca. Informowałem mamę o kolejnych premierach, ale nie sprawiała wrażenia usatysfakcjonowanej. Uważała, że to nie jest solidny zawód. Martwiła się, co ludzie powiedzą. Kiedy na początku mojej drogi zawodowej przyjechałem do rodzinnych Leńczy, żeby poinformować mamę o nagrodzie na festiwalu w Erlangen za *Pamiętnik wariata* Gogola w STU, gdzie grałem Poprzączyna, mama pokiwała tylko głową i powiedziała: „No tak, wszystko jasne – pamiętnik wariata...”.

Do końca była sceptyczna, a przynajmniej sprawiała takie wrażenie, co – jak się w końcu okazało – nie było prawdą. Po odejściu mamy, znalazłem w domu wielki, stary neseser. Jeszcze sprzed wojny. Co tam może być? – pomyślałem. Okazało się, że przez lata skrupulatnie zbierała recenzje, wywiady, wycinki na mój temat. To była imponująca, wzruszająca kolekcja. Konsekwentnie udawała obojętność, bo taki miała charakter. Ale w głębi serca musiała być dumna. Dowiedziałem się o tym dopiero po jej śmierci. Za późno.

Nie zostałem kolejarzem ani lekarzem. Nie żałuję. Może to zabrzmiało naiwnie, ale dla mnie teatr był jedynym wyborem. Jeszcze w liceum za Wyspiańskim przejąłem zdanie, że teatr jest „świątynią sztuki”. Tak już zostało. On to pisał sarkastycznie, z ironią, ja potraktowałem myśl Wyspiańskiego poważnie. W ten sposób traktuję to do dzisiaj. Teatr jest drogowskazem. Czasami jest mi smutno, że w tak niewielkim stopniu współczesny teatr nawiązuje do tego, co było kiedyś, ale zaraz potem przypominam sobie, że chodzi o zwyczajny przemarsz pokoleń.

Mnie udało się grać u największych: Swinarskiego, Grzegorzewskiego, Jarockiego, u Lupy, Jasińskiego, u Wajdy. To były zawsze szczęśliwe spotkania, chociaż czasami do celu dochodziło się powoli. Pamiętam wielki wysiłek, jakim było dla nas zmaganie z *Wyzwoleniem* Wyspiańskiego. Nie szło. Swinarski bardzo się tym przejmował. Na jedną z prób zaprosił profesora

Kazimierza Wykę. Jego ocena była dla Konrada dotkliwa. Wyka powiedział: „A może to gniot?”. Swinarski był takim reżyserem i człowiekiem, że jego to nie zniechęciło, ale zmobilizowało. Przerwał próby na cztery tygodnie, zaczęliśmy z nowym impetem, pracowaliśmy bez wytchnienia. Przed premierą Konrad ponownie zaprosił profesora. Usłyszał: „Miał pan rację. To nie jest gniot”.

*

Jerzy Trela zagrał w ponad stu filmach i spektaklach Teatru Telewizji, ale jego kariera telewizyjna i filmowa jest nieporównywalna z dokonaniem teatralnym.

Jerzy Trela: Niektóre role filmowe były dla mnie ważne. Na przykład postać kierownika w *Spokoju* Kieślowskiego. W *Karate po polsku* Wójcika też miałem ciekawą postać do zagrania czy w *Kobiecie samotnej* Agnieszki Holland. Z sentymentem wspominam udział w filmie, od którego właściwie wszystko się zaczęło, myślę o *Kolumbach* Janusza Morgensterna. Dużą radość dają mi spotkania z Arturem „Baronem” Więckiem i „anielska” seria z Krzysiem Globiszem. Nie mogę doczekać się premiery *Prawdziwego życia aniołów*. Znowu się spotkaliśmy.

Trela wielokrotnie grał w telewizji u Kazimierza Kutza. Do historii tego gatunku przeszły jego kreacje tytułowego Stalina, Gurewicza w *Nocy Walpurgii* czy Komentanta w *Do piachu*. „Prawdziwy przyjaciel. Świetny artysta i prawy człowiek” – pisał Kazimierz Kutz o Jerzym Treli w tomie *Klasy i ścinki*.

Jerzy Trela: W 1975 roku zagrałem u Kazia w filmie *Znikąd donikąd*, wcześniej był jeszcze epizod w *Soli ziemi czarnej*, potem na wiele lat nasz kontakt się urwał, aż spotkaliśmy się w Krakowie. Kutz stworzył z krakowskiego ośrodka telewizji najlepsze tego typu miejsce w kraju, a może i w Europie. Spektakle, które powstawały wtedy w Krakowie, są do dzisiaj uznawane za jedne z najważniejszych w historii Teatru Telewizji.

Jeszcze raz Kutz: „(Trela) jest jednym z największych żyjących aktorów. Cieszy się wśród kolegów podwójnym autorytetem: w zawodzie i jako prawy człowiek. Jest prawdziwie skromny”.

Jerzy Trela: I to był właśnie kochany Kazio. Czasami opierdolił, a czasem pochwalił.

Łukasz Maciejewski: Z Kutzem łączy Pana coś jeszcze: prostolinijność, dystans i poczucie humoru.

Jerzy Trela: Wbrew ponurej gębie mam trochę poczucia humoru, na własny temat również. Dotychczas najchętniej byłem zaczepiany przez stałych lokatorów Dworca Centralnego w Warszawie, którzy na mój widok wołali: „Miszczu, daj dwa złote na piwo”. Odpowiadałem wtedy: „Jak nauczycie się mówić „mistrzu”, dostaniecie piątkę”. Słowa dotrzymali, ale zabraniałem im zwracać się do mnie w ten sposób.

Jednak kiedy parę lat temu dostałem honorowy tytuł „Mistrza Mowy Polskiej”, powiedziałem moim dworcowym kumplom: „Teraz zmiana. Od dzisiaj możecie na mnie wołać „mistrzu”. Mam wszystko zalegalizowane na piśmie. Jestem mistrzem”.

To prawda. Jest pan mistrzem.

To Pan też chce piątkę na piwo?

*

Przemokły buty. Na jednym ze spotkań organizowanych przeze mnie w Małopolskim Ogrodzie Sztuki Jerzy Trela, podczas wieczoru poświęconego pamięci Kazimierza Kutza, nie tylko wspominał wybitnego reżysera, ale przede wszystkim przyjaciela.

Pan Jerzy, tym swoim pięknym, charakterystycznym głosem, tak cichym, że słyszalnym wszędzie, wspominał, że na krótko przed naszym spotkaniem odwiedził przyjaciela na cmentarzu. Brzydka pogoda, paskudna właściwie, jakiś dotkliwy listopad, który, nie wiedzieć czemu, trwa u nas prawie cały rok.

„Porozmawiałem sobie z Kazikiem – mówił. – Pogadaliśmy. I nie zauważyłem, że buty mi przemokły, bo zimno, chłodno, bo deszcz”.

To już wszystko, cała historia. Nic wielkiego przecież, a tyle w tym prawdy, lojalności, przywiązania. I te buty, zmoknięte buty. Byleby przeziębienia z tego nie było.

Jerzy Trela wychodzi na scenę czy na plan filmowy często we własnych butach. Wiadomo, pantofelków z pomponem z domu nie przyniesie, ale kiedy tylko można, przynosi buty własne. Może nawet te przemoczone. I to mi się rymuje z tezą nienachalną, tezą bez tezy, którą staram się wydobyć, mijając daty, nazwiska czy tytuły. Kim jest Jerzy Trela. Wielki aktor, nasz, krakowski, Jerzy

Trela. I wychodzą w końcu te głupie buty. Że chodzi we własnych butach, że czasami przemoczone, ale to nie jest wcale taka znowu zwyczajna sprawa.

Bo buty Treli są siedmiomilowe. Unoszą aktora wysoko, są także symbolem: trwania na posterunku wartości, przywiązania, prawa do odrębności, prawa do własności.

Nic to, że czasami mokre.

*

W jednym z wywiadów Jerzy Trela wspominał młodzieńcze spotkanie ze Zbigniewem Cybulskim. Usłyszał wtedy: „Nie będziesz aktorem, dopóki nie nauczysz się zamykać drzwi. Nauczysz się, żeby nie grać tego, że drzwi są zamykane, ale zamykać je tak, żeby to było niewidoczne”. Przejął tę radę. Wielkość Jerzego Treli to jest marność naszych aspiracji. To jest wielkość fontanny w parku miejskim, kawiarni, niech będzie literackiej, wielkość porządnego rzemieślnika, dobrego szewca, wielkość kolegów spod budki z piwem (czy są jeszcze takie budki?), ale i światowej prapremiery nowego utworu nieznanego wirtuoza. Jazgot jazzu zamienia się w zen. To jest właśnie Trela. Aktor, który wie, jak zamykać drzwi.



Łukasz Maciejewski - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kul-

tura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty „Polityki” w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.



Pągowski z Wajdą – na nowo

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcie: Michał Mutor/za wiedzą i zgodą wydawcy

Człowiek z żelaza Andrzeja Wajdy – Złota Palma w Cannes, wydarzenie, klasyk. To wszystko wiemy, ale *Człowiek z żelaza* to także klasyk polskiego plakatu filmowego. Andrzej Pągowski stworzył do tego filmu jeden z najwyrazistszych plastycznych kodów rozpoznawczych. Wajda miał powiedzieć, że warto był nakręcić ten film, żeby zobaczyć tak świetny plakat.

Andrzej Wajda współpracował z wieloma wybitnymi grafikami, malarzami, a jako jeden z bardziej samoświadomych plastycznie reżyserów, podkreślający często, że w kinie pracuje niczym malarz (był absolwentem krakowskiej ASP), nieodmiennie zwracał uwagę na styl afisza filmowego. Plakat dla Wajdy miał znaczenie szczególne: pełnił funkcje reklamowe, ale zarazem stanowił dopełnienie artystycznej wizji reżysera, pozostając wobec niej zjawiskiem komplementarnym. Sugerował, dopowiadał, niekiedy interpretował.

Andrzej Pągowski, najbardziej rozpoznawalny w Polsce autor artystycznego plakatu filmowego, był dla Wajdy godnym partnerem. Zaprojektował plakaty wielu filmów mistrza. Poza *Człowiekiem z żelaza*, stworzył afisze

do między innymi *Kroniki wypadków miłosnych*, *Pierścionka z orłem w koronie*, *Wałęsy* czy pożegnalnych *Powidoków*.

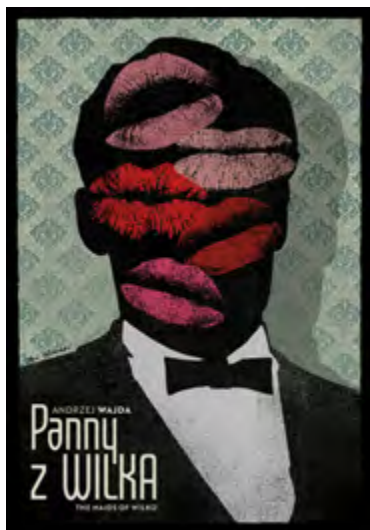
Projekt Andrzeja Pągowskiego *Wajda na Nowo* ma zatem kilka ważnych punktów odniesienia. Pierwszy to jest wieloletnia więź łącząca obu artystów i chęć swego rodzaju zatrzymania czasu, kontynuowania współpracy nawet po śmierci mistrza, dalej, bliskość okrągłych dat wajdowskich – 95. rocznica urodzin i piąta śmierci twórcy *Pociągu i diamentu*, wreszcie

szansa na nowy, oryginalny i interdyscyplinarny koncept artystyczny.

Andrzej Pągowski obejrzał „na nowo” wszystkie filmy Wajdy i stworzył oryginalne wersje do 60 dzieł najwybitniejszego twórcy polskiego kina. Tak, aż 60. Wajda to wszak gigantyczny dorobek, w którym obok legendarnych arcydzieł mieszczą się także mało znane dokumenty, filmy realizowane przez mistrza za granicą czy etudy studenckie. Pągowski pamiętał o wszystkim.

Sztuka polskiego plakatu filmowego – niedoceniana, zabijana komercją, nękana graficznymi potworkami zapychającymi 80 procent rynku, w osobie Andrzeja Pągowskiego zyskuje kogoś w rodzaju ostatniego Mohikanina artystycznego plakatu. Wystawa jest wspaniała, warto oglądać te projekty po wielokroć: grafika do *Samsona* z rozświetloną wewnętrznym żarem żydowską twarzą, a może już czaszką; *Panny z Wilka* zrobione w estetyce *art déco*; *Niewinni czarodzieje* – plakat z pudełkiem zapałek, a te zapałki są jazzem, zaś pudełko jest Komedą. Co plakat, to zaskoczenie, co grafika, to odkrycie.

Premiera przygotowywanej przez wiele miesięcy wystawy odbyła się latem 2021 roku w Suwałkach, rodzinnym mieście Andrzeja Wajdy, dając tym samym początek nowego festiwalu, dedykowanego Wajdzie i jego uczniom. Od tamtej pory projekt Andrzeja Pągowskiego ruszył w Polskę, towarzysząc przeglądowi filmów Wajdy, dyskusjom na temat jego twórczości albo – na co liczył Pągowski – stając się pretekstem do odkrywania kina Wajdy na nowo. Wystawie towarzyszy katalog z reprodukcjami dzieł Wajdy oraz unikatowa książka zawierająca rozmowy Pągowskiego z artystami związanymi z Andrzejem Wajdą.



Marzec 1922 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski Ilustracje: zbiory autora/domena publiczna

„Rozfokstrotowana hołota nawet w poście nie da się uspokoić. Co wieczór odbywają się tak zwane »tańce«, modne nie tylko na Kazimierzu, lecz w jednej z pierwszorzędných kawiarni w śródmieściu. W małym kółeczku (jak dwa stoły!) na środku dużej sali różne pary, poważnie starozakonne, kręcą się, kiwają, miętoszą, tłamszą, co ma nazywać się tańcem. Czy jednak właściciel tej kawiarni, jeśli już koniecznie chce dogodzić »neutralnej« publiczności, nie mógłby wyznaczyć jakiegos innego miejsca na tego rodzaju zabawę? Podobne tańce mogłyby doskonale odbywać się w jakiejś komórcie czy sekretnej ubikacji, których przy kawiarni przecie nie brak...” – grzmiał przed stu laty reporter „Głosu Narodu”.

✂ **2 marca.** Z kroniki „Czasu”: „Dzisiaj w środę popielcową młodzież została zwolniona od nauki dla wzięcia udziału w nabożeństwie kościelnym, podczas którego kapłan posypuje głowy wiernych popiołem, wymawiając słowa »z prochu powstałeś i w proch się obrócisz«. Również w biurach zwolniono wcześniej urzędników celem umożliwienia im wzięcia udziału w nabożeństwie”.

Trudno oprzeć się refleksji, że jak zwykle nikt nie pomyślał o robotnikach i chłopach...

✂ **3 marca.** Z tą datą ukazał się numer specjalny „IKC” poświęcony – jak głosił nagłówek na pierwszej stronie – „Braciom naszym cierpiącym w niewoli czeskiej”.

✂ **5 marca.** Z kroniki „IKC”: „Wczoraj rano o godz. 7.30 przybyła straż pożarna na ul. Krakowską do domu nr 28, gdzie zawaliły się belki dachowe oraz drągi podtrzymujące boczne ściany. Wskutek tego kawałki muru runęły na klatkę schodową. Straż pożarna po dłuższej pracy zabezpieczyła rudę przed całkowitym zawaleniem.

Dom ten rozebrano ostatecznie 10 lat później, z pozostawieniem części parterowej, usuniętej w 1941 roku. Odtąd była to pusta parcela zagospodarowana w czasach PRL-u ogródkiem jordanowskim. Dopiero przed sześciu laty wzniesiono tam budynek hotelowy.

✂ **5 marca.** „Telegram z Paryża donosi, że znakomity polski tłumacz Moliera, dr Tadeusz Żeleński-Boy, mianowany został z okazji tegorocznych uroczystości Molierowskich w Paryżu kawalerem Legii Honorowej (Chevalier de la Legion d'honneur). Jest to drugie z rzędu odznaczenie tego pisarza, który przed dwoma laty otrzymał palmy akademickie rzeczzonego orderu” – odnotowała „Nowa Reforma”.

✂ **6 marca.** W auli Uniwersytetu Jagiellońskiego, w licznym gronie znakomitych osobistości, świętowano 300-tną rocznicą urodzin Moliera. Relację z uroczystości zamieściła „Nowa Reforma”. Na zakończenie obchodów 13 marca wystawiono w Teatrze im. J. Słowackiego w specjalnej oprawie *Mizantropa*. W antrakcie, w obecności francuskiej misji wojskowej z gen. Tronyo, orkiestra odegrała *Marsylianę*.

✂ **8–16 marca.** W Małej Sali Starego Teatru występowała gościnnie słynna już *Szopka Warszawska*. Wysoki poziom artystyczny zapewniały teksty poetów grupy Skamander – Jana Lechonia, Antoniego Słonimskiego i Juliana Tuwima. Kunsztowne figurki zaprojektował artysta malarz Zbigniew Pronaszko. Prasa podkreślała „sztukę łączenia bezwzględnej inwektywy politycznej z wytwornością formy i wysokimi walorami poetycznymi”.

✂ **10 marca.** „Stanisław Przybyszewski wraz z małżonką Jadwigą przybył wczoraj do naszego miasta. Jubilatów powitali: prezes Związku Literatów Jan Pietrzycki i dyrektor teatru Teofil Trzcinski. Pp. Przybyszewscy byli wieczorem na przedstawieniu *Dzieci ziemi Rittnera* w Teatrze im. J. Słowackiego. Od dziś kierować będzie Jubilat próbami dramatów *Matka i Topiel*, które z okazji jubileuszu 30-lecia pracy twórczej autora wystawia scena krakowska. Na niedzielny odczyt Jubilata w Starym Teatrze już niemal wszystkie bilety rozprzedała księgarnia Krzyżanowskiego” – awizował „Głos Narodu”.

Jadwiga z Gąsowskich Iv. Kasprowiczowa porzuciła poetę i dwie córki, by związać się z Przybyszewskim. Zmarła miesiąc po Stanisławie, w grudniu 1927 roku. Została pochowana na cmentarzu Rakowickim.

✂ **10 marca.** „IKC” zamieścił „Ostrzeżenie: Zawiadamiamy, że p. Zygmunt Leibler został przez nas zwolniony i ostrzegamy przed udzielaniem temuż jakiegokolwiek zamówienia lub gotówki na nasz rachunek. Fabryka miodu »Zagłoba« Sp. z ogr. odp., Kraków-Podgórze, Rynek 12”.

✂ **11 marca.** „Nowości Ilustrowane” zamieściły fotoreportaż opisujący fatalny stan Szpitala Bonifratrów, zwróconego zakonowi przez wojsko dopiero 1 listopada 1921 roku. Konwent zwracał się tą drogą o wsparcie w dziele odbudowy szpitala, działającego w Krakowie od ponad 300 lat. Tygodnik uruchomił natychmiast zbiórkę pieniędzy. Do akcji tej włączył się także „IKC”.

✂ **11 marca.** Z kroniki „IKC”: „Onegdaj ukazała się w dziennikach krakowskich notatka o nagłej śmierci śp. Józefa Springera, bednarza, spowodowanej rzekomo wypiciem znacznej ilości alkoholu podczas pracy. Podanie jako przyczyny śmierci opilstwa jest niesłuszne, krzywdzące pamięć zmarłego. Springer, starzec 66-letni, zachorował nagle w domu na aneurizm serca, a wskutek spóźnionej pomocy lekarskiej uratowanie mu życia okazało się niemożliwym”.

✂ **12 marca.** „Wczoraj w sali posiedzeń Towarzystwa Lekarskiego przy ul. Radziwiłłowskiej, rozpoczęły się obrady zjazdu delegatów uzdrowisk z całej Polski. W obradach, którym przewodzi Jan Potocki z Rymnowa, bierze udział kilkadziesiąt osób. Reprezentowanych jest 14 uzdrowisk, w tym dziewięć z Małopolski i pięć z byłej Kongresówki. Poza tym w zjeździe biorą udział przedstawiciele krakowskiego Towarzystwa Balneologicznego oraz reprezentanci województw i dyrekcji kolejowych w Krakowie i Lwowie” – relacjonował reporter „Nowej Reformy”.



Roman Kramsztyk, Jan Lechoń (1899–1956), olej na płótnie, 1919, Muzeum Narodowe w Warszawie



Hanka Ordonówna (1902–1950), fot. ok. 1925, NAC



Reklama fabryki miodu pitnego „Zagłoba”, 1925, archiwum autora



Szpital Bonifraterów, widok od strony Wisły, fot. 1922, „Nowości Ilustrowane”



Edward Kubalski (1872–1958), fot. ok. 1925

Zwraca uwagę zastosowane nazewnictwo – „Kongresówka”. To dowód jak trudnym dziełem było wyparcie rozbiorowego dziedzictwa mimo czwartego roku niepodległości.

✚ **13 marca.** „P. Michał Wysocki, obywatel ziemski, zamieszkały przy ul. św. Jana 11, doniósł do policji, że niedawno zgodził do służby kucharza Franciszka Gamonia, lat 33, który od swego chlebodawcy wziął zadatek i większą kwotę na zakup prowiantów, poczym zbiegł. Onegdaj przyszedł z policji w Tarnobrzegu wiadomość, że przytrzymano tam Gamonia, który, jak się okazało, był poszukiwany za różne sprawki przez urząd śledczy policji w Warszawie” – odnotowała „Nowa Reforma”.

✚ **15 marca.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „W niedzielę 12 bm. delegaci partii tzw. Niezależnych Socjalistów zjechali do Krakowa i odbyli poufną konferencję. Na obradach szereg mówców referowało na temat celów nowej partii i stanowiska jej do innych pokrewnych oraz do Międzynarodówki. Omówiono też szereg wniosków odnośnie rozbicia PPS przy nadchodzących wyborach”.

Głównym ideologiem i przez pewien czas przywódcą tej frondy PPS był Bolesław Drobner (od 1924 roku pod nazwą *Niezależna Socjalistyczna Partia Pracy*). Uznawana powszechnie za przybudówkę nielegalnej w II RP Komunistycznej Partii Polski, NSPP została rozwiązana, ale dopiero w 1937 roku.

✚ **15 marca.** Dzienniki obszernie opisywały katastrofę autobusu relacji Kraków–Miechów w podkrakowskim wówczas Czerwonym Prądniku. Na skutek pęknięcia osi koła poruszający się z pełną szybkością autobus przewrócił się na bok. Obrażenia odniosło siedem osób.

✚ **16 marca.** Anons z „IKC”: „Lipy i dziki bez, w większych stanach, celem eksploatacji kwiatu, wydzierzawi Apteka Redera – Kraków, Karmelicka 23”.

✚ **19 marca.** Prasa reklamowała charytatywny raut zorganizowany przez Syndykat Dziennikarzy Krakowskich w Starym Teatrze, z udziałem między innymi zyskującej wtedy popularność Hanki Ordonówny.

✚ **19 marca.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Podczas obławy sanitarnej urządzonej w dniu wczorajszym przez organa policji aresztowano kilkanaście kobiet podejrzanej konduity”.

✚ **19 marca.** Komunikat z „Nowej Reformy”: „Związek Inteligencji Polskiej urządza w poniedziałek 20 marca w sali Kopernika Collegium Novum o godz. 6 zebranie dyskusyjne, które rozpocznie referat p. E. Kubalskiego pt. *Jak się organizuje inteligencja na Zachodzie*. Goście mile widziani. Ponadto sekretariat Związku zawiadamia zainteresowanych, że ma do dyspozycji spośród swoich członków osoby bardzo pewne i uczciwe, które zajęłyby się pracą biurową, gospodarstwem, wychowaniem dzieci lub jako lektorki. Zgłoszenia ul. Smoleński 9, II p., sala 130”.

Prelegent – Edward Kubalski (1872–1958) – z zawodu prawnik, był długoletnim, wysokim urzędnikiem magistrackim. Godny polecenia jest jego skrupulatny dziennik z lat ostatniej wojny wydany pod tytułem Niemcy w Krakowie (Wydawnictwo Austeria, 2010).

✚ **20–21 marca.** Dzienniki relacjonowały obchody imienin Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego. Uroczystości odbywały się na Rynku Głównym od strony ul. Szewskiej. Defiladę wojskową poprzedziła msza polowa.

✚ **22 marca.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „W niedzielę otwarto dla publiczności, kawiarnię i restaurację mieszczącą się u wylotu Plant w hotelu Royal. Przedsiębiorstwo objęła grupa udziałowców-kelnerów, którzy zniszczony lokal odnowili i urządzili w trzech salach kawiarnię, w jednej wielkiej sali restaurację, a prócz tego bar”.

✚ **25 marca.** „Dnia 23 bm. o godzinie 1 w nocy odebrał sobie życie wystrzałem z karabinu Wojciech Maciulek, posterunkowy I komisariatu policji w Krakowie, przydzielony do szkoły posterunkowych. Powodem samobójstwa była tęsknota za domem rodzinnym i niechęć do życia” – odnotowała „Nowa Reforma”.

✚ **26 marca.** „IKC” przyniósł wiadomość o planowanym otwarciu 1 kwietnia szpitaliku przy ul. św. Filipa 15. Nowa placówka była filią oddanej do użytku miesiąc wcześniej kliniki ortopedycznej. Koszt jej urządzenia i wyposażenia poniosło w całości Towarzystwo Amerykańskiego Czerwonego Krzyża.

✚ **26 marca.** W szczelnie wypełnionej sali „Sokoła” odbył się wiec urzędników i robotników pod hasłem walki z drożyzną i poprawy sytuacji mieszkaniowej. Przemawiali między innymi posłowie PPS – Ignacy Daszyński i Zygmunt Marek. Uchwalono dwie rezolucje: wzywającą władzę do przedsięwzięcia środków przeciwko postępującej drożyznie oraz protestującą przeciwko zamiarowi zniesienia ustawy o ochronie lokatorów. Wiece relacjonował obszernie „IKC”.

✚ **28 marca.** W prasie ukazał się komunikat: „Opłaty abonamentowe i za międzymiastowe rozmowy telefoniczne będą od 15 kwietnia br. podwyższone o 50 procent. Abonenci, którzy by z tego powodu nie reflektowali na dalsze używanie oddanych im stacji telefonicznych, mogą wypowiedzieć abonament z dniem 1 kwietnia br.”.

Jakże banalne w swojej prostocie było stanowisko Państwowej Sieci Telefonicznej w Krakowie. Nie podoba się – możesz zrezygnować. O ochronie konsumenckiej i urzędzie antymonopolowym nikt nie mógł wówczas marzyć...

✚ **28 marca.** Rada Miasta jednomyślnie podjęła uchwałę domagającą się korekty granicy polsko-czechosłowackiej, rozcinającej Śląsk Cieszyński, Spisz i Orawę. Apelowano do Sejmu RP, aby nie zatwierdzał traktatu między obu państwami, dopóki wszystkie sporne kwestie nie zostaną załatwione – relacjonował „IKC”.

✚ **30 marca.** Z kroniki „IKC”: „W nocy z poniedziałku na wtorek zawezwano Pogotowie Ratunkowe na ul. Straszewskiego, gdzie w domu nr 5 usiłował odebrać sobie życie przez powieszenie Władysław Guzikowski, lat 19. Desperata udało się przywrócić do życia. Powodem rozpaczliwego kroku miała być nieszcześliwa miłość”.

✚ **31 marca.** „Jak się dowiadujemy, pogłoski o rzekomym przeniesieniu Akademii Sztuk Pięknych z Krakowa do Warszawy, są zupełnie bezpodstawne i zgoła nieprawdziwe” – rozwiął wątpliwości „Głos Narodu”.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciasto o każdej porze*.

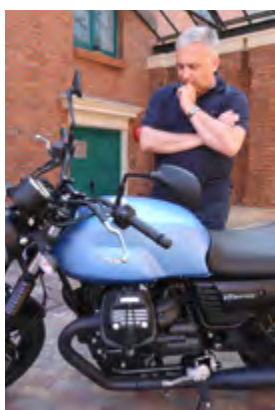


Prof. dr hab. n. med. Tadeusz Stanisław Popiela – chirurg, gastroenterolog i onkolog, rektor Akademii Medycznej w Krakowie (1972–1981), ojciec Tadeusza Jana

Chirurg, gastroenterolog i onkolog, który przez wiele lat prowadził badania nad wczesnym wykrywaniem i leczeniem nowotworów żołądka i trzustki w I Katedrze Chirurgii Ogólnej i Klinice Chirurgii Gastroenterologicznej. Obecnie zrezygnował z praktyki lekarskiej, choć tak do końca nie może się rozstać z medycyną. – Kiedy

w 2003 roku przeszedłem na emeryturę, zdecydowałem się wzbogacić jeszcze moją działalność zawodową, obejmując kierownictwo Zakładu Radioterapii Śródoperacyjnej i Chemioterapii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. W 2010 roku wycofałem się jednak z prowadzenia tego oddziału i zająłem się przychodnią gastrologiczną. Jednak w związku z pandemią i brakiem możliwości zapewnienia pacjentom bezpieczeństwa zwiesiłem jej działalność – mówi profesor. Mimo to wciąż utrzymuje związek z medycyną, biorąc udział w spotkaniach *online* Międzynarodowego Towarzystwa Raka Żołądka czy w posiedzeniach Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności. W wolnym czasie najchętniej sięga po książki poświęcone historii Polski. Szczególnie interesują go ukazujące się na rynku wydawniczym nowe publikacje dotyczące II wojny światowej i czasów PRL-u.

(Magda Huzarska-Szumiec, fot. archiwum domowe)



Prof. dr hab. n. med. Piotr Richter – p.o. ordynatora Oddziału Klinicznego Chirurgii Ogólnej, Onkologicznej i Gastroenterologicznej Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie oraz kierownik I Katedry Ogólnej CM UJ

Styl życia i pracy chirurgów dobrze oddaje anegdota o zaprzyjaźnionym z prof. Richterem, znanym transplantologu wątroby z Warszawy, który przyjechał do domu na Wigilię, usiadł przy stole i... zasnął nad talerzem z barszczem. A cała rodzina czekała ponad godzinę, aż się obudzi.

Profesor Richter jest przekonany, że ciekawą alternatywą dla chirurgii byłby zawód ulicznego grajka. Bo muzyka to najpiękniejsza ze sztuk. – Bez muzyki i bez psów (ma cocker spaniela angielskiego) nie da się żyć – mówi z przekonaniem.

Ale na sali operacyjnej muzyki nie słucha. W samochodzie zresztą też nie. – Muzyka powinna mieć swój aksamit, swoje ciepło, harmonię, nastrój... Dlatego powinna być słuchana w odpowiednich warunkach. – Jest audiofilem, stąd przywiązanie do jakości tego, co słucha. – Dźwięk musi być przenoszony w odpowiednich pasmach. Inaczej mamy do czynienia z hałasowaniem, a nie słuchaniem muzyki. (...)

Jeszcze są motocykle. To świat na wyciągnięcie dłoni. W jego gabinecie modele motocykli są wszędzie. W gablocie, przy opasłych medycznych tomach po angielsku, na biurku, przy kluczykach...

– Jeździła Pani kiedyś na pierwszym polskim motorowerze? Dwupedałowy

komar... – rozmarza się. – Dostałem go od dziadka. – To na czym dziś rusza Pan w świat? – Obstawiam harleya davidsona. Ale nie. Harley to także przeszłość.

– To dosyć ciężki, mechaniczny motocykl. Powodował duże zmęczenie rąk. Nie mogłem operować z oczekiwaną od chirurga precyzją i w moim życiu pojawiła się piękna moto guzzi breva.

Czy na wyprawach robi zdjęcia? Słyszałam o kolejnej pasji Profesora, jaką jest fotografia. Chirurg z artystyczną duszą?

– Każdy ma artystyczną duszę zabita przez czas i obowiązki. Nie wiem, oczywiście, czy moja na pewno taka jest... – śmieje się. – Ale wiem, że muzyka i fotografia są dla mnie ważne.

Nie poluje z aparatem na sytuacje czy ludzi. Taką fotografię lubi oglądać w wykonaniu innych. Ale na pewne rzeczy musi sam patrzeć przez obiektyw. To rodzaj nieodpartej potrzeby, nawet pewnego głodu. Przy czym ciąga go nie sam obraz, ale radość, że z tysiąca detali wyłapuje jakiś szczegół, który zatrzymany w kadrze staje się piękny.

(Iwona Sitnik-Kornecka, *Prof. Richtera 10 sposobów na chirurgię*, fragmenty, „Kra-ków” 2019, nr 12, fot. Grzegorz Kozakiewicz)





KOSMODROM LEM POD GDOWEM

W POPRZEDNIM ODCINKU:

Jest rok 2114. 200 lat wcześniej Austro-Węgry wygrały szybko Wielką Wojnę i już jako Austro-Węgry-Polska, zostały supermocarstwem. A po zbudowaniu bazy na Księżycu zapowiedziano kolonizację Marsa. Lecz anarchosyndykaliści pod wodzą Skoczylasa, Człowieka z Niskiego Parteru, chcą Trójmonarchię zniszczyć.

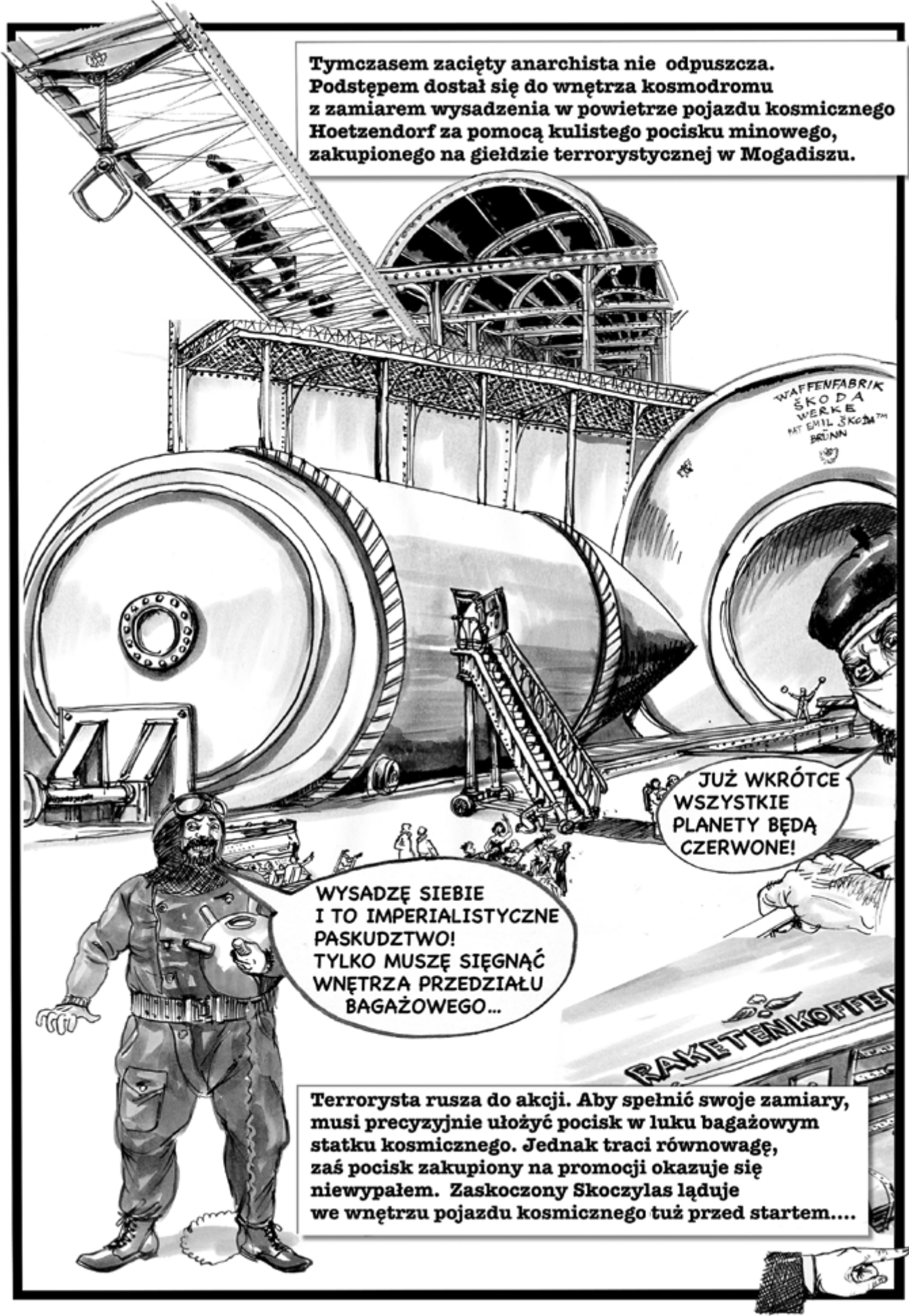
Rozpoczyna się ryzykowna podróż kosmiczna w celu kolonizacji "Czerwonej Planety".

Przy wyrzutni pocisków lunarnych LEM pod Gdowem Minister Spraw Wewnętrznych Monarchii Rupprecht Freiherr Sienkiewicz odprowadza trójkę bohaterskich astronautów - por. Genowefę Bławatską, por. Januarego Hanussena i dowódcę ekspedycji mjr. Todora Żiwkowa.

**Uroczystość pożegnania uświetnia
Orkiestra Symfoniczna Krakowskiej Landwehry.**

...ASTRONAUTEN, LECICIE NASZYM POCISKIEM
„CONRAD VON HÖTZENDORF” KU GWIAZDOM
I KU CHWALE NASZEJ POTRÓJNEJ OJCZYZNY,
PANIE DZIEJKU!
NAJPIERW CZEKA NA WAS KSIĘŻYC I NASZA
NIEZDOBYTA KOSMICZNA BAZA WOJSKOWA
COPERNICUS, SKĄD UZBROJENI W NASZĄ
KOSMICZNĄ BROŃ RUSZYCIE NA CZERWONĄ PLANETĘ,
PANIE DZIEJKU!



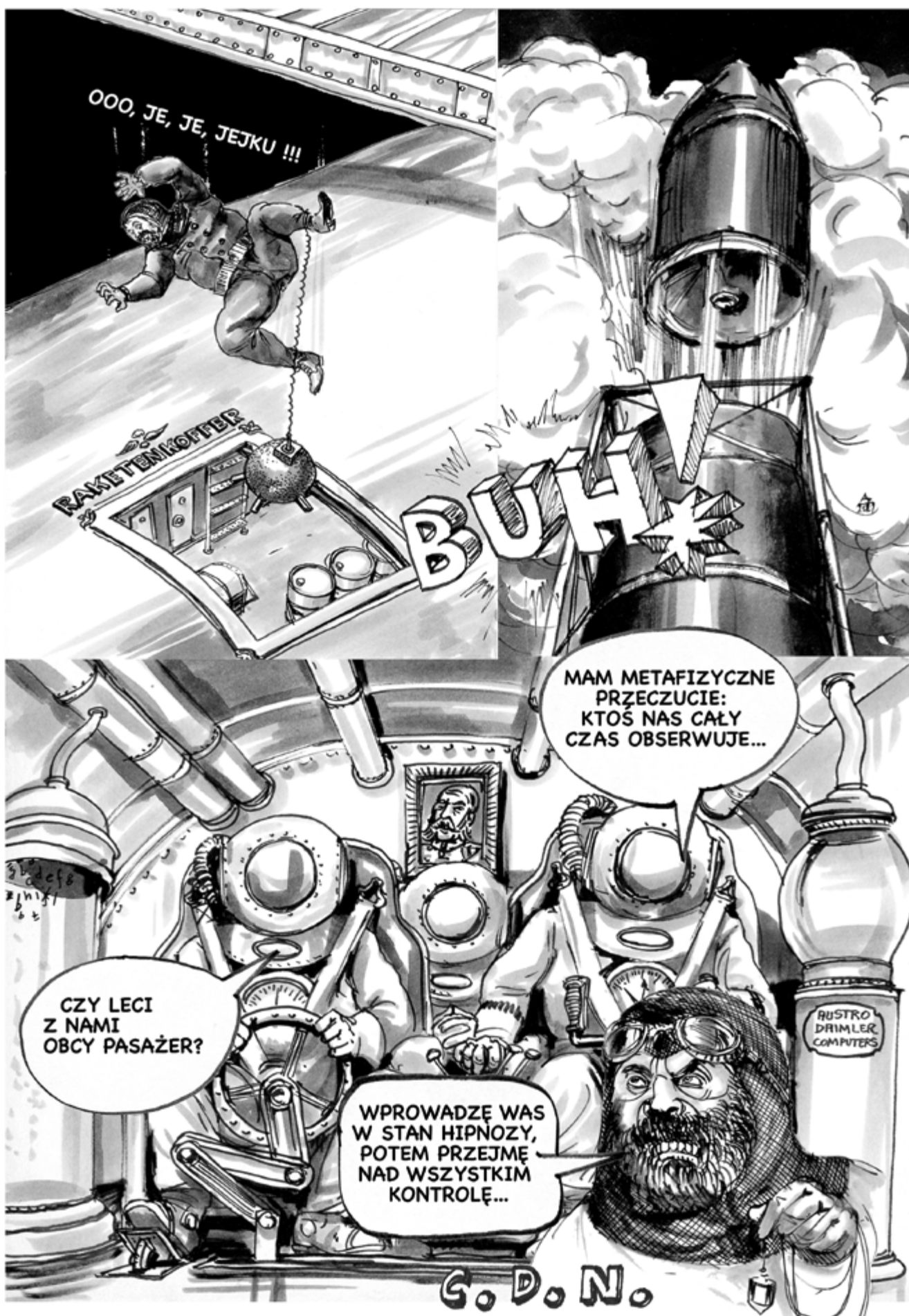


Tymczasem zacięty anarchista nie odpuszcza. Podstępem dostał się do wnętrza kosmodromu z zamiarem wysadzenia w powietrze pojazdu kosmicznego Hoetzendorf za pomocą kulistego pocisku minowego, zakupionego na giełdzie terrorystycznej w Mogadiszu.

WYSADZĘ SIEBIE
I TO IMPERIALISTYCZNE
PASKUDZTWO!
TYLKO MUSZĘ SIĘGAĆ
WNĘTRZA PRZEDZIAŁU
BAGAŻOWEGO...

JUŻ WKRÓTCE
WSZYSTKIE
PLANETY BĘDĄ
CZERWONE!

Terrorysta rusza do akcji. Aby spełnić swoje zamiary, musi precyzyjnie ułożyć pocisk w luku bagażowym statku kosmicznego. Jednak traci równowagę, zaś pocisk zakupiony na promocji okazuje się niewypałem. Zaskoczony Skoczylas ląduje we wnętrzu pojazdu kosmicznego tuż przed startem....





**Prof. zw. dr hab. n. med.
Jerzy Sadowski**
– kardiochirurg
i transplantolog

Przez wiele lat był kierownikiem Kliniki Chirurgii Serca, Naczyń i Transplantologii w Szpitalu Specjalistycznym im. Jana Pawła II, dziś jest konsultantem naukowym UNICARDIA & UNIMEDICA. Jego mistrzami byli prof. Jan Moll, pionier polskiej kardiologii, oraz prof. Antoni Działkowiak, z którym w 1988 roku dokonał pierwszego w Krakowie przeszczepu serca. Do dzisiaj zoperował ponad 12 tysięcy serc. – Człowiek z dziurą w klatce piersiowej, bo już bez chorego serca, który leży i czeka na nowe, to za każdym razem poruszający widok – mówi. – Ale potem

jest satysfakcja; nasz najdłużej żyjący pacjent po przeszczepie (prawie 30 lat) doczekał wnuków. W 2005 roku Profesor jako pierwszy na świecie wykonał implantację zastawki bezszwowej. – Samoczynnie się rozpiera i utrzymuje w sercu – tłumaczy kardiochirurg. To jeden z wielu spektakularnych sukcesów.

Mało brakowało, by został operatorem... filmowym. – Po maturze myślał o łódzkiej „filmówce”, także za sprawą przyjaciół Sławomira Idziaka i Edwarda Kłosińskiego. Wybrał jednak medycynę, ale nie porzucił sztuki i w czasie studiów występował w TS „Cytryna”.

Życiowa dewiza profesora? Co masz zrobić jutro – zrób dziś, a jutro zostaw na realizację marzeń. Prywatnie jest szczęśliwym mężem i ojcem czwórki dzieci. Jedną z jego pasji jest żeglarsstwo. – Na Jeziorze Czorszyńskim mam łódkę. Żeglowanie uspokaja, sprzyja refleksji i odkrywaniu w sobie coraz to nowych pokładów wrażliwości. Tak jak malarsztwo i muzyka. A jazz, muzyka filmowa, piosenka francuska są ze mną przez całe życie.

Poza płytami kolekcjonuje książki kucharskie, ma ich ponad 800.

(Magda Huzarska-Szumiec,
fot. archiwum domowe)



**Prof. dr hab. n. med.
Marek Sanak**
– kierownik Zakładu
Diagnostyki Biochemicznej i Molekularnej Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie

Jako genetyk kliniczny zajmuje się chorobami rzadkimi. Rozwiązuje między innymi problemy związane z ich dziedziczeniem przez kolejne pokolenia. Kiedy ma trochę wolnego czasu, jego uwaga skupia się na 7-letnim wnuku Franku, któremu stara się pokazać świat. – Uczę go na przykład,

że pewne rzeczy trzeba naprawiać, bo inaczej nasza planeta będzie zupełnie zaśmiecona. Naprawiamy razem zabawki, dzięki czemu on już wie, że nawet połamany plastik da się połączyć – mówi profesor, który jest też pasjonatem informatyki, co w dużym stopniu wiąże się z jego pracą. – Przecież współczesna genetyka bazuje na ogromnej ilości danych. Takie sekwencjonowanie genomu człowieka to jest kilkanaście gigabajtów. Przeglądam je, ponieważ w moim zawodzie, żeby w coś uwierzyć, to trzeba zobaczyć. To kończy się tym, że co chwilę dokupuję nowe elementy do komputera, kolejne dyski i pasja zmienia się w pracę – dodaje Marek Sanak. Literatura, po którą sięga, kręci się także wokół jego zainteresowań fizyką. Ostatnio był to *Nowy umysł cesarza* Rogera Penrose’a, laureata Nagrody Nobla. Książka zainteresowała go, kiedy dowiedział się, że jej autor jest przekonany, iż mózg człowieka działa jak komputer kwantowy.

(Magda Huzarska-Szumiec,
fot. prof. Marek Sanak z wnukiem
Frankiem, archiwum domowe)

Nieboszczyk Madaleński prowadzi mazura

Tekst: Paweł Głowacki

Wtorek

Bawcie się! – nakłania siwy pan w Teatrze Bagatela. Bawcie się w tropienie analogii, podobieństw, ech! Wędrujcie ścieżką skojarzeń, z których każde pyta: „Co ci przypominam?”. Rozwiązujcie rebusy polsko-polskie...! Ruszyłem więc, zaczynając od ognia. I nigdy bym nie pomyślał, że to zabawa tak łatwa. Od Rzymu z czasów legendarnego pożaru, przez Henryka Sienkiewicza odmalowanych w *Quo vadis* – jak daleko jest do cmentarza w wierszu Bolesława Leśmiana, gdzie nocą trupy na powierzchnię wyłazą z nudów wieczności, aby w zakątku wśród kwiatów zabawić się nieco przeszłością? Jak wiele to kilometrów? Tysiące? A dni wędrowania, tygodni, może nawet miesięcy – ile? Strach liczyć? I jeśli podróż taka w ogóle jest możliwa – jaki wehikuł najlepiej się nada do przebycia ogromu przestrzeni i szmatu czasu? Rower? Dyliżans? Rakieta?

Środa

Na dużej scenie Teatru Bagatela, w epilogu napisanego i wyreżyserowanego przez Krzysztofa Maternę parodystycznego kabaretu, albo kabaretowej parodii pod tytułem *Henryk Sienkiewicz. Greatest Hits*, Neron panicznie szuka zapalek. Jest pochodnia, lecz zimna jak lód i ślepa, a czas nagli. Oczywiście, miast zapalek może być zapalniczka, grzałka do herbaty, lutownica, gromnica snująca swój migotliwy żywot święty przy ołtarzu, polano z dogasającego ogniska albo choćby żarzący się pet Jana Himilsbacha w filmie *Trzeba zabić tę miłość*. Ba! Hubka! Hubką się Neron zadowoli! Natychmiast dawać mu tłącą się hubkę, co ją sprytny harcerz rozgrzał przy użyciu słońca i okularków krótkowidza! Cokolwiek, do cholery ciężkiej, cokolwiek Neronowi zorganizujcie, byle tylko dało się od tego odpalić, bo dłużej nie zdierży...! Z grubsza jakoś tak wzburzony, tak spanikowany aktor Marcel Wiercichowski, okutany białym prześcieradłem w roli tuniki cezara, z wieńcem plastikowych liści dębu na głowie i wprawdzie w trampkach zamiast starożytnych sandałów,

ale za to w trampkach wżutych na gołe stopy – ganiał po scenie tam i sam, podśpiewując dygoczącym tembrem znaną pieśń *Ogrzejmnie*, stary polski przebój, przez Wojciecha Młynarskiego oraz Włodzimierza Korcza stworzony dla Krystyny Jandy, genialnej aktorki, która śpiewać nie umie, za to jak nikt inny potrafi zagrać, że śpiewa niepowtarzalnie. *Życie ogrzejl*, rozchodziło się znad martwej pochodni na gaz ziemny, trzymanej przez biegającego Marcela Nerona w dłoni, palnikiem do góry. „Rozpal duszę mą, bo skonał”, skamlał Neron Wiercichowski do sługi, który próbował nadążyć za joggingowo nastrojonym władcą Rzymu i połowy świata. I jeszcze: „Rozpal duszę mą, bo skona, do stu, do dwustu, do tysiąca, do miliona!”. I dalej: „Chcę mieć gorączkę!”. Wreszcie zatrzymał się Marcel Neron Wiercichowski i uderzył w widownię refrenem dobrze zrozumiałym w cywilizowanym świecie: „Give me fever!” Po czym – ruszył dalej w poszukiwaniu podpałki. Sługa – za nim. Aż do następnego „Give me fever!”... Z oczywistej przyczyny – prapremierowe wykonanie pieśni o rozpalaniu – Jandę przywołałem, lecz nie o nią chodzi. Na linii skojarzeń szło tak naprawdę o następnego wykonawcę ognistego songu – o Michała Bajora. Właśnie o niego, gdyż nie dość, że w filmie Jerzego Kawalerowicza *Quo vadis* zagrał postać Nerona, to na domiar mego skojarzeniowego fartu – ma pan Michał młodszego brata Piotra, który także jest aktorem. Jest aktorem, co w filmie Leszka Barona *Leśmian* zagrał rolę tytułową! Dziś już dobrze nie pamiętam, lecz jest możliwe, że pośród wielu w filmie tym przywołanych przez Piotra Bajora dzieł Bolesława Leśmiana pobrzękuje też wiersz *W zakątku cmentarza* zaczynający się słowami: „Mają zmarli w niedzielę ten pośmiertny kłopot, / Że w obczyźnie cmentarza czują się – bezdomnie”. Tak zaczyna się utwór, a dalej trupki sennie bawią się własną przeszłością. Maria z Bzówka wspomina łóżko swoje ukochane, sień miłą, izbę i ogród przed rodzinną chałupą; żebrak, co na śmierć zadławił się krztyną chleba, wiernym swym kijem wydłubuje



Czesław Tański, *Henryk Sienkiewicz i jego wizje*

z mogilnych kwiatów żdźbło zapamiętanego nieba; mnich list do spotkanej ongiś cudnej panny Anny pisze na próchnie, życząc jej rychłego w kwiatach zmartwychwstania, zaś panna Anna tka z pajęczyny pończochę w rozmiarze nieludzkim, albowiem tka ją dla brzozy, co na grobie jej ukochanego istnieje samotnie i boso. No i wreszcie, w ostatnich czterech wersach, zjawia się pod księżycem mistrz ceremonii chwilowego zmartwychwstania! „A opodal – mniej więcej naprzeciw rozstaju, / We fraku bezrozumnie skąsanym przez szczura, / na czele kilku cieni żeńskiego rodzaju / Nieboszczyk Madaleński – prowadzi mazura”... No i skończona podróż moja! Jestem u celu! Starczyło ledwie kilka minut ostatniej sceny seansu Materny. Żaden rower nie był potrzebny, ani dyliżans, ani rakiet. Nawet koń nie, choć Kmicic, którego Wiercichowski grał również, pewnie innego byłby zdania. Wystarczyła prosta zabawa, którą Materna proponował widowni w prologu seansu. Proste skoki wyobraźni, dziecinnie łatwe warcaby parodii. I oto w wyobraźni jestem na cmentarzu Leśmiana, w rzeczywistości zaś, w tej samej chwili, widzę jak nieboszczyk Madaleński z uśmiechem Materny na swej przezroczystej twarzy zamyka w Teatrze Bagatela parodystyczny seans sienkiewiczowskich hitów.

Piątek

Owszem, w rzeczonym seansie – Materna to jest istny nieboszczyk Madaleński! Rzecz jasna, nie Materna sam w sobie, prywatny, w cywilu, lecz jako Henryk Sienkiewicz, w którego Materna się wciela i któremu pozwala na godzinę i pół zmartwychwstać, aby z nudów wieczności mógł, ukochany pisarz patriotów polskich, przeszłością swą zabawić się nieco w zakątku miasta – na scenie – przy okazji bawiąc gapiów. Przeszłość Sienkiewicza – to w Bagateli są jego bajki, a dokładniej mówiąc napisane przezeń pamiętne fragmenty, akapity, frazy. A zwłaszcza ulepieni przez niego ze słów – bohaterowie. Każę Materna-Sienkiewicz aktorom wcielać się w nich i niczym nieboszczyk Madaleński, który na czele kilku cieni żeńskiego rodzaju prowadzi mazura – na czele kilkunastu literackich cieni obojga płci prowadzi, mówiąc przenośnie, prowadzi Materna-Sienkiewicz mazura, poloneza, chodzonego i co tam jeszcze chcecie. Ożywione na godzinę i pół cienie wiedzie przez słynne fragmenty powieści i opowiadań.

Sobota

Ponoć wielkim wzięciem cieszą się dziś nad Wisłą odcinki ongiś kultowego telewizyjnego serialu satyrycznego *Za chwilę dalszy ciąg programu*. Pamiętacie szalony ten groch

z kapustą? Skecze, kawały, szyderstwa, trochę cienkiej ironii, też absurdalność i parodia. Czy jest wśród starszych Polaków ktoś, co w głowie nie zachował *Gabinetu lekarskiego*, tych krótkich scenek, w których Wojciech Mann kreował postać ponurego doktora Wernera, Materna zaś brylował jako siostra Irena, kobieta o niepowtarzalnie kłopotliwej twarzy? Nie ma takiego Polaka, każdy więc odnajdzie w sienkiewiczowskim seansie *Bagateli* ten sam swobodny niegroźny bałagan, który panował w starym serialu *Manna i Materny* lub w menażkach na poligonie. Materna sięga po *Potop*, *Pana Wołodyjowskiego*, *Quo vadis*, *Ogniem i mieczem*, *Za chlebem*, *W pustyni i w puszczy*, *Krzyżaków*, *Latarnika* i wyciąga z dzieł tych kultowe pestki. Czy ktoś nie wie nic o Azji słusznie wbijanym na pal? Ktoś nie zna odwagi Kmicica częstującego babilońską armatę szwedzką śmiertelną porcją artyleryjskiego prochu? Któż nie płacze do dziś nad losem Stasia i Nel wśród skorpionów oraz jadowitych węży? Któż nie trzyma kciuków, aby naszym rodakom powiodło się na świecie w kwestii chleba? I znajdźcie choć jednego rodaka, który pod Grunwaldem nie przyjąłby dwóch nagich mieczy! I znajdźcie choć jednego polskiego chłopczyka, co nie zna legendarnej frazy: „Tnij waść, wstydu oszczędź!”... I tak dalej. Z tych i podobnych im polskich literackich sreber narodowych Materna układa parodystyczny kabaret, przy czym ułożenie skeczów jest – doskonale swobodne. Gdyby zmienić kolejność – całość pozostałaby niezmienną. Ta sama parodystyczność, takie samo branie starych mitów polskich w ten sam nawias śmiechu, ta sama gra teatralności z przeszłością, ta sama zabawa w szukanie analogii, podobieństw, nawet identyczności. Da się ten proceder teatralny ująć krócej. Po prostu – znów Polska. Polska znów na patelni sceny. Kolejne wcielenie zasnuwająco upartej motywacji.

Poniedziałek

Znów Polska w teatrze... Kiedy karmi się indora, sypiąc mu żarcie na podwórko – wszystko jest w porządku, w zgodzie z naturą, jak Bóg przykazał. Gdy sypie mu się żarcia ponad miarę, dziesięć razy dziennie, też nie dzieje się nic tragicznego – indor sam reguluje sobie konsumpcję i może zatka się, lecz raczej nie na amen. I nawet kiedy tuczy się go na siłę, ściskając mu tułów kolanami i własnoręcznie wpychając kluski w węzowe gardło – nawet wtedy można być spokojnym, o ile tylko ma się baczenie na nieprzekraczalną granicę, na punkt krytyczny. Natomiast gdy się punkt krytyczny tuczenia minie, a kluch pchać nie

przestanie – brzuch indora rychło wybuchnie, zwracając światu kluchy plus coś na deser. I nie będzie już indora... O tym mówię, nie o Polsce jako takiej. Mówię o morderczym nadmiarze, o śmiercionośnej mocy manii teatralnej dzisiejszej, wedle nakazów której reżyserzy, cokolwiek wystawiają – Polskę wystawiać muszą. Polsce Polskę pokazują, żeby Polskę do działania skłonić albo Polskę obudzić z marazmu, albo nastawić zwichnięte stawy Polski. Nawet wtedy, gdy spektaklu w ogóle nie ma – nieobecność jest o Polsce. Polska – zacytujmy to, piękna kraina. Tak. Lecz – ileż można! Czy zmarło już pojęcie devaluacji? Właśnie rzuciłem okiem na artykuł *O tych spektaklach będzie głośno w 2022*. Stawiam beczkę piwa, że głośno o nich będzie dlatego, że jak jeden mąż okażą się manifestami o Polsce. Nawet *Sen nocy letniej*, mądra komedia autorstwa Wiesława Szekspirowskiego, znanego polskiego dramaturga, urodzonego w Łomży. Czas przypomnieć pełny tytuł komedii, a brzmi on tak: „*Sen nocy letniej na Kujawach*”...

Środa

Materny okołopolski śmiech na kanwie Sienkiewicza, Materny lekcja przedrzeźniania teatralności przedrzeźnianiem przeszłości to w porównaniu choćby z balonową powagą publicystycznych *Dziadów* Mai Kleczewskiej – jest ulga kojąca. Lecz jeśli musiałbym wybierać – zamiast na kabaret w *Bagateli*, poszedłbym raczej do Teatru KTO na *Serenę*, impresyjny drobiazg przez Joannę Braun wymyślony na kanwie *Małej syrenki* Hansa Christiana Andersena. Różne rzeczy da się o *Serenie* powiedzieć, jedna wszakże jest bezcenna. Otóż – ogon żadnej z występujących w KTO syrenek nie jest biało-czerwony.

Czwartek

Okazało się, że Marcel Neron Wiercichowski niepotrzebnie panikował. Zapałki miał werny sługa. Zapałki albo zapalniczkę. Z daleka niewyraźnie widziałem. I po co było ganiać aż tak?



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

W pogoni za nieśmiertelnością

Tekst: Stanisław Lem

Od redakcji: „Medycyna Praktyczna” niedawno przypomniła stary i właściwie nieznaną tekst Stanisława Lema z roku 1999, napisany specjalnie z okazji jej setnego numeru. Esey ten przed laty poprzedzony był wprowadzeniem prof. Andrzeja Szczeklika (Czy medycyna zapewni nam długowieczność? A czemuż by nie nieśmiertelność?). Dziś tekst komentuje genetyk prof. Marek Sanak. Za życzliwą wiedzą i zgodą redaktora naczelnego „Medycyny Praktycznej” dr. Piotra Gajewskiego przedrukujemy ów artykuł Stanisława Lema wraz z fragmentami komentarza.

Nieraz o tym myślałem, ale brakowało mi odwagi poruszenia tak niesamowitej sprawy, nawet jako predykcji pełnej wątpliwości, toteż problem obrotu w rzeczywistość nieśmiertelności ważyłem się wyrażać tylko w otulinie fantastycznej groteski. Być może jednak hamował mnie zbytek ostrożności. „International Herald Tribune” z 9 marca br. (1999 – przyp. red.) przynosi artykuł Davida Ignatiusa pod tytułem *Science is Warming to Intimations of Immortality*. Sprawę rozpoczyna pytanie: co będzie przyczyną zgonu za sto lat od dnia dzisiejszego? Jeśli sądzicie, że pytanie to jest proste, nie zwracaliście uwagi na rewolucję zachodzącą w biotechnologii. Główny szef Human Genome Sciences Inc. powiedział: podstawową przyczyną śmierci będą nieszczęśliwe wypadki, morderstwa lub wojna. W szczególności wyraził domniemanie, że w XXI wieku wobec rozmnożenia się instrumentów „regeneratywnej medycyny” ciało ludzkie będzie mogło trwać bardzo długo. Przypadłości obecnie zabójcze – choroby serca, nowotwory, choroba Alzheimera, nawet sam proces starzenia się – staną się dawnymi wspomnieniami naszego gatunku. Jeśli się rozważy naszą śmiertelność, niewątpliwie najbardziej dominujący problem ludzkości, odkąd nasze mózgi rozwinęły się aż po zdolność do autokontemplacji, do czasów teraźniejszych uczeni byli pewni, że materiał komórkowy, z którego zbudowane są nasze ciała, musi się zużyć. Bez względu na terapię nowotworów, albo chorób serca, człowiek nie może żyć dłużej niż sto dwadzieścia lat, toteż nieśmiertelność przemieszczała myśl człowieka w obręb utwierdzanych religiami zaświatów. Lecz wspomniany Amerykanin powiada wraz z innymi biotechnologami, że nowe typy terapii medycznej strzaskają obowiązujące dzisiaj granice życia. Zgodnie z opublikowanymi przewidywaniami, pomiędzy rokiem 2050 a 2100 medycyna osiągnie takie postępy, że ludzie będą mogli co jakieś dziesięć lat otrzymywać dawkę komórek macierzystych zdolnych odtwarzać rozmaite narządy. Komórki te, w biologicznej nomenklaturze „totipotenne”, znajdują się w zapłodnionym jajeczku i z nich wykształca się żywa całość ludzkiego ustroju. William Haseltine, uczyony, który prowadzi biochemiczne laboratorium farmakologiczne w Bostonie, tak nakreśla dalszą drogę rozwojową lecznictwa, zmierzającego do immortalizacji człowieka. Dzisiaj, powiada on, umiemy zastępować zużyte stawy kolanowe albo biodrowe, lecz w XXI wieku będziemy umieli produkować repliki narządów ludzkich, używając materiałów kształtowanych z dokładnością

do atomowej tolerancji. Lista owych mikroprotektycznych urządzeń biegnie od sztucznych żył do siatkówki oka, a nawet do sztucznej pamięci przechowywanej w chipach zbudowanych tak jak neurony. Początek owej przyszłości można obejrzeć w Rockville, gdzie kompanie biotechniczne rozmnażają się z szybkością bakteryjnych kultur. Kompania pana Haseltine – Human Genome Sciences – wykorzystuje taśmę produkcyjną nadzorowaną przez roboty, co obraca stare biologiczne laboratorium w coś w rodzaju wytwórni dorożek. W jednym skrzydle szeregi maszyn dokonują „rozszyfrowania” nukleotydowych spirali ludzkiego genomu. Przed kilku laty pierwsza generacja tych maszyn potrafiła analizować trzydzieści sześć pasm DNA dwa razy dziennie. Dzisiejsza generacja potrafi już skutecznie zmagać się z dziewięćdziesięcioma sześcioma pasmami cztery razy dziennie. Następna generacja maszyn, piętrzących się w opakowanych deskami skrzyniach w laboratorium, potroi osiągniętą szybkość. Jak dotąd zbadano dwa miliony fragmentów genowych, a z nich wyizolowano sto dwadzieścia tysięcy różnych genów przechowywanych w nieprzyjemnie szarych zamrażarkach. Dwanaście tysięcy spośród nich stanowią „molekuły sygnałowe”, które stymulują inne komórki do wzrostu, do przemiany albo śmierci i dlatego mają szczególną własność jako potencjalne leki. Używając tego zautomatyzowanego procesu odkrywczego, laboratoria wyprodukowały trzy leki nowego typu, których kliniczne testowanie rozpoczęło się przed rokiem. Jeden lek chroni szpik kostny przed szkodliwym działaniem chemioterapii, inny pomaga skórze i leżącym pod nią tkankom regenerować się szybko po oparzeniach, a trzeci dopomaga regeneracji naczyń krwionośnych. Nawet jeśli testy będą skuteczne, przyjdzie poczekać na wprowadzenie tych leków na rynek farmaceutyczny jeszcze dwa do czterech lat. Autor tego artykułu powiada w zakończeniu, że jest zarazem rzeczą wspańiałą i przerażającą wyobrazić sobie działanie nauki zdolne do podważenia, a nawet unicestwienia najbardziej podstawowego procesu egzystencji człowieka – starzenia się (senilizacji). Na tej drodze jest jeszcze bardzo wiele przeszkód do pokonania, lecz kierownik zakładów biotechnicznych powiada na końcu: „oto po raz pierwszy możemy sobie wyobrazić nieśmiertelność człowieka”.

Wszystkie procesy, z jakich składa się streszczona powyżej wizja biotechniczna, można sprowadzić do zastępowania zużywających się elementów organizmu nowymi. Wbrew pozorom, podłoże owej

wizji jest bardzo tradycyjne, co pokażę na następującym przykładzie. Liczący sobie pół wieku samochód można udoskonalić w parametrach ruchu, montując weń nowy silnik. Będzie to jednak tylko stary samochód z nowym silnikiem. Ponadto można zużywający się system zawieszenia i resorowania zastąpić nowym, lecz i wówczas będzie to tylko stary samochód z kilkoma nowymi częściami. W odniesieniu do samochodu można przy zastępowaniu zużytych części nowymi pójść dalej i w samej rzeczy nastąpi chwila, w której stary samochód, w całości przebudowany z nowych części stanie przed nami. Lecz i wówczas będzie to nowiutka replika starego samochodu, co łatwo sobie uzmysłować, ponieważ stary ford albo fiat, albo opel całkowicie odtworzony z wyprodukowanych na nowo części, będzie przecież wciąż starym modelem, którego próżno by było szukać w ruchu miejskim. Pierwszym anachronicznym założeniem wyłożonej na wstępie biotechnicznej wizji jest nieprzewyższalna już doskonałość funkcji i budowy ciała ludzkiego. Drugi, bez porównania większy kłopot w tym, że każde życie, a więc nie tylko ludzkie, ma za fundament ogrom procesów nieodwracalnych w czasie. Już noworodek przychodząc na świat, zawiera w sobie widoczne dla fachowca znamiona przyszłej śmierci. Nasilają się one i dlatego zdobywają po okresie dojrzalsości organizmu prym widomy jako starzenie się aż po grób. Ze względu na to, ażeby przedłużyć, a może nawet zdublować długość ludzkiego życia, należałoby zmienić dynamikę biologiczną tak, aby się stała odwracalna. Trzeba jednak zważyć, że śmierć, będąc zagładą osobnika każdego gatunku, jednocześnie jest motorem napędzającym ewolucję. Gdyby nie było śmierci, nikt, a raczej nic nie mogłoby zaludnić Ziemi, oprócz bakterii. Zresztą to właśnie powiedział w 1972 roku mój *Golem XIV*. Najdoskonalej nawet zelowane i połatane buty są butami zelowanymi i połatany, a zatem starymi. Starzec z nowym sercem, z nowymi jelitami, nową wątrobą itd. będzie zapewne wielozakresowo odmłodzonym starcem, ale jednak starcem. Pozwolę sobie w przypadku człowieka wskazać na tylko jeden element konstrukcji jego ustroju. Ogromnej ilości tkanek naszego ciała, na czele ze skórą, jędrność, tak typową dla młodych, nadają sprężyste nici kolagenu. W miarę jego zanikania pojawiają się skórne zmarszczki, fałdy, obwisłość policzków, tkanek podskórnych wraz z towarzyszącym tym zjawiskom osłabieniem całego aparatu kostno-mięśniowego, który już od dobrze zachowanego kolagenu nie zależy. Sądzę, że skuteczne cofanie w czasie, czyli odwrócenie biegu przemiany materii na poziomie molekularnym i atomowym, a nawet kwantowym, mogłoby w samej rzeczy doprowadzić do stanu, w którym dojrzalszość człowieka, powiedzmy dwudziestoletniego, uległaby niejako zatrzymaniu w obrębie tego wieku, na przykład tak, że mając lat pięćdziesiąt dysponowałby ustrojem dwudziestolatka. Jak można by to dzisiaj zrobić, nie wiemy. Technologia łątaniny tkankowo-narządowej jest niedostateczna. Biotechnika musiałaby zatem zejść do fizyki kwantowej, chociaż nawet w tej dziedzinie nie wszystkie procesy są doskonale odwracalne w czasie. Jeżeli jednak nazwana przeze mnie niesamowita rewolucja się uda, pojawią się nowe

szkopyły, z których wymienię dla przykładu jeden. Mózg cofający się czy też cofany wbrew kierunkowi upływu czasu musi po trosze tracić pamięć. Można sobie zatem wyobrazić starca odmłodzonego tak świetnie, że gaworząc jak niemowlę, nie będzie nawet wiedział, czyli pamiętał, kim był, i tym samym jako osobowość zniknie, chociaż jako ustrój biologiczny ocaleje, lecz będzie to ocalenie wegetatywne, a tym samym życie godne kapusty.

Sądzę, że godna uwagi jest następująca sytuacja w zakresie praktycznie wszystkich gałęzi nauki. Zwierzchnim pojęciem, panującym w naszym poznaniu od kosmologii i astrofizyki poprzez geologię, biologię aż po fizykę atomową, jest ewolucja rozumiana jako rozwój, który nie tylko przebiega od stanów początkowo prostych do rosnących w złożoności, ale ponadto jest zasadniczo nieodwracalny w czasie. Z gazów rozproszonych atomowo w próżni, głównie z wodoru, powstają skupienia rozwijające się w galaktyki spiralne. Gwiazdy z kolei powstają jako kondensaty w ramionach spiralnych galaktyk, zaś grawitacja ściska je pęty, aż zażegn timer w nich reakcja nuklearna rodząca po kolei coraz cięższe pierwiastki, aż po wypalenie nuklearnego paliwa, co powoduje zapasć gwiazdy, wywołującą powstanie Nowej albo Supernowej. Wyrzucane takimi eksplozjami pierwiastki dają początek planetom krążącym wokół gwiazd następnej generacji, które również na koniec muszą wygasnąć. Tym samym widzimy, że procesami kosmicznymi włada ewolucja. Jest ona nieodwracalna i, jak już wiemy teraz, nigdy się w rozbiegu nie zatrzyma, aż po miliardach lat cały wszechświat utonie w mroku.

Procesy życiowe również są zasadniczo nieodwracalne, jako napędzane przemianą materii, która w gruncie rzeczy jest również spalaniem, tyle że nie nuklearnym i względem ognia gwiazd bardzo chłodnym. Dlatego bardzo trudno przedstawić nam sobie nieśmiertelnienie jako odwrócenie w czasie biegu normalnych procesów metabolicznych. Gdyby taki zamysł mógł się powieść, oznaczałby moim zdaniem największy triumf człowieka, będący zwycięstwem nad powszechnością niedającej się zawrócić wstecz ewolucji. Tylko wówczas, gdyby udało się tak zuchwałe przedsięwzięcie, można by myśleć o znacznym wydłużeniu osobniczego życia dowolnego gatunku, a więc przede wszystkim człowieka. W numerze kwietniowym „Scientific American” większość artykułów została poświęcona dopiero powstającej inżynierii tkankowej, mającej umożliwić hodowlę nowych narządów, jak serca, wątroby, nerki, rozwijających się w środowisku sztucznym z komórek pobieranych najpewniej z tak zwanych embrioblastów. Zapłodnione jajeczko wytworza blastulę o powłoce komórkowej, a z niej wpukla się do środka embrioblast zdolny do płodowego przekształcenia się w zarodek, a wreszcie w żywą istotę. Na razie o tej inżynierii tkankowej pisze się i eksperymentuje nad nią, ale dopiero jeśli ruszyła ona z przyspieszeniem równym współczesnej nauce, wolno by orzec, że daleko w przyszłości u kresu tej drogi pojawi się miraż immortalizacji człowieka, który zuchwałe pióra amerykańskich dziennikarzy już dzisiaj ściągają na łamy prasowe, zapowiadając nam osiągnięcie indywidualnej nieśmiertelności.

Komentarz (fragmenty)

Tekst: prof. dr hab. n. med. Marek Sanak

Odwołując się do gruntownej wiedzy medycznej, a także z zakresu biologii i fizyki, Stanisław Lem w swoim eseju krytycznie się rozprawił ze świetlaną wizją nieśmiertelności. Podstawą koncepcji nieśmiertelności człowieka według Haseltine'a były nieograniczone możliwości regeneracji ludzkich tkanek i narządów. Wersja uproszczona dla gazetowego przekazu sprowadzała się do podawania co kilka lat zastrzyku pobudzającego tkanki ciała do odnowy. Dla chorób niektórych narządów rozwiązaniem miało być protezowanie, lecz nie mechaniczne, a przy użyciu laboratoryjnie skonstruowanych biologicznych zamienników – od drobnych naczyń do siatkówki oka czy nawet chipów pamięciowych. (...)

Stanisław Lem zadał również ważne pytanie o granice nieśmiertelności, które należałoby wytyczyć, jeśliby się udało regenerować organizm człowieka. Aby się nie wdawać w szczegóły, które w wywodzie pisarza odnoszą się do fizyki kwantowej i kosmologii, zilustruję ten dylemat w prostszy sposób, odwołując się do głośnego filmu *Ciekawy przypadek Benjamin Buttona* (2008, reż. David Fincher). Tytułowy bohater rodzi się z fenotypem 80-letniego staruszka, po czym rośnie i staje się coraz młodszy. W końcu umiera jako niemowlę, pozbawione pamięci swojego bogatego życia, w ramionach ukochanej Daisy. Odnowienie komórek ośrodkowego układu nerwowego w zakresie struktur pamięci powoduje po prostu jej wymazanie. W którym momencie życia chcielibyśmy zatrzymać proces starzenia się organizmu?

Entuzjastyczna opinia Davida Ignatiusa dotycząca medycznej perspektywy nieśmiertelności została krytycznie skomentowana na łamach „Science” przez Johna Harrisa, bioetyka z Oxfordu i redaktora książki *Future of Human Reproduction* (Clarendon Press, Oxford 1998). Zwykła poprawa statusu społeczno-ekonomicznego prowadzi do zmniejszenia rodności populacji. Jest praktycznie pewne, że skutkiem nieśmiertelności byłby jeszcze większy spadek odnowy pokoleniowej, jeszcze głębsza polaryzacja społeczeństw na zdolne do sztucznego przedłużenia sobie życia warstwy zasobne i te biedniejsze, pozbawione takiej szansy. (...)

Stanisław Lem zwrócił jednak uwagę na szczególny rodzaj medycyny regeneracyjnej nazywany terapią komórkową lub terapią komórkami macierzystymi. To stara procedura terapeutyczna, udoskonalona w Seattle w latach 50. i 60. XX wieku. Przeszczepienie szpiku kostnego obecnie nazwane jest przeszczepieniem hematopoetycznych komórek macierzystych ze względu na możliwość pozyskania tych komórek (po ich uprzedniej mobilizacji) z krwi obwodowej. Stosuje się tę metodę w leczeniu chorób rozrostowych układu krwiotwórczego oraz wybranych chorób dziedzicznych, wykonując rocznie ponad 60 000 przeszczepień na świecie. Stanisław Lem wspominał jednak w eseju o zarodkowych komórkach macierzystych jako materiale szczególnie przydatnym w terapii regeneracyjnej ze względu na ich totipotentność, czyli zdolność różnicowania się do każdego typu komórki ustroju.

W owym czasie zarodkowe komórki macierzyste budziły – i nadal budzą – wiele wątpliwości nie tylko natury medycznej, lecz również etycznej, religijnej i społecznej, o czym świadczą niedawne emocje związane z pojawieniem się szczepionek przeciwko COVID-19. Warto podkreślić, że w roku 2006 ten problem znalazł rozwiązanie w procedurze indukcji komórek macierzystych, które właściwie nie różnią się od komórek zarodkowych. (...)

Końcowe uwagi eseju Stanisława Lema dotyczą możliwości leczenia regeneracyjnego z wykorzystaniem inżynierii narządowej. Termin ten oznacza wymianę uszkodzonych narządów przez ich zamienniki wyhodowane *in vitro*. Lem wyraził pogląd, że ta dziedzina biotechnologii musiałaby nabrać impetu odpowiadającego co najmniej medycznemu naukom podstawowym, by zmienić czas życia człowieka. (...)

Stanisław Lem określił w 1999 roku horyzont postępu medycyny w zakresie przedłużenia życia pięknym zdaniem: „Daleko w przyszłości u kresu tej drogi pojawia się miraż immortalizacji człowieka”. Trudno się z Lemem nie zgodzić, był przecież autorem innej sentencji, którą rozbroił poważnie traktowaną futurologię: „Nawet niewielki postęp na każdym polu odsłania przed nami olbrzymie, a dotąd niewidzialne przedpole naszej ignorancji”.



Prof. dr hab. n. med. Marek Sanak kieruje Zakładem Biologii Molekularnej i Genetyki Klinicznej w II Katedrze Chorób Wewnętrznych im. prof. Andrzeja Szczeklika (Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego).



**Prof. dr hab. n. med.
Janusz Skalski**
– kierownik Kliniki
Kardiochirurgii
Dziecięcej CM UJ

Świat (nie tylko medyczny!) obiegra historia, jak to wspólnie z grupą specjalistów uratował dwuletniego Adasia, dziecko w hipotermii z temperaturą wewnętrzną 11,9 stopni Celsjusza (najniższą zanotowaną na świecie u pacjenta przywróconego do życia). A przecież jako pierwszy w Polsce zastosował też wspomaganie krążenia u dziecka za pomocą sztucznych komór serca czy wszczepił zastawkę biologiczną u najmniejszego dziecka na świecie. Do tego jest pasjonatem swego zawodu: skutecznie zmodernizował Oddział Kardiochirurgii Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Krakowie, organizuje mnóstwo akcji charytatywnych, no i jest pasjonatem historii medycyny oraz kolekcjonerem starodruków.

Naszej redakcyjnej koleżance Magdzie Oberc powiedział przed laty:
– Historia medycyny to moje hobby.

Jedni zbierają znaczki, inni skupiają się na gromadzeniu pieniędzy, a ja zbieram fragmenty historii: stare teksty medyczne, dokumenty, książki. Uwielbiam szperać na targach staroci i w antykwariatach, a kiedy jestem za granicą, na przykład na zjazdach naukowych, staram się przywieźć jakąś starą książkę lub jakiś rzadki dokument. Kiedy wieczorem zagłębiam się w lekturę książki opisującej historię medycyny, wyłączam się, na chwilę przestaję myśleć o pracy, o stresie. Natomiast kardiochirurgia to zawód, to pasja, to satysfakcja z tego, że te dzieci żyją. Dzieci trafiają do mnie czasem w dramatycznym stanie, a po pewnym czasie widzę, jak biegają, bawią się, odzyskują radość dzieciństwa. Nie ma większej satysfakcji niż widok takiego dziecka, które wraca do zdrowia.

(Witold Bereś, zdj. Grzegorz Kozakiewicz)



**Prof. dr hab. n. med.
Aleksander Skotnicki**
– przez lata kierownik
Kliniki i Katedry
Hematologii CM UJ,
członek Polskiej
Akademii Umiejętności

Marian Turski, świadek Holocaustu, napisał o nim: „Profesor Aleksander Skotnicki jest uznanym na świecie hematologiem i transplantologiem, autorem wielu prac z zakresu medycyny. (...) Przypomina i utrwała losy rodzin żydowskich,

które przyczyniły się do rozwoju życia gospodarczego, społecznego i artystycznego Krakowa. Historyk amator? Przydaj, Panie Boże, wielu historykom zawodowym takiego warsztatu badawczego”.

Już wkrótce na łamach „Krakowa” przedstawimy tę inną, pozamedyczną pasję profesora.

(Witold Bereś, fot. Wikimedia Commons)



**Prof. dr hab. n. med.
Mikołaj Spodaryk**,
kierownik Oddziału
Leczenia Żywnościowego –
Uniwersytecki Szpital
Dziecięcy w Krakowie-Prokocimiu

Pediatra, pracownik Polsko-Amerykańskiego Instytutu Pediatrii Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego i wielu innych zacnych instytucji. Współautor (z Elżbietą Gabrowską) bestsellera, *Wiem, co je moje dziecko* (WL). Mówi, że „pracę traktuję jak religię”, bo będąc niewierzącym, nie ma innej. „Moje wariactwa związane są z szeroko pojętą opieką i dobrem dzieci”. Ceni literaturę, bo jest ona „kwintesencją nauk o człowieczeństwie, o człowieku”. Ostatnio zaproszony został do uczestnictwa w serii literackiej *Przygody Alicji*, w której brali udział prof. Jerzy Vetulani, prof. Ryszard Tadeusiewicz, dr Ewa Woydyło-Osiatyńska.

Społecznik, dobroczyńca, ideowy wolontariusz, altruista, anioł o gołęmbim sercu, idealista. Doskonale wie, że „z czego powstałeś, zależy od genetyki – w co się obrócisz, od polityki” (S. J. Lec).

(Ewa Lipska, fot. Grzegorz Kozakiewicz)

Jak pokochać upadki

Tekst: Maria Malatyńska

Upadki, przegrane, katastrofy nie należą do najmilszych tematów. Pewnie dlatego, że na ogół nie zawierają naturalnej dawki optymizmu, nie potrafią wzbudzić łatwej woli przeciwstawienia się losowi, nie są bodźcem do działania. A często – po prostu paraliżują.

Albo ponieważ występują w życiu, sztuka kina, jako wszechwładne misterium ratowania wyobraźni, potrafi nie tylko obłaskawić ich pesymizm, ale także uczynić z nich widowisko. Co więcej, film umie pokazać widzom możliwość działania tam, gdzie – patrząc powierzchownie – w ogóle takiej szansy nie widać.

To już specjalna magia ekranu: zakręci wyobraźnię, zaczaruje oczy, a potem nawet nie pamiętasz, jak to się stało, że uwierzyłeś! A ponieważ optymizm każdego typu potrzebny jest naturze człowieka, dzieje się nieraz coś dziwnego. Otóż odbiorca częściej wierzy kinu niż temu, co widzi wokół. Paradoks? Pewnie tak. Ale również usilne znajdowanie drogi. Wszak pewnie chodzi i o to, by w każdej katastrofie czy przegranej, w każdym upadku odnaleźć taki element lub miejsce pozwalające zareagować, przeciwstawić się, wskazać wyjście.

*

Oczywiście film zna mechanizm swojego społecznego działania. Wie, jak nie stracić widzów, a zyskać na popularności. Właśnie dlatego nawet wspomniane synonimy klęski kino już dawno rozdzieliło na pojęcia osobne, na wartości niezależne i obdzieliło nimi różne gatunki filmowe. Dzięki temu każde z tych pojęć, pozbawione swojej siły symbolicznej, stało się elementem sytuacji realistycznej. Zaiste, manewr godny mędrca!

Największą karierę zrobiły „katastrofy” przydzielone przez tradycję niemal całkowicie gatunkom sensacyjnym. I oto rozmnożyły się na ekranach wszelkie katastrofy, zwłaszcza lokomocyjne: to właśnie opowieści ekranowe sprawiły, że koleje, auta, statki, potem samoloty stały się naturalnym tematem dla tak zwanych bezpiecznych nieszczeń.

Kino, które powstało w tym samym czasie co maszyny, czyli w wieku pary i motoryzacji, kino, o którym na początku jego istnienia pisano, że jest to bajeczne dziecko maszyny i uczucia – w sposób naturalny obłaskawiło wszelkiego typu maszyny. A katastrofy okazały się idealnym sposobem na sprawdzenie emocji widzów w chwili, gdy „maszyna” nie sprostą sytuacji fabularnej. Dlatego wszelkie zniszczenia i tragedie były niczym matematyczne układanki: nie szkodziły ludziom, którzy zapełniali bezpieczne sale, obiecywały im

pozytywny finał i budziły żywe emocje z zachowaniem bezpiecznego dystansu.

„Przegrane” otrzymały inne funkcje – mogły być widoczne w każdej formie dramaturgicznej, mogły punktować każdą aktywność ludzką, byleby istniał we wszystkich takich fabułach element rywalizacji, którą można „przegrać”. Gdzie tu więc optymizm? W samym oglądaniu z bliska zmagania toczonych jakby w naszym imieniu, choć my, widzowie, patrząc, niczym nie ryzykujemy. Nie walczymy, nie denerwujemy się. Możemy oglądać pulsowanie racji, by potem odejść od stolika z satysfakcją lub z poczuciem, że sami lepiej byśmy to rozegrali. Do tej grupy należy najwięcej chyba filmów. Od wyścigów samochodowych do cichych przegranych w miłości. Od epickiego rozmachu do lirycznych wzruszeń. Zawsze ktoś przegrywa, by wygrać mógł ktoś. Jest tu jeszcze jedna ważna racja, tym razem emocjonalna: proces rywalizacji wciąga widza emocjonalnie. Niepostrzeżenie opowiada się za jedną ze stron. A otrzymując tym samym satysfakcję emocjonalną, nie myślimy o własnych kłopotach. Czyż to nie jest doskonale pomyślane? Nawet w epoce klęsk wszelkich to również musi działać.

Ale we wszelkich obrazach „przegranych”, „katastrof” i „upadków”, to kategoria „upadek” jest najdoskonalsza. Angażuje intelekt odbiorcy i jego wrażliwość moralną. Każdy sam dla siebie i we własnym sumieniu roztrząsa to, co może i chce określić jako upadek. Swoją upadek. A optymizmem jest to, że w najtrudniejszej nawet sytuacji jest szansa na własną, intelektualną rację.

*

To, co powyżej zarysowałam, jest być może podziałem sztucznym. Ale buduję go, by znaleźć zasadę, według której można wszelką uciążliwość rzeczywistości odczytywać tylko jak kłopotliwy scenariusz. Czyli coś, co można oglądać bez poczucia własnej klęski i własnego zaangażowania.

Wprawdzie ten obraz, w którym żyjemy i o który chodzi, wciąż nie potrafi stać się tylko filmem, bo nikt nie chce go wyreżyserować. Pozostawiony zaś w tak zwanym normalnym życiu, bez możliwości dystansu, jest tylko kłopotem. Bo co można zrobić, gdy próby scenariuszowe stają się zasadami społecznymi, a kolejne wersje scenariusza są sprawdzane na żywych organizmach?

To jasne, że wolelibyśmy, żeby wszystko to, co wokół nas przewyższa wyobraźnię, nie działało się naprawdę, ale żeby to był tylko film. To nawet powinien być tylko film. Bo któż mógłby dla zwyczajnej rzeczywistości wymyślić tak wszechstronny upadek, który widzimy w tym niby scenariuszu? I to z obu stron wymyślonego „tekstu”. Bo nieposkromione pomysły jednej strony, a obok łatwość w przyjmowaniu każdego bałamutnego przekręcania normalności. Bo bierność nawet

poświęcali i nie dostali szansy, żeby sprawdzić, czy było warto... I za co ginęli? Za mrzonki, za fantazje, za złudzenia własnej ważności? Czy raczej za określone ideały albo jakąś szczególną prawdę? Tak przecież było. Skąd więc i kiedy zrodziły się te naturalne pokłady bezmyślności, które bezkrytycznie przyjmują wszystko? Złośliwy scenarzysta to wymyślił?

I skąd ten postępujący paraliż? Nie tylko instytucji społecznych i funkcji życiowych, ale wręcz paraliż wyobraźni. Jeśli tak łatwo



wobec życia i śmierci jednych – a obok zgoda na proste redukcje ilości, i to pewnie dlatego, że... mniejszą ilością sprawniej się rządzi? Któż miałby tak naprawdę wziąć odpowiedzialność nawet i za to, że ponad dwutysiącletnia instytucja, mieniąca się wieczną, została tak zbałamuciona, że zapomniała, iż głodnych nakarmić i spragnionych napoić to zasady jeszcze aktualne, więc nie protestowała, gdy mur, zasieki i różne inne dekoracje partyjnej współczesności odgradziły ludzi potrzebujących od szlachetnego ponoć narodu.

Tylko za pośrednictwem filmu mogłaby się zrodzić próba analizy, że może ów naród, który na to wszystko tak bez refleksji się godzi, nigdy nie był szlachetny? Może zryw, pieśń, pola chwały były tylko działaniem zastępczym? Scenariuszem właśnie. Ale co byłoby w takim razie przez wieki działaniem rzeczywistym? Naturalna nienawiść? – na pewno nie albo przynajmniej rzadko. Bezwolna zaściankowość? – to już prędzej! Rozlazłe lenistwo duszy? – to często. A może tylko pyszałkowata głupota – widoczna wielokrotnie wśród innych kultur i narodów, a przez wieki nieprzyjmowana do wiadomości przez tych, których miała dotyczyć?

Nie, chyba nie godzi się tak myśleć, bo przecież temu zastępy tych, którzy ginęli prawdziwie, nie w scenariuszu i nie w powieści. Życie

We wszelkich obrazach „przegranych”, „katastrof” i „upadków”, to kategoria „upadek” jest najdoskonalsza. Angażuje intelekt odbiorcy i jego wrażliwość moralną. Bo każdy sam dla siebie i we własnym sumieniu widzi to, co może i chce określić jako upadek. Swoją upadek. A optymizmem jest to, że w najtrudniejszej nawet sytuacji jest szansa na własną, intelektualną rację.

można przyjąć czyjs pomysł, że najlepszym sposobem społecznego funkcjonowania powinien być strach? To kto pierwszy zrozumiał, że najlepiej żyje się wtedy, gdy wszystko ludzi atakuje: jak nie pandemią, to perspektywa wojny. Jak nie szalejący klimat, to bliski koniec świata. Jak nie przeciwna normalności polityka, to drożyzna i w perspektywie ubóstwo. Ubóstwo i wrogowie. Ci są wszędzie. Stwarzani specjalnie. Teraz to już nawet wszyscy wzajemnie są swoimi wrogami: podglądani, podsłuchiwani, nagradzani za donosicielstwo, karani za odruch protestu. Ale dlaczego wobec tych wszystkich zawirowań szalonego scenariusza panuje bezradna zgoda na trwanie w absurdzie?

Otóż właśnie dlatego, że bardziej widać w tym prawidła świata ekranowego, a nie rzeczywistość. Nie życie, a właśnie film. Obłaskawiający wszelkie nieszczęścia! W scenariuszu zmieści się wszystko.

Gdybyż się okazało, że wymyślił te fabuły, ujęcia i reakcje jakiś zdolny i szczególnie złośliwy scenarzysta, to celuloidowa taśma sama musiałaby być odpowiedzialna za te obrazy, a tym samym można by zdjąć odpowiedzialność za absurd z ludzi, którzy, na swoje nieszczęście, pamiętają normalność.

*

Przed kilku laty oglądałam skromny obraz dokumentalny o aktualnym i dzisiaj temacie: o Ukrainie. To było o jej poprzednim zryw, czyli o Majdanie w 2014 roku. Zrobiła ów obraz młoda polska reżyserka, o świetnym, zawodowym pochodzeniu: córka polskiego dokumentalisty Macieja Drygasa i litewskiej dokumentalistki, działającej w Polsce, Vity Želakeviciute-Drygas. Takie dobre pochodze-

Wystarczyło umieścić taki, nietypowy dla sytuacji walk ulicznych przedmiot, by zyskać symbol, znak duchowych potrzeb walczącego o wolność narodu. Przedmiot został zaakceptowany. Znak został przyjęty. I na naszych oczach jeszcze inni ludzie próbują swoich umiejętności przy instrumencie. Podchodzą do pianina z nabożeństwem, z niepewnością własnych umiejętności, jakby przez moment chcieli zapomnieć, gdzie są. Nawet żołnierz, który nie zdejmie maski z twarzy, bo to mogłoby być niebezpieczne, ale próbuje, choć jednym palcem zagrać, by usłyszeć.

Pianino zresztą samo staje się też „żołnierzem”: walczy, czyli gra na barykadzie, pomalowane jak ukraińska flaga, moknące w deszczu, dotykane i „leczone” z miłością przez prawdziwego stroiciela instrumentu, przyjęte do oddziału, zyskuje siłę niemal symbolu.

Ten film ma w sobie tyle zaskoczeń i tyle piękna, tyle dramatyzmu i tyle grozy, a przy tym jest taką pochwałą sztuki jako wartości, która w sposób naturalny towarzyszy człowiekowi w jego różnych działaniach, także tych ostatecznych, że dla mnie właśnie to pianino stało się trafnym znakiem równowagi zła i absurdu walki. A na dodatek stało się tu przedmiotem „szczęśliwszym” niż fortepian Chopina u Norwida. Bo mogło „działać”. A tamten? Przecież pamiętamy: tylko „runął”, uratowany z ognia, ale przecież „podobny do trumny”, a więc skazany jednak na śmierć.

Ale w każdym wypadku, czy to w klasycznym tekście czy w filmie dokumentalnym, jest w tym zderzeniu sztuki i realizmu niespodziewana szansa na zbudowanie z upadku i rozpaczny misterium. Trochę zapomnieliśmy o roli sztuki w budowaniu nawet brutalnych wydarzeń.

*

Sztuczne podziały i rzeczywiste, choćby najmniejsze, ale przemyślane filmy, ze świadomie wymyślonym symbolem życia – są znakiem czujności wobec tego, co się przeżywa, a na co nie można mieć wpływu. Czy to jest właściwy krok w kierunku pokochania własnych upadków? I czy nasz szalony scenariusz klęsk sztucznych, a dotkliwych, potrafi się tu zmieścić? Czujność – i próba stworzenia misterium? Czy to wystarczy?

Ubóstwo i wrogowie. Ci są wszędzie. Stwarzani specjalnie.

nie to nie tyle łatwiejszy start, ile raczej trudniejsza konieczność znalezienia własnej drogi. Vita Želakeviciute-Drygas znalazła tę swoją drogę w kilku już znanych filmach, ale myślę tylko o tamtym. Niezapomnianym. Nazywał się *Piano*. Głównym bohaterem filmu było... pianino. Nie fortepian wprawdzie, co byłoby łatwiejsze, bo nam skojarzyłoby się natychmiast z norwidowskim fortepianem Chopina, który też wystąpił w sytuacji wojennej brutalności, a pianino. I nie chopinowskie, ale takie, które potrafiło muzykę Chopina zagrać. I to nie byle jaką, bo *Etiudę rewolucyjną!* A innych też tu się gra: Beethovena, Schuberta, hymn Ukrainy i jeszcze różne tęskne pieśni okolicznościowe. Tamten fortepian stał się wprawdzie, jak napisał Norwid, „ideałem”, który „sięgnął bruku”, ale to pianino potrafiło bruk rozgrzać, zjednoczyć ludzi, stać się ich własną... tęsknotą za życiem, za sztuką, która przywołuje, być może, normalność? W tych najbardziej niesprzyjających sytuacjach, gdy śmierć zobojeźnia człowieka, a bohaterstwo staje się elementem naturalnym i codziennym – muzyka pełni niezwykłą rolę.

Ta niebywała funkcja małego pianina, siła muzyki wygrywanej na nim przez prawdziwą pianistkę ukraińską – też żołnierza Majdanu i dla Majdanu wygrywaną głośno, coraz głośniej, aby zagłuszyć dźwięki muzyki prostackiej, niby rozrywkowej, puszczonej z głośników „drugiej strony” po to, by wszystko zepsuć, zdeorientować – ta „walka dźwięków”, jak mówi się w teorii filmu, tworzy tak głęboki i tak wzruszająco ludzki świat, że stał się on dla mnie zdumieniem i zachwytem.



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



**Prof. dr hab. n. med.
Lidia Tomkiewicz-
Pająk** – Klinika Chorób
Serca i Naczyń CM UJ,
kierownik Regional-
nego Ośrodka Lecze-
nia Chorób Wątroby
i Chorób Współistnie-
jących w Krakowskim
Szpitalu Specjalistycz-
nym im. Jana Pawła II

Jeszcze 50 lat temu większość dzieci z wadami serca umierało w czasie ciąży lub tuż po porodzie. Dziś w Polsce 85 proc. operowanych ze złożoną wadą serca osiąga pełnoletność. Szacuje się, że w kraju żyje 110 tysięcy dorosłych osób po takich operacjach.

Prof. Tomkiewicz-Pająk: – Moi pacjenci są najlepszym przykładem na niebywały postęp medycyny i farmakologii. Wielu z nich żyje zupełnie normalnie, bez większych ograniczeń. (...)

W Europie działają specjalistyczne centra medyczne dla osób dorosłych z wrodzonymi wadami serca. Pracują tam specjaliści z zakresu kardiologii dziecięcej i dla dorosłych, kardiocirurdzy, ginekolodzy, psychologowie i przeszkolony personel pielęgniarski. W Polsce nie ma takiego centrum. Ścisłą współpracę z Uniwersyteckim Szpitalem Dziecięcym w Prokocimiu i prowadzenie własnych badań naukowych zaowocowały stworzeniem kilkanaście lat temu zespołu, którym kieruje prof. Tomkiewicz-Pająk. Opracowano odrębne protokoły i schematy leczenia dla tej grupy osób. (...)

Pani profesor pracuje w poradni do godziny 15. Potem wychodzi ze szpitala, ale to nie koniec jej obowiązków.

Wieczorami sprawdza prace przysłane przez studentów, analizuje zebrany materiał naukowy (a ma na koncie prawie 150 publikacji). W ostatnich latach w kardiologii, kardiologii i farmakologii dokonał się niebywały postęp. Praca naukowa pozwala na podsumowanie dotychczasowych osiągnięć i wytycznie nowych sposobów leczenia. Ale i tak wielu jej pacjentów z wadami serca umrze przedwcześnie.

Pytam, jak radzi sobie z takim obciążeniem psychicznym. – Kilka lat temu skończyłam studia z coachingu i to bardzo pomogło mi uporać się z różnymi problemami emocjonalnymi oraz lepiej wspierać pacjentów. Chciałabym, żeby cały zespół uczestniczył w takich zajęciach, bo my musimy być silni psychicznie. Kiedy umiera mój pacjent, tłumaczę sobie, że zrobiliśmy dla niego wszystko, co mogliśmy. Daliśmy mu dodatkowy czas.

(Magdalena Oberc, *Darowany czas*. 24 godzin z życia lekarza, fragment, „Kra-ków” 2020, nr 6, fot. Jan Zych)



**Prof. dr hab. n. med.
Andrzej Urbanik**
– kierownik Katedry
Radiologii CM UJ
i Zakładu Diagnostyki
Obrazowej Szpitala
Uniwersyteckiego

To dzięki niemu udaje się zdiagnozować choroby wielu pacjentów, do czego służy wysokiej jakości sprzęt, którego – jak zapewnia radiolog – jest w Polsce całkiem sporo. Profesor jakiś czas temu wykorzystał także promienie rentgenowskie do artystycznej fotografii kwiatów i muszli. – Wtedy zorientowałem się, że takie niezwykle obrazy są również przydatne dla botaników czy konchiologów. Ale

nie tylko. Obrazując przy pomocy rezonansu magnetycznego egzotyczne owoce, które przypływają do nas w kontenerach ze świata, możemy się zorientować, czy nie są one zepsute. Równocześnie można uwidocznic ich wewnętrzną, pełną piękna strukturę – mówi radiolog, który ma jeszcze jedną wielką pasję, czyli podróże. Będąc dzieckiem, przeczytał książkę Zenona Kosidowskiego *Gdy słońce było bogiem* i postanowił odwiedzić wszystkie opisane w niej kraje. To mu się udało. – Podróżuję, by na własnej skórze przekonać się, jak jest w miejscach, o których czytam. Ostatnio poleciałem do Arabii Saudyjskiej i zobaczyłem na własne oczy, jak ten kraj funkcjonuje. Ale mimo że byłem w ponad 110 państwach, równie ciekawy jest dla mnie wyjazd w Gorce czy wędrowanie po Bieszczadach – zapewnia Andrzej Urbanik.

(Magda Huzarska-Szumiec,
fot. archiwum domowe)

Sonata (reż. Bartosz Blaschke)

Tekst: Łukasz Maciejewski **Zdjęcia:** Łukasz Sosiński/Mediabrigade (za wiedzą i zgodą dystrybutora)

Głos jest instrumentem. Mówimy, czyli myślimy. Grzegorz, bohater *Sonaty* Bartosza Blaschke, myślał, ale nie mówił.

Ta historia jest prawdziwa, ważniejsze jest jednak to, że jest symptomatyczna. Grzegorz Płonka, bohater *Sonaty*, jest przykładem obywatela świata, który się nie udał. Wadliwy towar (świat) nie potrafił, a może nie chciał odkryć pełnowymiarowego człowieka (Grzesia). To jest właśnie ta historia, tym smutniejsza, że lubi się powtarzać, wciąż się powtarza.

Chłopiec jak chłopiec. Najpierw rozbrykany, za chwilę inny. Inny, bo nie mówi. Inny,

są dyktatem sumienia czy fałszywie pojmowanej religijności.

Oto rodzina. Mama (przybrana), tato (prawdziwy), dzieci. Rodzona matka Grzesia i jego brata umarła, ale cały czas również czuje się jej obecność. Jest więc także duch mamy.

Na pierwszym planie chłopiec grany przez debiutanta Michała Sikorskiego – on wie, że żyje jak inni, ale nie ma głosu, nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu, żeby o tym



bo – jak twierdzą specjaliści – nie ma z nim kontaktu. Inny – bo jak myślą się specjaliści – ma spektrum autyzmu. „Dziecko specjalnej troski”, tyle że w polskim systemie troska to rodzice, bliscy. System nazywa i definiuje, ale na tym porzeczają.

A *Sonata* jest filmem o miłości. O poświęceniu bezwiednym, które nie chce być nagradzane brawami, laurkami, pucharami. Jest, bo jest, to właśnie miłość.

Historia Grzesia, jego brata, rodziców, to opowieść o tym, że więzi rodzinne nie muszą być ideologicznym czy usystematyzowanym zbiorem warunków do funkcjonowania w społeczeństwie, stają się natomiast niezbywalną częścią relacji międzyludzkich, kiedy wynikają z prawdziwego uczucia, nie

opowiedzieć, dlatego szuka porozumienia z instrumentem, z pianinem, który mówi w jego imieniu. Pod tym względem to jeden z tych niezwykłych filmów o muzyce, w którym dźwięki, instrument, stają się, jak w klasycznym *Fortepianie* Jane Campion – przekaznikiem mowy. Dźwięki to głos.

Głos w pewnym momencie, w sytuacji, kiedy wiadomo już, że Grzegorz to jest osoba taka jak inne, taka jak większość, tyle że z niedosłuchem, staje się twarzą. Rodzice, grani przez Małgorzatę Foremniak i Łukasza Simlata, czytają z twarzy. Rozczytują twarz syna, plastyczną twarz Michała Sikorskiego, wcielającego się – to w tym przypadku najważniejsze określenie – w twarz Grzegorza Płonki.

Dziwna, chwilami miałem wrażenie, dwu-
znaczna struktura. Fabuła o fakturze doku-
mentu, bohater, jego rodzice, ich świat i akto-
rzy wcielający się w ich profile. Powściągliwa
kamera podpatruje dyskretnie to życie, trud-
ne, pełne emocji, chwilami ekstatyczne, czę-
sto, trzeba to napisać, depresyjne. Bo walka
o szczęście Grzesia, to jest walka, w której nie
ma tylko wygranych, a każdy z uczestników
mocno się poobijał. Zwłaszcza brat Grzesia,
rozumiejący i akceptujący fakt, że życie rów-
nież i jego rodziców podporządkowane jest
niemal w całości sprawie Grześka. Trzeba się
bardzo kochać, żeby to rozumieć, ale *Sonata*
jest właśnie filmem o tym. Filmem o miłości.

*

Wiesław Myśliwski pisał w swoim arcydziele
Widnokręgu: „Człowiek spełnia się w czynach,
ale i w mowie; w tym, co mówi i jak mówi”.
Grzegorz ma z tym problem. Czyni to jest
walka, żeby słowo zastąpić działaniem. Czy-
ny zamiast słów.

Bartosz Blaschke odtwarza dziesięć lat
z życia Grzegorza Płonki czy raczej z życia
Płonków. Właściwa diagnoza to był dopiero
początek zmagania. Grzegorz musiał nauczyć
się komunikować za pomocą języka. Chciał
zostać pianistą, ale leczony na autyzm zmagał
się z podstawowymi ograniczeniami poznaw-
czymi. Dziesięć lat na nadrobienie prawie
dwudziestu lat zaniedbań to prawie niemoż-
liwe, a chodziło przecież o wszystko niemal:
szukanie właściwych nazw, pojęć, tytułów
i nazwisk. Przy właściwej diagnozie Grzesiu
byłby dzisiaj w zdecydowanie innym miejscu,
lecz mimo wszystko w jego przypadku oglą-
damy zwycięski wariant losu. Płonka może
stać się wzorem do naśladowania dla tysię-
cy osób z niepełnosprawnościami, które nie
wierzą w moc sprawczą marzeń, ambicji, de-
terminacji. Ograniczenia są tylko i aż ogra-
niczeniami. Można je umniejszać, niwelo-
wać, taktycznie pomijać. To proces, Grzegorz
wciąż jest w procesie, ale wielu jego rówie-
śników tkwi (nie ze swojej winy) w miejscu.

Michał Sikorski stapia się z postacią Grze-
gorza. Przejmując jego tiki, twarz, jego gesty,
przede wszystkim jednak młodemu akto-
rowi udało się stworzyć wiarygodny por-
tret młodego człowieka z fizyczną dysfunk-
cją, w którym drzemie siła, charyzma, wigor,
nie ma natomiast tego, co często tak drażniło
mnie w filmach o ludziach z niepełnospraw-
nością – efektu politowania, złej, zatrutej
emocji, dającej więcej satysfakcji wzruszo-
nemu oglądającemu niż bohaterowi i podob-
nym mu osobom.

Małgorzata Foremniak i Łukasz Simlat
w rolach rodziców Grzegorza są równopraw-
nymi bohaterami opowieści. Simlat w roli Łu-
kasza Płonki przypomina bombę z opóźnio-
nym zapłonem. Czeka na wybuch, czekamy,
aż wybuchnie. On wytrzymuje. Za bardzo ko-
cha, zbyt mocno czuje, żeby eksplodować. Fo-
remniak jako Małgorzata Płonka przechodzi

samą siebie. Takiej roli w fabule ta lubiana,
rozpoznawalna aktorka jeszcze nie zagra-
ła i chwala reżyserowi, że postawił właśnie
na nią. To jest zawsze kwestia wizerunku ak-
torskiego – jest cnotą, ale i balastem. A cza-
sami wystarczy zmienić jedynie zaufanie.
Otwarcie i utalentowani aktorzy, jak Mał-
gorzata Foremniak, nie zmarnują szansy.
W postarzających okularach, z siwą grzyw-
ką Foremniak gra duszą, nie ciałem, a duszę
bohaterka *Sonaty* ma piękną. I to piękno wi-
dać także w krzyku, w spazmach, w zwykłym
ludzkim zmęczeniu. Tak, to jest właśnie pię-
kno. To jest muzyka. Polifonia.

*

Myśliwski pisał w *Widnokręgu*: „Patrząc
na łączącą niebo z ziemią linię widnokręgu,
uświadamia sobie istnienie granicy pozna-
nia, ale też potrzebę czy nawet konieczność
pokonywania tej granicy; zdobywania tego,
co wydaje się nieosiągalne”.

Górski widok w Murzasichle: malowniczy,
ale autochtoni nie widzą w nim od dawna nic
szczególnego, przyzwyczajeni do tego pię-
kna. Granica widnokręgu (z Myśliwskiego) jest
tam, gdzie można przenosić góry. Jest świa-
tem, w którym życie nie musi być nieustanną,
codzienną walką o każde drobne udogodnie-
nie wydzierane systemowi. Rodzina Płonków
zasłużyła na odpoczynek. Widzę ich tam, ra-
zem, na połoninie. Rodzinę, reżysera, Forem-
niak, Sikorskiego, Simlata. Patrzą za widno-
krąg. Na to, co osiągalne.

Sonata, 2021.

Scenariusz i reżyseria: Bartosz Blaschke.

Zdjęcia: Tomasz Augustynek.

Scenografia: Alicja Kazimierczak.

Dekoracja wnętrza: Anna Niemira.

Muzyka: Krzysztof Aleksander Janczak.

Montaż: Robert Piechnik.

Producenci: Sylwester Banaszkiewicz,
Marcin Kurek.

Obsada: Michał Sikorski (Grzegorz Płonka),
Małgorzata Foremniak (matka Grzegorza),
Łukasz Simlat (ojciec Grzegorza),
Konrad Kąkol (brat Grzegorza),
Jerzy Stuhr (profesor Skarżyński).



Łukasz Maciejewski - wykładowca
na Wydziale Aktorskim Państwowej
Wyższej Szkoły Filmowej, Telewi-
zyjnej i Teatralnej im. Leona Schil-
lera w Łodzi. Dyrektor artystyczny
festiwalu Kino na Granicy w Cie-
szynie, ambasador projektu „Kul-
tura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskie-
go Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty

„Polityki” w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akade-
mii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Fil-
mowych FIPRESCI.

Jak gęsty, gorący karmel

Tekst: Magda Miśka-Jackowska

Pewnego dnia późną zimą 2022 roku obudziłam się wzruszona, ale i z poczuciem ogromnej straty. Dotarło do mnie, że za chwilę być może nie będzie już nikogo, kto by takie wzruszenia ze mną dzielił.

Takie smuteczki to nie jest coś, o czym chcielibyśmy czytać w i tak dość szaroburej rzeczywistości, wiem. Obiecuję, że dojdę do pogodnych wniosków, ale przejdźcie tę drogę ze mną.

Zaczęło się od tego, że na przedpremierowym pokazie dokumentu *Jazz Outsider* Janusza Majewskiego, który zgromadził w budynku Uniwersytetu Muzycznego im. Fryderyka Chopina w Warszawie znakomitych gości (i szczęśliwie również mnie), zaczęłam rozglądać się po widowni. Poza studentami, którzy przyszli tam na swoje zajęcia, byłam jed-

Niby niewiele się tam dzieje, ot, po latach spotykają się koledzy jazzmani. Postanawiają znowu razem zagrać. A jednak dzieje się wszystko. Januszowi Majewskiemu ponownie udało się zatrzymać w kadrze ważny moment.

na z najmłodszych osób. A naprawdę najmłodsza już dawno nie jestem. Wciąż jednak byłam znacznie starsza od 91-letniego bohatera wieczoru, który po seansie z werwą odpowiadał na pytania, sypał żartami, wspominał, a nawet gładko przechodził z polskiego na angielski i z powrotem. W życiu bym nie miała siły na coś takiego. A ma ją Janusz Majewski, który nadal kręci filmy i to jeszcze jakie! To, że je robi, wynika wyłącznie z jego pasji i niespożytej energii w opowiadaniu historii o muzyce i muzykach.

Bo Janusz Majewski, poza tym, że jest jednym z najważniejszych polskich reżyserów, jest jeszcze wielkim miłośnikiem sztuki muzycznej. Dawał temu wyraz wielokrotnie, gdy wybierał do współpracy najlepszych z najlepszych kompozytorów – Andrzeja Kurylewicza, Jerzego „Dudusia” Matuszkiewicza, Wojciecha Kilara. Ale takich reżyserów mieliśmy paru. Janusz Majewski zdecydował, i to czyni go wyjątkowym, że da muzyce główne role. Zrobił to w swoich dokumentach będących prawdziwymi świadectwami epoki – krótkim *Opus Jazz* z 1963 roku, zapisie próby znakomitych polskich jazzmanów, a potem w dłuższym *Jazz in Poland* z 1964 z udziałem niemieckiego dziennikarza i producenta Joachima-Ernsta Berendta, który prezentował dokonania naszych najważniejszych artystów sceny jazzowej. Kogo tam nie ma! Andrzej Trzaskowski, Krzysztof Komeda, Tomasz Stańko i wielu innych. W międzyczasie nakręcił jeszcze bardzo ciepło przyjęty film *Excentrycy, czyli po słonecznej stronie ulicy* o grupie pasjonatów, którzy zakładają big-band.

I ostatni, najdłuższy dokument *Jazz Outsider*. Tegoroczny. Niby niewiele się tam dzieje, ot, po latach spotykają się koledzy jazzmani. Postanawiają znowu razem zagrać. A jednak dzieje się wszystko. Januszowi Majewskiemu ponownie udało się zatrzymać w kadrze ważny moment, tym razem tak samo wzruszający, co smutny: muzycy pokolenia lat 30. i 40. odchodzą. W filmie widzimy Zbigniewa Namysłowskiego, Michała Urbaniaka, Andrzeja Dąbrowskiego, Jana „Ptaszyną” Wróblewskiego, a w centrum jest perkusista Komedy i autor legendarnego podręcznika do nauki gry na perkusji, ponad 90-letni Adam Jędrzejowski.

Nie udało się nagrać Matuszkiewicza, w ostatnich latach nie udzielał się już publicznie, zapraszany – odmawiał. W ostatniej chwili się okazało, że nie zdążył na plan także Wojciech Karolak, który nagle zmarł. W dokumencie pojawia się jednak jego recepta na nieoczywiste granie. Niepasujący do akordu dźwięk-kolor dawał tylko wybranym instrumentom. Bohaterowie *Jazz Outsider* z uśmiechem pochylają się nad standardem *Love Is Here to Stay* George’a Gershwina, reżyser robi z niego motyw przewodni swojego filmu. W tytule tej piosenki zamknięta jest przecież tajemnica pięknej relacji człowieka ze sztuką, towarzyszką na całe życie.

Miłość do muzyki, która jest „jak gęsty, gorący karmel” (*Excentrycy...*) ma niesamowite właściwości. Janusz Majewski mówi, że za każdym razem, kiedy słyszy big-band, młodnieje o 70 lat. Wystarczy na niego spojrzeć, aby się przekonać, że to prawda. Nie mogę się mimo to pozbyć uczucia, że w następnych pokoleniach brakuje jego wrażliwości. I że tak, jak znamy Bacha, Mozarta i Beethovena, tak powinniśmy znać historię polskiej muzyki rozrywkowej. A ona ma pecha, bo nie ucą jej w szkołach. Czy za 20 lat będziemy chcieli jeszcze wiedzieć, kim był Komeda? I czy będzie wśród polskich reżyserów ktoś, kto poświęci swój czas, aby ustawić kamerę przed jazzmanami, najbardziej kolorowymi i nieobliczalnymi artystami sceny muzycznej?

George Gershwin mawiał, że życie jest jak jazz. Najlepsze, gdy improwizujesz. A jeszcze lepiej, aby ta improwizacja wyglądała na pięknie zaplanowaną. Jest w tych słowach nieprzemijająca z upływem lat radość. I wydaje mi się, że brzmiał również całkiem modnie w naszych czasach.

PS 7 lutego 2022 roku zmarł Zbigniew Namysłowski.



Magdalena Miśka-Jackowska – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

Dziennik pandemiczny: Dreszcze

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Mało kto wie, że szczepionka przeciw COVID-19 może zabić miłość. W Nowym Roku Ninie przyświecały dwa życiowe motta. Pierwsze brzmiało: „Precz z komuną!”, za którym kryło się postanowienie, że nie umawia się z mężczyznami urodzonymi przed 1989 rokiem. Drugie: „Rób przysiady tak, jakby Tom Hardy siedział za tobą”, które było oczywistym następstwem pierwszego. Przez cały grudzień i połowę stycznia Nina trzymała się kurczowo obu postanowień, ćwiczyła zawzięcie z Chodakowską pięć razy w tygodniu, popijała wegańskie białko na porost mięśni i korespondowała z pewnym przystojnym barmanem. Jego największą zaletą było to, że nie pamiętał powodzi stulecia, bo nie było go wtedy na świecie, a drugą, że z wielką pasją oddawał się podnoszeniu sztangi na osiedlowej siłowni. Na jego widok Nina dostawała dreszczy. Czego chcieć więcej? Straciła już przecież wszystkie złudzenia. Wiedziała od jakiegoś czasu, że nie ma sensu oczekiwać zbyt wiele albo szukać w tym wszystkim jakiejś filozofii. Należy po prostu cieszyć się życiem, najlepiej w najprostszymi tego życia przejawach. Barman podzielał jej zdanie, więc wszyscy byli zadowoleni. Do czasu, gdy zaprosił ją na imprezę, na którą można było wejść tylko z ważnym paszportem covidowym.

Nina otworzyła aplikację M-Obywatel i okazało się, że już dawno powinna przyjąć trzecią dawkę fajzera, zresztą sam minister zdrowia ponaglał ją w SMS-ach. Zarejestrowała się na szczepienie. Dwie poprzednie dawki przeszła raczej lekko, jedynie ręka bolała ją tak, że nie mogła rozpiąć stanika (barman, jak każdy dobrze wychowany młody człowiek, natychmiast zaoferował swoją pomoc, gdyby przy trzeciej dawce miała ten sam problem). Był poniedziałek, do imprezy zostały jakieś trzy dni, więc trzeba było działać szybko. Nina o dziewiątej rano wyszła zadowolona z przychodni z aktualnym paszportem covidowym, zrobiła nawet zdjęcie dokumentu i wysłała do barmana. Trzy godziny później, i nie ma w tym cienia przesady, po prostu umarła.

Zaczęło się od zawrotów głowy i dreszczy. Nina włożyła na siebie kilka swetrów, a i tak zdarła sobie szklivo, szczękając zębami. Potem gorączka, maligna i majaki, nocne poty i okropny ból mięśni, jakby przebiegło po niej stado bizonów. Do tego spała po kil-

kanaście godzin dziennie, snując się jak widmo z łóżka do toalety i z powrotem. Pamiętała jak przez mgłę, że ktoś do niej pisał, ktoś dzwonił, w końcu rozładował się jej telefon, którego nie miała siły podpiąć do ładowarki. Obudziła się w piątek, dwa dni po imprezie. A najgorsze i tak miało dopiero nadejść.

Na telefonie miała 40 nieodebranych połączeń, powiadomienia na Mesendźerze przychodziły non stop, dobijał się też bank

Szczepionka przeciw COVID-19 może zabić miłość.

o niezapłacone rachunki na karcie kredytowej. W lodówce wszystko skisło, bazylia i sukulenty też zdechły, kot miauczał wniebogłosy przed brudną kuwetą. Twarz Niny przypominała wyrób z kartonu i choć mogła już wstać z łóżka i wziąć prysznic, to i tak z trudem wykonywała najprostsze czynności. Zrobiła sobie kawę i zaczęła czytać wiadomości od barmana. Z każdym kolejnym zdaniem była coraz bliżej przejścia na stronę antyszczepionkowców i wszystkich innych szurów. Barman obraził się śmiertelnie i milczenia Niny wybaczyć nie chciał, wysłał jej nawet zdjęcie z imprezy w towarzystwie innej dziewczyny i podziękował za „epicką olewkę”. A na koniec napisał wiadomość:

„Ale dobrze, że się zaszczepiłaś, antyszczepcy w Twoim wieku lądują podłączeni do ECMO!”.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.

Koncert dla Nieobecnych (fortepiany profesora Szczeklika)

Tekst: Ewa Lipska Zdjęcia: Wikimedia Commons oraz Grzegorz Kozakiewicz

Nie ma to, jak muzycyjni lekarze. Znałam takich i na szczęście znam. Ci nieżyjący to powracające w moich myślach postaci: prof. Julian Aleksandrowicz, prof. Jerzy Aleksandrowicz, prof. Antoni Kępiński, doktor Maria Leńczyk, chirurg z Instytutu Onkologii w Krakowie, prof. Maria Orwid, prof. Olgierd Smoleński, dr Sznapka z „Czerwonej Chirurgii”... To tylko kilka nazwisk, ale tych wspaniałych Nieobecnych jest więcej...

Mija już dziesięć lat od śmierci prof. Andrzeja Szczeklika. Nikt tak jak on nie uciszał emocji i paniki rozhisteryzowanych artystów, wpadających do jego gabinetu na ulicę Skawińską. Uspokajał, łagodził, uciszał, uśmierzał nasze stesy, rozbrajał lęk. Kojąco działał jego uśmiech i wracały słowa z jednej z jego książek: „Stanę obok ciebie. Nie opuszczę cię. Razem spojrzymy w twarz niebezpieczeństwu”. Był czułym czytelnikiem poezji, wersy, które zapadały

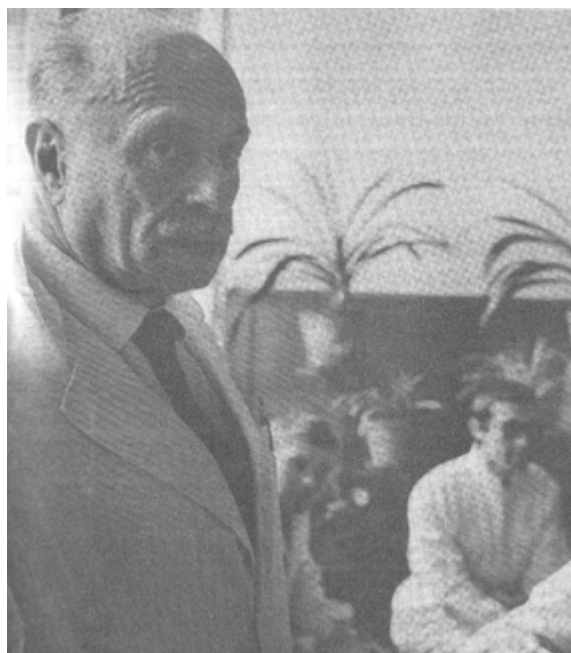
jeden w mieszkaniu krakowskim, drugi w Kościelisku. Zawsze, kiedy patrzę na te fortepiany, to wydaje mi się, że one na niego czekają, bo jak pisał w rozdziale *Muzyka w nas* (*Nieśmiertelność*, Znak, 2012): „Jest w nas muzyka, zaczyna się życiem, pierwszym uderzeniem serca. I z życiem się kończy. W zapisie nutowym – dwa tony, dwie pauzy o różnej długości...”.

„Z wykształcenia jestem internistą. Internistę porównałbym do dyrygenta orkiestry symfonicznej,



Andrzej Szczekliki

mu w pamięć, podkreślał ołówkiem. Miałam okazję przeglądać takie tomy wierszy w jego bibliotece, w Kościelisku, będąc gościem Marysi i Andrzeja. Gdyby nie był lekarzem, byłby muzykiem. Poza słynnym już białym fortepianem w klinice, na ulicy Skawińskiej, przy którym odbywały się koncerty dla pacjentów, posiadał jeszcze dwa fortepiany,



Julian Aleksandrowicz

a specjalistów do instrumentalistów. Dyrygent sam nie gra na skrzypcach ani na fagocie, nie ciągnie smyczkiem po grubych strunach kontrabasów ani nie dmie w waltornię. Zna jednak dobrze te instrumenty i wie, czego można od nich oczekiwać – i jak zestroić je w brzmienie, któremu na imię harmonia” – mawiał.

„Każda choroba ma inną muzykę... Chore serce przestaje bić miarowo... Słysząc pęknięcia jak w tańcu”. Muzykę płuc porównuje do koncertu muzyki współczesnej. Kojarzy mi się ta metafora z kompozycjami Arnolda Schönberga i z całą dodekafonią

i atonalnością tej muzyki. Te wszystkie gwizdy, świsty, trzaski...

W swej ostatniej książce *Nieśmiertelność* profesor Szczeklik powraca do mitologii, kultury Egipcjan i Greków, i uwiedziony mitem o nieśmiertelności zadaje pytania, na które nie ma odpowiedzi. „Andrzeju, nieśmiertelność byłaby najgorszą chorobą naszego życia” – mówiłam podczas tych filozoficznych przekomarzań.

*

Profesora Juliana Aleksandrowicza spotykałam na kolacjach u profesora Henryka Markiewicza i jego żony Mili. Po dramatycznych przeżyciach wojennych pisał: „Ocalałem kilka razy w sytuacjach indywidualnego zagrożenia, w których zgodnie z zasadami logiki nie miałem prawa ocaleć”. Był prekursorem ekologicznej wizji świata, zajmował się profilaktyką chorób cywilizacyjnych.

*

Jego syn, profesor Jerzy Aleksandrowicz, psychiatra i psychoterapeuta, nasz kolega z czasów młodości. Mam w pamięci ich, Jurka i jego żony Beaty Szymańskiej, mieszkania: na ulicy Starowiślniej w Krakowie, a potem na Hieronima Wietora, gdzie rezydowały również dwa przystojne koty... W książce *Terapia na życie. Rozmowy z Dominiką Dudek i Małgorzatą Skowrońską* (Wydawnictwo Literackie, 2016) Jerzy



Jerzy Aleksandrowicz, fot. Grzegorz Kozakiewicz

mówi, że należy „żyć tak, jakby się miało żyć wiecznie, i jednocześnie zdawać sobie sprawę z tego, że można zaraz umrzeć”. A profesor Dominika Dudek przywołuje anegdotę, która opowiada o jego wiedzy, solidności i umiejętności prowadzenia rozmów: „Jeździliśmy razem na posiedzenia zarządu głównego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego do Warszawy, Jurek jako przewodniczący, redaktor naczelny »Archives of Psychiatry and Psychotherapy« oraz »Psychiatrii Polskiej«, którą mi później przekazał. To były okazje do fascynujących rozmów. Darmowy

kurs psychoterapii. Wystarczyło o coś zapytać, a on robił seminarium. Podczas długich godzin w pociągu (3 godziny do Warszawy, 3 godziny do Krakowa) często omawialiśmy różne sprawy wydawnicze. Wracam kiedyś z takiej delegacji, wchodzę do domu, dzwoni telefon. Kto to? Jurek. Bo sobie przypomniał, że jeszcze czegoś nie przedyskutowaliśmy. Ta książka jest moim hołdem dla niego. Tak ją traktuję. Szkoda, że jej nie doczekał”.

W swej ostatniej książce *Nieśmiertelność* profesor Andrzej Szczeklik powraca do mitologii, kultury Egipcjan i Greków, i uwiedziony mitem o nieśmiertelności, zadaje pytania, na które nie ma odpowiedzi.

*

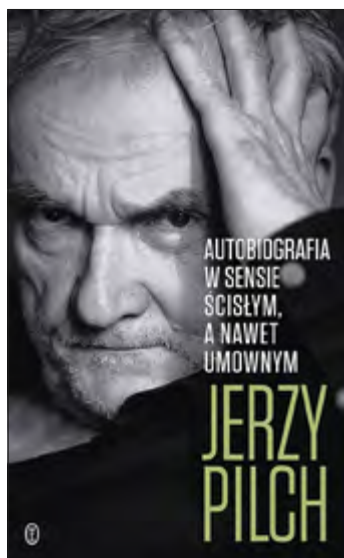
Prof. Marię Orwid spotykałam na bankietach w słynnym salonie krakowskim mec. Ruth Buczyńskiej. Była jedną z pierwszych kobiet w polskiej psychiatrii. Po trudnym, dramatycznym życiu współorganizowała z prof. Kępińskim „program oświecimski”. Były to badania nad skutkami psychicznymi u osób, które przeżyły obozy koncentracyjne i inne traumy wojny. Wychowała kilka pokoleń studentów, psychiatrów, psychoterapeutów.

*

I jeszcze raz profesor Szczeklik: „Muzyka przybywa z innego świata, z odległej krainy. Wnika w nas, przenika, wypełnia. Porusza pamięć tamtego pierwszego wtargnięcia. Umiemy ją analizować, opisać, lecz wiemy, że nie da się jej pochwycić słowem, w nim zamknąć. Słyszany motyw koncertu zostawi nas w zachwycie; czekamy, by wrócił. Jak gdyby poruszył w nas struny nam samym nieznane. Struny instrumentu? Ależ tak, nim właśnie jesteśmy”.



Ewa Lipska – poetka. Studiowała na ASP w Krakowie. Wieloletni redaktor Wydawnictwa Literackiego, w latach dziewięćdziesiątych wicedyrektor i dyrektor Instytutu Polskiego w Wiedniu. Członek Polskiej Akademii Umiejętności i PEN Clubu.



Autobiografia w sensie ścisłym, a nawet umownym Jerzego Pilcha jest tyleż autobiografią, ile nie jest. Bo ci, którzy szukają tu sensacji lub osobistych wynurzeń autora na tematy zwykle bulwersujące, poczuć się zawiedzeni. To powrót do krainy dzieciństwa. Tylko tyle i aż tyle. Bo choć to wycinek z życia pisarza, jednak dla autora tak ważny, że poświęca mu kolejną książkę. Tyleż nostalgiczny, ile okrutnie prawdziwy. Pilch nie oszczędza tu nikogo, w tym siebie, można rzec – jest szczery do bólu. To rozrachunek bezlitosny. Ale czy nie to właśnie jest największym walorem tej książki? Czyta się ją z zapartym tchem i ze ściśniętym gardłem. Nie ma tu za grosz sentimentalizmu, ckliwości, łzawych melodramatów, choć przecież życie i w takie obfituje. Ale nie tu, nie u Pilcha. Tu zwycięża nieposkromiona pilchowość. Najtrudniejsze sprawy autor traktuje z właściwym sobie dystansem, ironią, a nawet złośliwością, która choć obnaża, co obnażyć ma, jednak nie rani, tylko unaocznia, przemycając niezbyt dobrze ukryte wzruszenie. Pilch kreśli postaci tak sugestywnie, że prawie stają nam przed oczami. To postaci z krwi i kości, nieprzerysowane, choć autor sam zastrzega, że w opowieściach rodzinnych postaci często stają się karykaturami samych siebie. Czytając tę książkę, trudno uwierzyć, że autora nie ma wśród nas, że nie siedzi obok i przygląda się nam ze swoim pilchowatym uśmieszkiem.

Elżbieta Wojnarowska

„Poczułem się w tym momencie po części uczniem Bronisława Rutkowskiego. Może nieco na wyrost, ale jednak. Wszak byłem nim – i jestem – w drugim pokoleniu jako absolwent Joachima Grubicha. (...) Potem zabrzmiął Johann Sebastian Bach; wszak trudno mówić cokolwiek o organach, a tym bardziej na nich grać, bez Bacha. (...) I temat nieco odmienny, bo bardzo polski, zresztą na życzenie wyrażone spontanicznie przez komajczyków: polonez *Pożegnanie Ojczyzny* Michała Kleofasa Ogińskiego. Najbardziej chyba przemówił i poruszył serca. Wybrzmiał jako ostatni. Długo nikt nie wychodził z kościoła”.

Marek Stefański jest bohaterem książki uhonorowanej tytułem Krakowskiej Książki Miesiąca (*Organy na krańcach świata. Marek Stefański w rozmowie z Mateuszem Borkowskim*, 2019) i sam jest wirtuozem organów, koncertującym na całym świecie. Ale tu jest autorem książki o profesorze Rutkowskim (urodzonym w 1898 roku w Komajach, dziś Białoruś, zmarłym w roku 1964), wielkim organiście, dyrygencie i nauczycielu. Historyków muzyki – i nie tylko ich – umie zapewne dramatyczny opis śmierci tytułowego bohatera w Lipsku przy grobie Bacha w kościele św. Tomasza, gdy słuchał swego ucznia przygotowującego się do startu w konkursie.

Na mnie wrażenie zrobiły odniesienia do współczesności: opisy polskiego przysiółka zagubionego gdzieś na peryferiach policyjno-autorytarnej Białorusi, z kościółkiem, pieśniami i muzyką organową... (wb)

W nieznanym dotąd wierszu *Rzeczywistość zła* Zbigniew Herbert pisał:

bez znaków szczególnych bez cech właściwych przedmiotom
dlatego tak podstępne że pocziwe
zmysły mijają (je)
obojętnie nie biją na alarm (...)
doskonale przesączalne żadna horda
szczurów bakterii raka
nie może równać się z nim w zdolności rozmnażania
dopiero kiedy przekroczy niepojętą
granice zło staje się widzialne
drażni nozdrza i oko

Teraz Ryszard Krynicki, zasłużony wydawca Herberta – i sam, co tu nie bez znaczenia, poeta wybitny – odczytał te niepublikowane dotąd strofy z rękopisu i dołączył do nowej edycji jego utworów zebranych. Prócz zgromadzenia w jednym grzbiecie dziesięciu kanonicznych tomików twórcy Pana Cogito, właśnie kilkanaście pieczołowicie odcyfrowanych utworów stanowi o wartości przedsięwzięcia. Na dodatek Krynicki opierając się na autografach (a więc prócz rękopisów, także na korygowanych przez samego Herberta maszynopisach i wydrukach komputerowych), poprawił powielane w poprzednich edycjach omyłki.

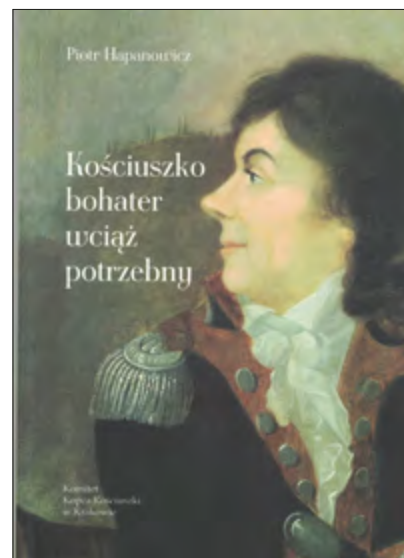
Rezultatem jest (wraz z ogłoszonymi również przez oficynę a5 dwoma tomami *Utworów rozproszonych*) epokowy, bo najpełniejszy i najwierniejszy dotąd zbiór wierszy jednego z największych poetów XX wieku.

kb

Jerzy Pilch, *Autobiografia w sensie ścisłym, a nawet umownym*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021.

Marek Stefański, *Dziedzictwo. Bronisław Rutkowski*, Wydawnictwo PETRUS, Kraków 2021.

Zbigniew Herbert, *Wiersze zebrane. Wydanie nowe*, Wydawnictwo a5, Kraków 2021.



„Powiedzmy, że chciałbym, żeby akurat te wiersze użyte w tej książce po mnie zostały” – pisze Marcin Świetlicki na początku *Wyboru*. Wierszy jest, jak policzył 444 (spośród „przypuszczalnie około tysiąca”, które „napisało się”. Pochodzą z ponad – już! – 40 lat i trzy-nastu „książek poetyckich”. Co ważne, niektóre stały się potem piosenkami, czasami więc przytoczone są „w zmiennej, piosenkowej formie – bo lepiej brzmią”.

Ważne jest i to, że prezentowane są chronologicznie, więc *Wybór* jest też opowieścią o historii życia. O szkole i wojsku (jakże wstrząsająco celne), o miłościach i kobietach, o Krakowie i innych miejscach, o literatach i o muzyce. O wódce i papierosach. W istocie jest też o Polsce. Nie ma o Jarosławie Gowinie.

Do wielokrotnego smakowania.

PS I oczywiście należy mieć nadzieję, że Marcin Świetlicki nie dotrzyma słowa, że już napisał wszystko, co miał napisać, i niczego więcej nie ogłosi. Rockmani często przecież, pomimo podobnych zapowiedzi, wracają na scenę.

kb

O Kalinie Jędrusik napisano już wiele. Niektórych wciąż szokuje, ale innych utwierdza w przekonaniu o nie do końca wykorzystanym talencie – i kolejne na to dowody przynosi opowieść Uli Ryciak. Kalinę przedstawia ona jak bohaterkę powieści, którą napisało samo życie.

Ot, choćby obraz jej związku ze Stanisławem Dygatem, z którym tworzyli parę nieszablono-wą, bo żyjącą według własnych, często niezrozumiałych dla innych zasad. Sami je jednak dla siebie stworzyli, a relacje między nimi, tak szokujące dla postronnych, okazały się niewiarygodnie trwałe i prawdziwe.

Kalina jest pokazana u Ryciak nie tylko jako kobieta z krwi i kości, ale też muza, *femme fatale*, a przede wszystkim artystka. Na temat jej moralności pisano więcej niż o jej rolach. Była na ustach wszystkich, łącznie z sekretarzem partii komunistycznej. Jej biust i spojrzenie stały się tematem zażartych dyskusji na wszystkich szczeblach. Szary socrealizm nie mieścił w sobie tak kolorowego ptaka.

Kalina cierpiała i starała się nie cierpieć, wkurzała się i robiła swoje, pozostając wbrew wszystkiemu i wszystkim sobą. Jej nieszablono- wa uroda nadal zachwyca. Mistrzyni – chociażby w wykonywaniu piosenek Kabaretu Starszych Panów – nie ma równych sobie następców.

Elżbieta Wojnarowska

Nakładem Komitetu Kopca Kościuszki w Krakowie i Muzeum Kościuszkowskiego ukazała się książka Piotra Hapanowicza *Tadeusz Kościuszko – bohater wciąż potrzebny*. Autor zadbał, by przedstawić Tadeusza Kościuszkę nie tylko jako spiżowego generała, ale jako zwykłego człowieka, który bywał zakochany, dostawał kosza od rodziców wybranek (Ludwika Sosnowska, Tekla Żurowska), bo nie był wystarczająco zamożnym kawalerem, miał talent artystyczny, ale i zamiłowania militarne, które w końcu – świadomie wybrane – zadecydowały o jego przyszłości. Został znanym i skutecznym strategiem, żołnierzem, generałem. Walczył o Polskę i Stany Zjednoczone, był honorowym obywatelom Francji. Nigdy nie udało mu się założyć rodziny i stworzyć normalnego domu, o jakim przez całe życie zapewne marzył. Stał się jednak na cokołach wielu pomników na całym świecie. Książka jest bogato ilustrowana kolorowymi portretami Tadeusza Kościuszki oraz obrazami wydarzeń z jego epoki. Ważnym elementem jest kalendarium pozwalające, w krótkich komunikatach, prześledzić jego przebogaty życiorys.

Janusz M. Paluch

Marcin Świetlicki, *Wybór*, Wydawnictwo Wolno, Lusowo 2021.

Ula Ryciak, *Niemoralna Kalina*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021.

Piotr Hapanowicz, *Tadeusz Kościuszko – bohater wciąż potrzebny*, Komitet Kopca Kościuszki w Krakowie, Muzeum Kościuszkowskie, Kraków 2021.



Dr n. med. Tomasz Wiatr – Oddział Kliniczny Urologii i Urologii Onkologicznej Szpitala Uniwersyteckiego

Jest urologiem zajmującym się chirurgią układu moczowego żeńskiego i moczowo-płciowego męskiego. Przeprowadzane przez niego małoinwazyjne operacje metodą laparoskopową wymagają precyzji i pewnej ręki. Podobnie, jak artystyczny rysunek, którym zajmuje się po stresujących zabiegach. Lekarz potrafi na papierze wyczarować portrety znanych aktorów czy urologów, których wizerunki zdobiją później szpitalne korytarze. Ostatnio stworzył cykl *Anatomia* prezentujący anatomiczną budowę człowieka, a także subtelne kobiece akty. Te ostatnie rysunki zobaczymy na planowanej na wiosnę wystawie w Muzeum Czapskich. A dr Wiatr wystawiał już swoje prace między innymi w takich miejscach jak Collegium

Maius czy MOCAK. – Sam także często chodzę do galerii i muzeów, by oglądać dzieła moich ulubionych, młodych polskich malarzy. Wśród nich są Leon Wyczółkowski czy Władysław Podkowiński. *Autoportret* tego ostatniego artysty zainspirował mnie do rysowania ludzkich twarzy. Ale podziwiam także Zdzisława Beksińskiego, u którego cenię dbałość o detale – mówi Tomasz Wiatr.

(Magda Huzarska-Szumiec, fot. archiwum domowe)



Dr hab. n. med. Piotr Wojciechowski – kierownik Centrum Urazów Dziecięcych w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Krakowie

Znany jest z tego, że ma świetne podejście do dzieci. Nie boją się go. – Z dziećmi pracuje się bardzo dobrze, bo niczego nie udają, ich reakcje są dla nas czytelne. Dzieci po urazach i operacjach szybko wracają do normalnego stanu zdrowia, bo dzieci mają niesamowite możliwości regeneracyjne – wyjaśnia docent Wojciechowski. – Mogłoby się wydawać, że praca chirurga dziecięcego jest stresująca i wyczerpująca, ale po jakimś czasie zaczynamy poruszać się w kręgu schorzeń, które potrafimy z łatwością rozpoznać i nie czujemy zmęczenia czy stresu. Widać sam jestem wiecznym dzieckiem, więc potrafię zrozumieć ich zwariowane pomysły.

Dr Wojciechowski jesienią 2020 roku podczas 25. Zjazdu Światowej

Organizacji Chirurgii Dziecięcej otrzymał nagrodę Neonatal Surgical Award za najwyższe osiągnięcia w chirurgii dziecięcej i noworodka.

(Magdalena Oberc, *Dzieci nie kłamią. Dzień w Szpitalnym Oddziale Ratunkowym*, fragment, „Kraków” 2020, nr 5, fot. Jan Zych)



Prof. dr hab. n. med. Jan Zapała – kierownik oddziału Chirurgii Szczękowo-Twarzowej Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie

Głównie zajmuje się chirurgią onkologiczną, chirurgią powiekowo-oczdolową, chirurgią ortognatyczną oraz chirurgią podstawy czaszki. W podejmowaniu trudnych decyzji na sali operacyjnej pomaga mu dobra kondycja. Nie miałby jej, gdyby nie sportowa pasja. Od lat grywa w tenisa, który jest jego ulubioną dyscypliną. – Kiedy skończyłem studia i zostałem asystentem w Klinice Chirurgii Szczękowej, kierujący nią profesor Stanisław Bartkowski zaproponował mi wspólną grę w tenisa. Ta pasja przetrwała do dzisiaj. Teraz najczęściej profesor grywa z przyjaciółmi w debla, śledząc to, co dzieje się w zawodowym tenisie. Nie odpuszcza żadnego turnieju wielkoszlemowego, szczególnie gdy gra

Iga Świątek. – Choć czasami nie wytrzymuję związanego z tym napięcia i przełączam kanały. Ale jak skończy się mecz i znam już wynik, wracam do powtórek, szczególnie chętnie gdy wynik jest korzystny dla Polki. Dzięki temu unikam zbyt dużych emocji – dodaje. Profesor marzy, żeby kiedyś wybrać się na turniej French Open na kortach Rolanda Garrosa. Będzie wtedy mógł z trybun obserwować zmagania zawodników i poczuć towarzyszącą turniejowi atmosferę.

(Magda Huzarska-Szumiec, fot. archiwum domowe)

Requiem dla chirurgii

Tekst: Mieczysław Czuma

Chirurdzy, absolutna arystokracja całej medycyny, na naszych oczach ustępują miejsca na najwyższym podium epidemiologom, którym to przyjdzie przejąć rolę naszych wybawców. Bo mogą nadejść czasy, kiedy nie będzie już kogo operować. Pacjentów ocalić mogą tylko znawcy mikrobów oraz wszelakich innych drobnoustrojów. Ale po kolei.

Odkąd ludzkość wygnana została z raju, ruszyły na nią całe legiony bakterii, wirusów i rozmaite inne paskudztwo. Pomocy szukano u szamanów, znachorów, czarowników. Prawdziwie uczonymi medykami, i to takimi od wszystkiego, najczęściej bywali mnisi. Ale na soborze laterańskim (rok 1215) przyjęte zostało postanowienie, że krew nie może plamić szat duchownego. Musiał więc powstać nowy, świecki zawód pomocników tych prawdziwych lekarzy.

Tak narodziła się pogardzana przez dawnych doktorów profesja cyrulików, zwanych też chirurgami (greckie gr. *cheirourgós* – robiący ręką). Do nich należały niegodne uczonych mężów zabiegi, takie jak rwanie zębów, puszczenie krwi, leczenie ran, nastawianie złamanych kości. Całe to rzemiosło wykonywali praktykujący po golarniach i łaźniach prości balwierze i łaźiebny. Owszem, trafiali się pośród tej rzeszy oszuści i partacze, ale nie u nas.

W Krakowie nigdy nie brakowało mistrzów noża i skalpela. Wezwany na Wawel medyk kapituły warszawskiej (ale po studiach w Krakowie!) Wojciech Oczko jako jeden z pierwszych w świecie wykonuje operację plastyczną nosa u jednej z dam dworu Zygmunta Augusta. U dotkniętej chorobą weneryczną pacjentki likwiduje typowe dla tej przypadłości zapadlisko w górnej części organu powonienia za pomocą nałożonego w to miejsce płatu skóry przeniesionego z ramienia. I dalej, służący w oddziałach Stefana Batorego niejaki Kacper Bendoński, swojak z podgórskich Krzemionek, nabiera takiej biegłości w wykonywaniu amputacji nóg, że zabieg odcięcia kończyny z podwiązaniem naczyń wykonuje w czasie ośmiu zdrowasiek, to jest około trzech minut.

Wielu z XIX-wiecznych lokatorów ulicy Kopernika to najprawdziwsze gwiazdy i to największego formatu. Jan Mikulicz Radecki pierwszy w świecie zszywa przedziurawione jelito w ostrym zapaleniu otrzewnej. Szokuje swoim zachowaniem. Operuje w jedwabnych rękawiczkach, wykonuje zabiegi w płóciennej czapeczce i gazowej masce na ustach. Ludwik Rydygier pierwszy w świecie usuwa kamienie z pęcherza moczowego cięciem przez otrzewną, drugi w świecie (po paryskim Jules'u Péanie) operuje raka żołądka. Obdarzony bujnym zarostem po wsze czasy narazi się kobietom, bo obstawał będzie przy zdaniu, że dama nie może być chirurgiem. A to dlatego, że nie ma brody.

Aby tę wyliczankę okraszyć anegdotą, przywołam jeszcze postać profesora Jana Glatzela, absolutnego fenomena krakowskiej chirurgii. Jego niebywała maestria sprawiła, że w Europie nazywano go „il diavolo”, diabłem. Jest osobistym lekarzem prezydenta Ignacego Mościckiego, ma własnego szofera, jeździ

amerykańskim samochodem marki Buick, ustawiają się do niego niekończące się kolejki. Jako człowiek niebywale zamożny zostaje dla okupu porwany (17 maja 1931 roku). Żona profesora dostarcza w umó-

Wszystkich walczących z epidemiami pytam: kto jest waszym patronem? kto to taki, co odstrasza covida? Pilnie chcę wiedzieć, będę zabiegał o jego względy.

wione miejsce gigantyczną sumę miliona złotych! Sensacja jest zbyt wielka, aby nie postawić na nogi policji. Porywacz zostaje pojmany, lecz w czasie akcji, niesprawny w posługiwaniu się bronią, sam siebie ciężko rani. Glatzel operuje go natychmiast i ratuje mu życie.

Ale oto nastała pora, kiedy trzeba ogłosić *requiem* dla tej arystokratki sztuk medycznych. To, co dzieje się teraz dookoła, budzi obawy, że czekają nas czasy, kiedy nie będzie już kogo operować. Dlatego na tym najwyższym podium stawiam – tak, tak – właśnie epidemiologów. W nich nadzieja. A całe to gadanie dedykuję tym wszystkim, którzy nie ustają w walce z tą grupą wkraczających na scenę medyków albo z urzędu odrzucają racje tych specjalistów.

W średniowieczu, kiedy nie znano jeszcze dobrodziejstw Narodowego Funduszu Zdrowia, uciekano się pod opiekę świętych. Dotknięci padaczką prosili o pomoc św. Wita, naznaczeni świerzem czy półpaścem wznosili modły do św. Wawrzyńca, wściekłą zażegnywał św. Hubert, przy zapaleniu opon mózgowych niezawodny był św. Klaudiusz i tak dalej. Każdy z wyniesionych na ołtarze przypisaną miał jakąś specjalizację, niektórzy nawet po kilka.

Wszystkich walczących z epidemiami pytam: kto jest waszym patronem?, kto to taki, co odstrasza covida? Pilnie chcę wiedzieć, będę zabiegał o jego względy.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Poeta malarstwa i malarz poezji

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Muzeum Narodowe w Krakowie

Wystawa Jacek Malczewski romantyczny udowadnia, że krakowski artysta był równy narodowym wieszczom.



Imię Jacek pochodzi od łacińskiego słowa *Hyacinthus*. Wiedział o tym Jacek Malczewski, który nie bez powodu na jednym z autoportretów występuje z wyrastającym z doniczki hiacyntem. Tym tropem poszli twórcy wystawy w Muzeum Narodowym w Krakowie, prezentując 170 prac mistrza w przestrzeni utrzymanej w hiacyntowo-fioletowej tonacji. To dobry pomysł, gdyż jeszcze bardziej uwypukla on romantyczny charakter obrazów artysty.

W końcu Malczewski nie bez powodu uważany jest za „poetę malarstwa i malarza poezji”. Właśnie w poezji, szczególnie z okresu romantyzmu, znajdował nieskończone źródło inspiracji, która na jego płótnach przybierała formę młodopolskiej symboliki. Możemy ją śledzić w kolejnych wystawienniczych przestrzeniach. – Zaczynamy jednak od przedstawienia samego artysty, jego rodziny, przyjaciół, mecenasów... Tu zobaczymy przepiękny wizerunek jego przyszłej żony Marii Gralewskiej na obrazie *Portret narzeczonej*. Po ślubie straciła ona wiele w jego oczach, nigdy już jej tak efektownie nie przedstawił – mówi kuratorka wystawy Urszula Kozakowska-Zaucha.

Malczewski szybko rozczarował się żoną, która nie dorównywała mu intelektem i wyobrażała sobie, że u boku słynnego malarza będzie prowadziła życie zamożnej mieszczyki. Na rodzinne konflikty równie poważny

wpływ miało spotkanie artysty z Marią Bałową, która przez 13 lat była jego żoną. To właśnie jej została poświęcona jedna z sal, w której zobaczymy wielkie dzieła Malczewskiego, przedstawiające ukochaną jako Ellenai, Beatrycze, Salome... – Cały Kraków mówił o ich związku, choć oni starali się go ukrywać. W końcu nie tylko on był żonaty, ale ona też miała męża. Łączyła ich zarówno namiętność, jak i wspólne zainteresowania. Z nią mógł dyskutować o sztuce, ona inspirowała go do wypełniania dzieł postaciami mitycznymi: meduzami, chimerami, harpiami – opowiada kuratorka.

Te stworzenia zobaczymy na obrazach w części poświęconej pracom przedstawiającym twórcę mierzącego się ze swoimi rozterkami. Korespondują one z rusałkami, topielicami nawiązującymi do podań ludowych rodem z *Ballad i romansów* Adama Mickiewicza. Z kolei *Anielli* Słowackiego zainspirował Malczewskiego do stworzenia *Śmierci Ellenai*, której trzy wersje zobaczymy na wystawie. Nie zabraknie na niej bowiem także wątków patriotycznych w twórczości malarza, który mawiał, że gdyby nie był Polakiem, nie byłby artystą. – Tą wystawą ośmielamy się wysunąć tezę, że Malczewski jest malarskim odpowiednikiem naszych romantycznych wieszczów – dodaje Urszula Kozakowska-Zaucha i chyba miłośników twórczości artysty nie musi do tego przekonywać.

Jacek Malczewski romantyczny, Muzeum Narodowe w Krakowie, Gmach Główny, wystawa czynna do 31.07.2022.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marci Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

■ Przychodzi wena do lekarza

Do 25 marca lekarze i lekarze dentyści mogą nadsyłać swoje prozatorskie i poetyckie utwory na Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Profesora Andrzeja Szczeklika „Przychodzi wena do lekarza”. Po wypełnieniu formularza zgłoszeniowego na stronie internetowej mp.pl/wena powinno się przesłać pracę konkursową na adres wena@mp.pl. W tytule wiadomości należy wpisać: „Konkurs literacki” oraz imię i nazwisko uczestnika. Ideą konkursu jest podkreślanie i rozwijanie poprzez twórczość literacką szczególnej wrażliwości, jaką musi cechować dobrego lekarza, by potrafił właściwie odczytywać potrzeby drugiego człowieka – pacjenta.

Główną nagrodę stanowi statuetka wykonana przez znanego zakopiańskiego artystę rzeźbiarza, Karola Gąsienicę Szostaka. Jest ona miniaturową repliką rzeźby stojącej przed budynkiem II Katedry Chorób Wewnętrznych przy ulicy Skawińskiej w Krakowie, którą Andrzej Szczekliki kierował. Profesor ufundował ją dla upamiętnienia Piotra Skrzyneckiego, dla którego „klinika Szczeklika” była przez ostatnie lata życia drugim domem – nazwał ją „hotelem snów”. Rzeźba i statuetka przedstawia, jak pisze sam fundator w swej książce *Katharsis*: „akrobatów – kobietę i mężczyznę – balansujących wbrew sile ciężkości. Nawiązuje do czarodziejskiej sztuki Wielkiego Maga z Piwnicy pod Baranami, a także do sztuki lekarskiej będącej balansowaniem na granicy życia i śmierci”.

Jury konkursu tworzą Anna Dymna, Ewa Lipska, Waldemar Hładki, Bronisław Maj, Maria Szczekliki i Jarosław Wanecki. Organizatorem jest wydawnictwo Medycyna Praktyczna, z którym prof. Andrzej Szczekliki był blisko związany przez 20 lat.

■ Ta łódź utknęła na mieliźnie polskiej kultury

Niedawno pisaliśmy na naszych łamach, o nowym tłumaczeniu *Boskiej komedii*, czego dokonał Jarosław Mikołajewski. Znakomity poeta, specjalista od włoskiej kultury i włoskiego stylu życia, wpadł na fantastyczny pomysł przygotowania w Muzeum Narodowym w Warszawie wystawy zatytułowanej *Dante*. Miały się na niej pojawić sprowadzone ze światowych muzeów dzieła między innymi Fra Angelico, Caravaggia, Augusta Rodina, Guido da Siena czy Andy’ego Warhola, oczywiście inspirowane poezją Dantego. Całość miała wieńczyć przetransportowana z Lampedusy łódka, na której do brzegu wysepki przybyli imigranci. Nie bez powodu skojarzyła się ona twórcy wystawy z mitologiczną barką przewożącą dusze zmarłych do Hadesu. Tego było za dużo dla Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jak nieoficjalnie mówią pracownicy muzeum, władze nie chciały w podległej instytucji wątku

uchodźczego. I tak po raz kolejny łódka wstydu utknęła na mieliźnie polskiej kultury.

■ Zamachowski zasiada w fotelu pana Leopolda

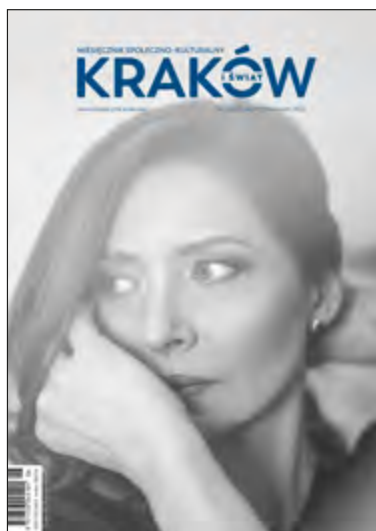
Kiedy jeszcze kilka lat temu ktoś wchodził do restauracji Klezmer Hois, musiał zwrócić uwagę na starszego pana, który zawsze siedział przy tym samym stoliku, w tym samym fotelu i ze swadą dyskutował o muzyce, świecie i wielu innych istotnych rzeczach, rzucając od czasu do czasu niezbyt przyzwoitym, ale zawsze zabawnym dowcipem. Przeważnie otaczał go wianuszek zapatrzonych w niego młodych kobiet, które doskonale wiedziały, że tylko on może nauczyć je śpiewać piosenki żydowskie tak, by poruszyły serca publiczności. W końcu właśnie w tym Leopold Kozłowski był mistrzem.

Jacek Cygan, który przez lata przyjaźnił się z kompozytorem, zapamiętał doskonale tę uwagę, jaką otaczały go adeptki sztuki wokalne. Wykorzystał to w scenariuszu spektaklu *Leopold*, który w Teatrze STU wyreżyserował Krzysztof Jasiński. Twórcy przenieśli na scenę niemal jeden do jednego wystrój Klezmer Hois, w centralnym punkcie umieszczając słynny fotel pana Leopolda. Zasiadł w nim Zbigniew Zamachowski, który od razu zastrzegł, że nie będzie wcielał się w bohatera spektaklu, gdyż jest to zadanie niemożliwe do wykonania. Był on bowiem osobowością tak wyjątkową, że podrabianie go nie miało by najmniejszego sensu. W zamian aktor zaproponował, że opowie o muzyce i tylko od czasu do czasu „wejdzie w jego buty”. A robi to w przerwie między lekcjami udzielanymi studentce szkoły teatralnej (granej przez Weronikę Krystek na zmianę z Joanną Pociągą). I robi to z wielkim wdziękiem, rozkończając dziewczynę w żydowskich piosenkach. Zachwycona publiczność razem z aktorami śpiewa utwory z repertuaru pana Leopolda, takie jak *Rodzynki z migdałami* czy *Najmłodsza się wydaje*, a na koniec *Shalom aleichem*, ten ostatni nucąc jeszcze w foyer teatru.

■ Nie usłyszymy już saksofonu Zbigniewa Namysłowskiego

Miłośnicy jazzu nie usłyszą już na żywo koncertów legendarnego muzyka Zbigniewa Namysłowskiego. Artysta zmarł w wieku 83 lat, niemal do końca koncertując i dostarczając słuchaczom niezwykłych przeżyć. Na pocieszenie zostało nam ponad 30 nagranych przez niego płyt, na których słyszeć wyjątkowy ton jego saksofonu. Są wśród nich tak znakomite albumy jak *Winobranie*, *Kuyaviak Goes Funky*, *Air Condition*, które magazyn Jazz Forum uznał za jazzowe płyty wszechczasów. Jest też słynna *Lola* z 1964 roku, nagrana w londyńskiej wytwórni Decca, w której pracował zespół The Rolling Stones.

Magda Huzarska-Szumiec



Następny kwietniowy numer miesięcznika „KraKów i Świat” ukaże się w ostatnich dniach marca 2022 roku.

Jego wiodącym tematem będzie „Pamiętając o Żydach”.

Wśród tekstów: historia getta i „Schowki” – wywiad z Katarzyną Zimmerer.

A prócz tego portret aktorki Urszuli Grabowskiej.

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW
i ŚWIAT

Miesięcznik społeczno-kulturalny „KraKów i Świat”

Wybierz KraKów!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków

Adres Redakcji i Wydawcy:

pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,

e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznik.krakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszcachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepe, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

Layout: Igor Banaszewski

Strona internetowa: Piotr Rachwaniec

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.

Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Marii Malatyńskiej

*Ktoś tutaj był i był,
a potem nagle zniknął
i uporczywie go nie ma
(Wisława Szymborska)*

Marysiu, Mario, doskonale wiemy, co czujesz w tej chwili i czym dla Ciebie jest odejście ukochanego Męża, Jerzego.

Pamiętaj, że jesteśmy z Tobą.

Przyjaciele z miesięcznika „KraKów”

*„Można odejść na zawsze,
by stale być blisko”
(ks. Jan Twardowski)*

Naszej drogiej koleżance

Kasi Rutkowskiej-Sosze

najszczerze słowa wsparcia w tym trudnym czasie po odejściu Syna

Redakcja „KraKowa”

Januszu,

Plutarch pisał, że „Życie jest chwilą wieczności”.
Wiedząc to, ale i to, że jest Ci ciężko po śmierci Taty
– ściskamy Cię mocno

Przyjaciele z redakcji „KraKowa”

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopiśmem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika KraKów (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu!
(11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**

– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą.

Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane! Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

Krzysztof Miklaszewski – oficjalna strona
www.krzysztof.miklaszewski.pl

Z końcem ubiegłego roku zasoby internetu powiększyły się o nową witrynę – oficjalną stronę Krzysztofa Miklaszewskiego – człowieka teatru i telewizji, reżysera i scenarzysty, wieloletniego aktora i współpracownika Tadeusza Kantora, krytyka sztuki oraz autora książek – nie tylko o teatrze. Jak sam o sobie mówi „jego życie w pełni artystyczne zmusiło go do... »uprawiania wieloboju«”. Ów wielobój odzwierciedlony jest na stronie, która podzielona jest na cztery główne działy: Teatr, Film, Telewizja i Książki. Całości dopełnia obszerna biografia wraz z licznymi zdjęciami, artykułami i wywiadami. W jednym z nich Krzysztof Miklaszewski wspomina:

„Najpierw zrobiłem film o Kantorze, w którym spróbowałem prowadzić narrację trzema równoległymi strumieniami. Pierwszy stanowiły wypowiedzi programowe Kantora, drugi zachowania Kantora na próbach, trzeci zaś już gotowa sytuacja teatralna. Nie byłem wierny przebiegowi prób i obawiałem się reakcji impulsywnego Mistrza. Ale ku mojemu zadowoleniu Kantor tę *collage*’ową strukturę zaakceptował i po kilku miesiącach zaproponował mi rolę w spektaklu *Nadobnie i koczodany*. Zagrałem w nim przeszło 100 razy w rozmaitych częściach świata. (...) Za zaszczyt poczytuję sobie mój udział w *Umarłej klasie*, uważam bowiem – jako krytyk – że to najwybitniejszy spektakl, jaki powstał w teatrze polskim ostatnimi laty. Jeden z tych miłowych kroków, które pozostaną w teatrze światowym. Dlaczego jeszcze zgodziłem się grać u Kantora? By poznać jego twórczość naprawdę. Po drugie, bo interesowały mnie procesy gry aktorskiej, a teatr Kantora poszukuje nowego modelu odtwórcy. Po trzecie zaś dlatego, że nigdy nie marzyłem o tym, by zostać aktorem. (...) W Edynburgu np. Kirk Douglas i Sean Connery oświadczyli mi wprost, że to ode mnie mogą się uczyć aktorstwa. W czasie rozmowy okazało się na szczęście, że było dla nich rzeczą najważniejszą to, iż człowiek wkomponowany w spektakl wykonywał swoje zadanie precyzyjnie. Nawet przez myśl im nie przyszło, by pytać mnie i członków teatru – nieaktorów o dyplom. Nie chodzi o mnie, ale naprawdę taka miara w sztuce nie istnieje”.

Wielką gratką jest niewątpliwie dział z filmami dokumentalnymi autorstwa Krzysztofa Miklaszewskiego. Zawarto tu ponad 30 filmów (wybranych spośród wszystkich 125 jego realizacji), które można obejrzeć w całości na stronie – wiele z nich obecnie jest bardzo trudno dostępnych. Na dokładkę w dziale telewizyjnym znajdziemy garść programów emitowanych w latach 70., 80. i 90. Uświadamia to, jak bardzo zmieniła się telewizja, i tu dygresja: wprawdzie dzisiaj telewizyjna rozrywka ewoluowała, w niemal każdym aspekcie, na nieosiągalny wtedy poziom, nie sposób oprzeć się jednak wrażeniu, że coś straciliśmy. Chyba pewną kulturę i klasę widoczną

w wypowiedziach i sposobie prowadzenia telewizyjnych „show”...

Wracając do strony, warto zaznaczyć, że choć skupia się ona głównie na osobie Miklaszewskiego, stanowi również podróż sentymentalną w lata świetności polskiej kultury. Możemy bowiem „spotkać” tu takie wielkie postacie polskiej sceny jak Tadeusz Kantor, Andrzej Wajda, Józef Szajna, Konrad Swinarski, Jerzy Grotowski, Daniel Olbrychski, Jerzy Stuhr, Jerzy Trela, a także znanych pisarzy, jak Stanisław Lem czy Aleksander Krawczuk, czy muzyków, jak Stanisław Hadyna i Zespół MW2. Na stronie Miklaszewskiego pojawiają się jako gwiazdy pierwszej jakości tak wybitni naukowcy, jak profesorowie humaniści Kazimierz Wyka czy Karol Estreicher junior. Na wymienienie wszystkich zabrakłoby jednak miejsca w tej krótkiej nocie. Całość okrasza blisko 800 (!) – często unikatowych – archiwalnych zdjęć i wycinków prasowych.

Szczerze polecam odwiedzenie strony nie tylko fanom twórczości Krzysztofa Miklaszewskiego, ale wszystkim zainteresowanym polskim teatrem i telewizją, a także literaturą i sztuką końca ubiegłego wieku.



Rys. Marek Braun



Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Niezwykły przechodzień

„Pomiędzy domami prowadź mnie ulico, trakcie wydeptany ludzi nawałnicą” – śpiewała grupa Pod Budą w piosence *Ulica*. Nie wiemy dokładnie, czy tę czy inną melodię nuci sobie Kamil Bąbel, kiedy przemierza ulice naszego miasta. Za to wiemy na pewno, że wyczyn, którego się podjął, jest wart opisanie. Otóż postanowił on przejść pieszo każdą krakowską ulicę. Nic wielkiego! – pomyślicie. No to proszę sobie wyobrazić pieszą wycieczkę spod Sukiennic na Gibraltar. Robi wrażenie, nieprawdaż? Kamil Bąbel przeszedł już ponad 1400 krakowskich ulic, czyli mniej więcej połowę całej trasy, co zajęło mu dwa i pół roku. A wszystko zaczęło się od chęci zwiedzenia najbliższej okolicy. Bowiem nasz piechur doszedł do wniosku, że rutynowo przemierzając wydeptane ścieżki, często nie zauważa najbliższego sąsiedztwa, ukrytych małych uliczek i zaułków. Dlatego pan Kamil swoje spacerunki skrupulatnie dokumentuje, choć najważniejsza zdaje się tu sama idea poznawania miasta. I po prostu zdrowy spacer. Do czego i my zachęcamy, więc niech was pomiędzy domami prowadzą krakowskie ulice!

Zwierzaki też lubią kasę

Pewnie nie tylko nas zasmuca widok pracujących zwierząt. Tym bardziej zdumiała nas więc informacja, że zwierzęta w krakowskim ZOO „zarabiają” pieniądze i pobierają regularne pensje. Zapytacie, jaką pracę wykonują? Uspokajamy: żadną. Wiele zwierząt dostaje bowiem swoje comiesięczne pensje od... sponsorów. Zasada jest prosta – jeśli jakaś osoba lub firma podjęła się adopcji mieszkańca Ogrodu Zoologicznego, przelewa na jego utrzymanie stosowną kwotę. I właśnie w ten sposób zwierzęta same na siebie zarabiają. W chwili obecnej 60 zwierząt pobiera regularne pobory, choć drugie tyle wciąż czeka na swoje pensje. Ponieważ Trybunał Julii Przyłębskiej nie utajnił zarobków zwierząt, podajemy kilka przykładów ich wielkości. Tygrys amurski otrzymuje miesięcznie 1500 złotych, czego może mu pozazdrościć pantera śnieżna z pensją 800 złotych. Tak niewielkie zwierzątka, jak lori mały, czy lotopałanka mała muszą się zadowolić pensją 100 złotych. Z kolei osłu domowemu wystarcza do pierwszego 200 złotych, a szopowi pracowowi 150. Natomiast te największe, jak lew, żyrafa czy słoń potrafią „wypracować” nawet kilka tysięcy. Tak oto komunistyczny, prześmiewczy slogan „czy się stoi czy się leży, dwa tysiące się należy” zyskał nowy, szlachetny wymiar.

W ciuciubabkę z choinką

Choć oddaliliśmy się już znacznie od świąt Bożego Narodzenia, przybliżając się zarazem do Wielkanocy, historia pewnej choinki miała swój epilog całkiem niedawno, więc słów o niej parę. Rzecz dzieje się w krakowskim Sądzie Okręgowym, a zaczyna od tradycyjnego już udekorowania drzewka przez niepokornych sędziów, broniących praworządności. Na choince pojawiają się bańki z napisami „Konstytucja” i „Wolne media”. Są też nazwiska sędziów szykanowanych przez Ministerstwo Sprawiedliwości i rozmaite jego wytwory, a także kolczasty drut kojarzący się z sytuacją na wschodniej granicy. Już

pierwszej nocy ktoś rozbił bańki unijne, zniknęła tęczowa gwiazda i symboliczny drut. Niezłomni sędziowie przywrócili jednak pierwotny wygląd swojej choinki. Cóż z tego, skoro następnego dnia drzewko zniknęło. Na wniosek władz sądu zostało zdeponowane, gdyż zwiślały zeń zatruwające serca i umysły „treści ideologiczne”. Sędziowie wystąpili więc do dyrektora Piotra Słabego o zwrot choinki wraz z wszystkimi ozdobami. Po wzajemnych przepychankach i zabawie pana dyrektora z sędziami w ciuciubabkę, okazało się, że dyrekcja odesłała choinkę do... miejskiego biura rzeczy znalezionych. A my zastanawiamy się, czy to jeszcze sąd czy już przedszkole.



Janusz Stefaniak, *Demoniczne tango*

Bezwzględny zakaz podejmowania aktywności seksualnej

Mamy to! – chciałoby się krzyknąć na wieść, że Kraków znowu górą. Tyle że sukces w tych „zawodach” chwały zwycięzcy nie przynosi. Bo trudno uznać za taką pierwsze miejsce w plebiscycie na Statutowy Absurd Roku 2021, organizowany w mediach społecznościowych przez (uwaga!) Stowarzyszenie Umarłych Statutów. Stowarzyszenie to monitoruje prawa uczniów i tropi ich łamanie, zaglądając do statutów polskich szkół. Niestety, zajrzano też do statutu Liceum Ogólnokształcącego im. Świętej Rodziny z Nazaretu w Krakowie i znaleziono między innymi takie zapisy: „Ucznia obowiązuje w Szkole i poza nią bezwzględny zakaz: (...) podejmowania aktywności seksualnej polegającej na: odbyciu stosunku seksualnego, udziału w imprezach o charakterze erotycznym oraz pozowania do filmów

i zdjęć pornograficznych, publicznym podejmowaniu zachowań o zabarwieniu seksualnym”. „Triumfujący” ogólniak, choć jest placówką katolicką, to jednak, co podkreślają pomysłodawcy plebiscytu, nie jest szkołą wyznaniową, a ów feralny przepis narusza prawa człowieka. Choć trzeba przyznać, że wiara pedagogów w to, co ich podopieczni robią, a może raczej nie robią poza godzinami lekcyjnymi, jest do pozazdroszczenia.

Warte odnotowania jest też miejsce trzecie. Przypadło ono w udziale Szkole Podstawowej nr 45 im. Jana Matejki w Łodzi, która w statucie miała wpisany zakaz noszenia przez dziewczynki spodni w trakcie uroczystości szkolnych. Zniknął on jednak po interwencji łódzkiego kuratora. W Małopolsce na podobną przychylność kuratorium raczej liczyć nie możemy.

Klub Przyjaciół miesięcznika „Kraków i Świat”



Klub Przyjaciół miesięcznika „Kraków i Świat”

Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Jacek Purchla, Kraków
Kazimierz Sumera, Zawoja
Andrzej Gaworski, Warszawa
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Prac, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczykowski, Białystok
Jadwiga Falkowska, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko
Anna Kosioriewicz, Kraków

Jerzy Hausner, Kraków
Katarzyna Bilan-Zajac, Kraków
Monika Gierko-Libicka, Warszawa
Rafał Bubnicki, Wrocław
Dominika Dudek, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Warszawa
Gerhard Gnauck, Sulejów
Piotr Krzywiec, Warszawa
Gwidon Dziwoki, Kraków
Waldemar Zakrzewski, Szczecin
Renata i Wojciech Michna, Kraków
Andrzej Kuźma, Kraków
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna
Konstanty Gebert, Warszawa
Agnieszka Odorowicz, Warszawa
Janusz Fogler, Legionowo
Anna Tyniec, Kraków
Czesław Misiołek, Duchnice
Małgorzata Maruszkin, Warszawa
Marcin Barcz, Piaseczno
Wojciech Bergier, Kraków
Ewa Bielecka, Kraków
Jacek Górski, Kraków
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice
Wanda Fryz, Wodzisław Śląski
Maria i Paweł Niklińscy, Kraków
Andrzej Łojewski, Kraków
Andrzej Pach, Kraków
Małgorzata Pach, Kraków
Jerzy Loręcki, Kraków
Jan Sady, Kraków
Róża Thun, Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Beata i Artur Romanowscy, Kraków
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
Małgorzata i Jerzy Dobrowolski, Skarżysko-Kamienna
Ewa i Krzysztof Jurkiewicz, Krępa
Ewa i Grzegorz Reszka, Warszawa
Dariusz Borucki, Łomianki
Alina Kruk, Zielona Góra
Krzysztof Ryszard Wilk, Kraków

Danuta i Mariusz Landowscy, Tczew
Jadwiga Drąg, Paszczyzna
Marta Anna Ronne, Uppsala
Waldemar Smolski, Kraków
Andrzej Gawłowicz, Kraków
Anna Świętoń-Piędzioch, Kobyła Góra
Grażyna Przybylska-Okoń, Kraków
Teresa Stowska, Kraków
Małwina Kopańska, Olsztyn
Kazimierz Trybalski, Przybysławice
Anna Kulak, Krzeszowice
Jerzy Kicki, Kraków
Andrzej Pienias, Bełchatów
Alicja Byszkiewicz, Toronto
Andrzej Mącznik, Kielce
Anna i Adam Opatowiczowie, Kołbaskowo
Katarina Hard, Staffanstorp
Alicja Danecka-Chwals, Boston
Zofia Mociąga, Łędziny
Tomasz Wojtas, Kraków
Hanna Dunin-Łabędzka, Australia
Jarosław Minałto, Wrocław
Wiesława Iskra, Dankowice
Irena Krzywiec, Kraków
Stanisław Dziurzyński, Sędziszów
Elżbieta Grzeluska-Grudnik, Opatówek
Halina Biernacka, Bolechowice
Jędrzej Krakowski, Katowice
Ewa Mańkowska-Grin, Kraków
Elżbieta Wełna, Kraków
Elżbieta Binswanger-Stefański, Kraków
Wojciech Wróblewski, Warszawa
Dorota i Stanisław Waltoś, Kraków
Andrzej Saracyn, Warszawa
Katarzyna Sondij, Teneryfa
Seweryn Szatkowski, Warszawa
Ewa i Jacek Godniowscy, Kraków
Izolda Kiec, Poznań
Janusz Marchwiński, Kraków
Adam Bodnar, Warszawa
Mariusz Walter, Warszawa
Artur Jurczyszyn, Kraków

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa i Świata”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenas Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

O czym szemrze Czeremosz?

Tekst: Agnieszka Kosińska

Stałam i ja nad ukochanymi rzekami Pana Jerzego, nad Dniestrem na Podolu i Czeremoszem w Karpatach...

W eltschmerz i inne dolegliwości zagnały mnie do sanatorium w Busku-Zdroju. Jeśli sanatorium – to Stempowski Jerzy. Wreszcie przeczytam i przemyślę całego, jak się utarło pisać, największego polskiego eseistę. Kto wie, czy nie wymyśliłam tego sanatorium, żeby mieć wreszcie czas dla pana Jerzego? Zamknęłam się w małym pokoiku, którego okna wychodziły na szczyty świerków i późne wschody zimowego słońca, poprosiłam o zmianę żarówki w lampce nocnej i pomiędzy zabiegami, po-

Jerzy Stempowski wszędzie i zawsze budował tkankę łączną: godził emigrację z krajem, opiekował się zamężną przyjaciółką chorą na raka, ratował cenne księgozbiory, udzielał porad farmakologicznych i życiowych, uprawiał ogród przyjaciół.

siłkami, nocami, gdzież to ja nie wędrowałam. (Panie, wyzwól mnie od brnięcia w szczegóły, choć dojmujące, ale miejsca mało).

Przedziwny to był człowiek. Fenomenalna pamięć, niespotykana erudycja zdobyta już we wczesnej młodości, którą spędził z powodu choroby przeżyciem w łóżku, czytając klasyków. Tajemnicze wydarzenie w Monachium, po którym leczył nerwy w Szwajcarii, i myślę, że było równie formujące jak ci klasycy. Ale zaraz potem rzucił się w wir życia. W którymś międzyczasie został ojcem bliźniaczek i dziadkiem, choć na swój jedyny sposób. Otaczały go zawsze wyjątkowe kobiety, zjawy i Kasandry, które z właściwą sobie pogodą ducha i gracją zaspokajały. Skrajnie empatyczny i krytyczny, a do tego skrajnie niezależny (diabelska mieszanka), już około mojego wieku znalazł rodzaj równowagi. Na receptę takiego człowieka liczyłam.

A jednak coś nie dawało mi spokoju. Przecież gdyby Pan Jerzy znalazł się w sanatorium, nie zamykałby się w pokoju, cieszyłby się z tak szerokiego przekroju ludu polskiego; wszak zawsze wołał rozmawiać z góralami, przemysłowcami, gospodarzami niż z intelektualistami (właśnie o ich klęsce i pogromie rozumu pisał); z tych rozmów wysnułby prognozy dotyczące gminy i świata; mimochodem dałby wykład o organizacji państwowej potężnych na tych ziemiach Wiślan, ale przede wszystkim cieszyłby oko stepowym pejzażem Podidzia, wszak

stadko Stempowskich pochodziło z Podola, gdzie ojciec Stanisław, gospodarując razem z Ukraińcami, stworzył jakąś niesamowitą spełnioną utopię. „Okazało się, że wszędzie, dokąd mnie bogowie prowadziły, czy w pałacach, czy na karczunkach, czy u filozofów, czy u przemysłowców, wszędzie życie układało mi się w bardzo podobny sposób. Wszędzie, nawet u leśnych karczmarzy i u flisaków, znajdowały się ciekawe książki, które ktoś kiedyś zbierał lub zapomniał, wszędzie wynikały podobne rozmowy, wszędzie znajdowałam towarzyszy dzielących te lub inne z moich gustów i zainteresowań, wszędzie odwiedzały mnie życzliwe zwierzęta, koniki, pieski i żuczki, słowem, po paru godzinach byłem już wszędzie w tym samym żywiole”. Wszędzie i zawsze budował tkankę łączną: godził emigrację z krajem, opiekował się zamężną przyjaciółką chorą na raka, ratował cenne księgozbiory, udzielał porad farmakologicznych i życiowych, uprawiał ogród przyjaciół. Szukał połączeń i analogii, „rzeczy mało uchwytnych, a całkowicie realistycznych”. Jeśli dusiołek melancholii nie odpuszczał – wyruszał w wysokie góry albo w dalszą podróż, bo w pejzażu znajdował „źródło siły i równowagi”.

„Zawsze uświadamiałem sobie, że moja ściślejsza ojczyzna jest dniestrowym jarem, stepem porośniętym burzanem z kurhanami, słowem rzeczą istniejącą już tylko w mojej pamięci i to mnie zawsze uspokajało i pozwalało jeszcze raz próbować zmiennej szansy. Może nawet pamięć takich odległych i niepotrzebnych na pozór rzeczy pozwala czasami odzyskać utraconą równowagę i znaleźć wyjście z takich sytuacji, które na pierwszy rzut oka już wyjścia nie mają”.

Stałam i ja nad ukochanymi rzekami Pana Jerzego, nad Dniestrem na Podolu i Czeremoszem w Karpatach. Czy mogłam wtedy, w tamto upalne lato 2019 roku wiedzieć, że świat tak się przekreśli? Mogłam. Dlatego tam pojechaliśmy. Zwykle wiemy, co nastąpi. Ale skoro udało się Panu Jerzemu pozbierać rwące nitki swojego życia, uda się i mnie. A poza tym nasza nadwiślańska kraina, odwiecznym prawem natury, co nie znosi próżni, i gwałcicielki historii, dopełnia się pięknie obywatelami idei jagiełłońskiej i wokół słyszę znów białoruskie, ukraińskie i rosyjskie języki.



Agnieszka Kosińska: lubi lubić. Jej strona autorska: <https://kosinskamiloszwkrakowie.com>

Przychodzi wena do lekarza

Ogólnopolski Konkurs Literacki
im. Profesora Andrzeja Szczeklika

EDYCJA XI

Prace konkursowe będą przyjmowane w 3 kategoriach: **Poezja, Proza**
oraz w dowolnej formie literackiej na temat **Nieśmiertelność**.

„Oczywiście, każdy lekarz chce, abyśmy żyli jak najdłużej, ale czy chcemy być nieśmiertelni? Temat ten przyciąga od wieków uczonych, filozofów, lekarzy. Czy nasza genetyka «wyrazi zgodę» na wieczne istnienie, czy idea ta pozostanie tylko motywem literatury science fiction? Czy może, jak niektórzy mędrcy twierdzą, to śmierć jest początkiem nieśmiertelności? Zapraszamy do literackiej dyskusji.”

Ewa Lipska

Jury: Anna Dymna, Waldemar Hładki, Ewa Lipska, Bronisław Maj,
Maria Szczeklik, Jarosław Wanecki

W konkursie może wziąć udział każda osoba mająca tytuł lekarza lub lekarza dentysty.

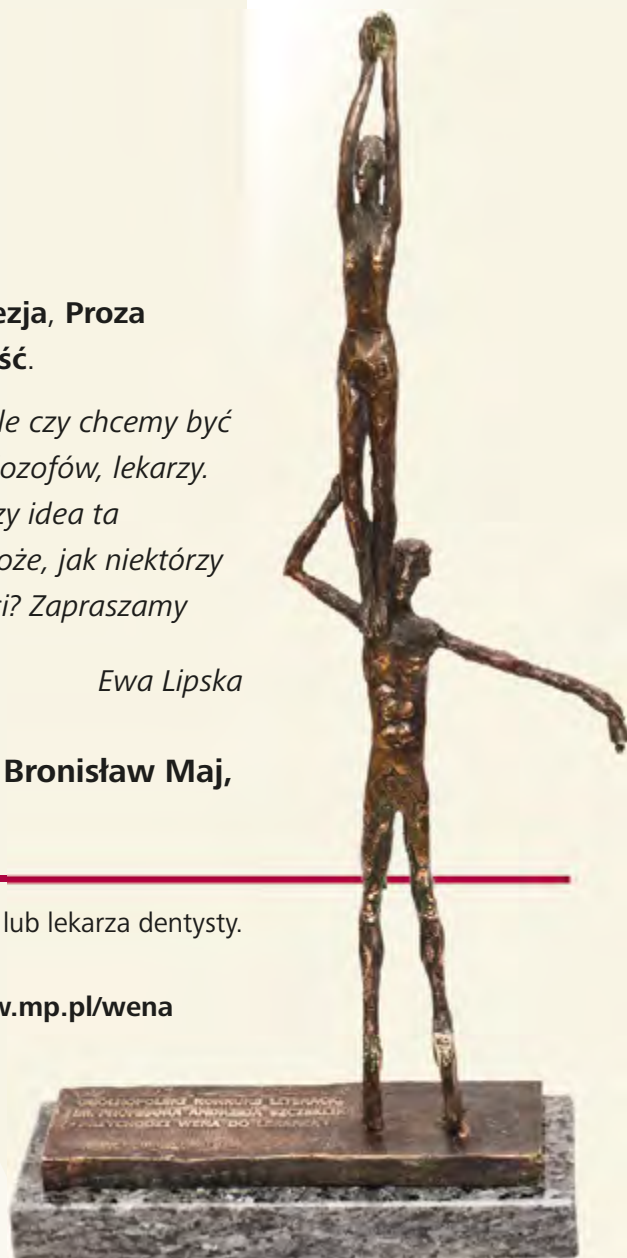
Termin nadsyłania prac konkursowych **25 marca 2022 roku**.

Szczegółowe informacje o konkursie są dostępne na stronie **www.mp.pl/wena**

Informacji udziela:

Anna Wierzchowska-Woźniak

tel. 12 293 42 68, e-mail: wena@mp.pl



PARTNERZY



PATRONAT MEDIALNY



ORGANIZATORZY



medycyna praktyczna





Jacek Madej, *Pejzaż*